H. ROMER-OCHENKOWSKA

TUTEJSI

WARSZAWA — 1931

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

DRUKARNA ARTYSTYCZNA
K. KOPYTOWSKI i S-ka
WARSZAWA, N.-ŚWIAT 47.

PRZEDMOWA

Regjonalizm jest ideą pozornie nową, choć jako objaw istnieje od wieków. Można wyczuć go w poezji renesansowej, znać go w epoce baroku w miarę rozszerzenia się kultury polskiej na wschodzie. Nie miało dla niego zrozumienia oświecenie, gdyż pragnęło dostosować wszystko do jednego schematu.

Z tem większą siłą objawił się on za romantyzmu wszędzie, a więc i u nas, gdyż romantyzm poszukiwał wszędzie pierwotności, odrębności, nadzwyczajności. Ten kierunek pozostał i za realizmu, gdyż rozumiano jego ważność, choć nie określano go mianem szkół, jak to czyniła krytyka romantyczna.

Modernizm wzmocnił tylko tę dążność, gdyż lubował się w szczegółach charakterystycznych. Nic też dziwnego, że sztandar regjonalizmu podniósł jeden z mistrzów polskiego modernizmu, Żeromski. A rozkwit regjonalizmu nie mógł znów nie przypaść na epokę niepodległości, w blasku której rozwinęły się swobodnie odrębności etniczne, utajone i skrępowane poniekąd w dniach niewoli.

Jak w badaniach nad przeszłością nastąpiła nowa epoka dzięki udostępnieniu źródeł i zwiększonym kadrom naukowców, tak i w twórczości artystycznej

nastał dziś czas oparcia twórczości na tradycjach miejscowych. Zna je autorka, czerpiąc swe natchnienia i dawniej ze źródła sobie najbliższego i najdroższego. Jest ono często prawie nietknięte, i w wielu kierunkach można dziś karczować puszczę dziewiczą i niezbronowaną przez nikogo.

Realizm i modernizm, czerpiący chętnie ze źródeł regjonalnych, dały tu wzory godne pamięci, by przypomnieć choćby rolę Podhala w narodowej twórczości. Autorka, ukochawszy swe strony, umie chwytać cechy znamienne krajobrazu i ludzi. Wszystko stapia się u niej z sobą, tworząc harmonijną i wdzięczną całość. Najchętniej zwraca się ona do ludu, nie pomija jednak i dworu. Odczytanie jej obrazków, w których gwara miejscowa odgrywa niemałą rolę, daje dużo zadowolenia artystycznego a powodzenie, jakie stanie się niewątpliwie ich udziałem, będzie dla niej impulsem do tworzenia podobnych rzeczy i w przyszłości.

Są one potrzebne ze względu nie tylko na pokazanie przeszłości, w której nie brak bezimiennych bohaterów i wzlotów ducha, ale i współczesności, która rozstrzygnie o tem, co będzie. Pragnąłbym, by tak liczne jasne strony przeszłości umiały związać ogół poetów północnych z tem, co nas wszystkich łączy. A przeszłość wskaże też, co dziś czynić należy.

Tadeusz Grabowski.

W Poznaniu, 29 sierpnia 1930 r.

POKUTNICY

Powiedziano nam, że jest dwór na sprzedaż. Było to w rok mniej więcej po ukazie, dozwalającym „miłościwie" kupować ziemię na Litwie. Opadały wtedy różne kajdany, pękały naciśnięte groźną pięścią przewrotu różne wrzeciądze; prawo do swobodnego wyznawania wiary według własnego sumienia, prawo do nabywania ziemi tyloletnią męczarnią okupionej, prawo do odetchnięcia z pod szponów dławiących gardła, to naturalne prawo wydało się łaską, rozkoszą, radością.

Zmora przykucia do ziemi za wszelką cenę i wegetowania na niej naprzekór zdolnościom i chęciom, pod groźbą oddania jej w obce, wrogie ręce, zatracanie sił, na bezowocną często walkę z finansowemi warunkami, ciężar ten został zdjęty z serc i sumień ludzkich.

Ziemia, lasy wzgórza i doliny malowniczej Litwy, jej cudne, rozmarzone w mgłach jeziora i rzeki błękitne, mogły przechodzić z rąk odwiecznych właścicieli w ręce rodaków; stare, lipami i głogiem otulone dwory mogły w swe bielone ściany przyjmować nowych dziedziców, bez wstrętu i bez obawy, że na miejscu Ostrobramskiej Panienki ikona „Bożjej Matieri" zawiśnie.

Sprzedaż, strata majątku, działy familijne przestały być dramatem, na który się bezradnie, z rozpaczą patrzy i o którym długo bolesne echo się skarży w sercach rodaków, jakby zeń szmatami żywe wydzierano ciało. Kto tych lat tam nie przeżył, kto nie patrzył zbliska na te sprawy, trudno je pojmie, chyba uczuciem polskiem, na wszystko boleśnie czujnem i wrażliwem. Ale trzeba było to widzieć, gdy taki stary dwór z całym swoim charakterystycznym stylem przybudówek, ganków, okiennic z wyciętem serduszkiem, mansardek pod łamanym dachem, salonów o wielkich z białą buazeryą pseudo-gotyckich oknach, gdy wszystkie te oficyny, szpalery lipowe, klomby zarosłe cukrową różą i smoczemi liljami, klony stuletnie, i bocian na nich, i krzyż na rozstaju nocą ze starego drzewa na miejsce walącego się stawiany, przy szmerze modlitw jak w cieniu katakumb szeptanych, gdy cały ten odwieczny świat, przeradzający się z pokolenia w pokolenie prawie bez zmian, gdy taki pełen wspomnień i pamiątek zakąt dostawał się w ręce nowych, obcych, wrogich wszystkiemu, co zastały, istot.

Z owdowiałego po wyrzuconych losem dziedzicach dworu, szybko, szybko zdzierano szatę przeszłości i obnażano go do szkieletu.

Szeleściły ruble i woniał jasno-zielony pokost, zalewający ściany, dachy, altanki w narodowym, tulskim stylu, na dziedzińcach wśród sztamowych róż i perskich trawników lśniły kolorowe banie rażące patrzącego, w trawnikach usadzano potworne gnomy, przywiezione „bez cła" przez właścicieli z Karlsbadu.

Pokoje, dawniej zaciszne, zastawione nadtłuczonemi gratami i kulawemi mahoniami lub inkrustowaną czeczotką, krytą „czerkasem" domowego tkania z podesłanemi kilimami o spłowiałych barwach, lśniły teraz czerwienią firanek i pokryć mebli hebanowych z inkrustacją z perłowej masy, lub zmodyfikowanym w Moskwie Ludwikiem XVI-ym. Jaskrawe

dywany kryły froterowane codzień posadzki, a na ścianach... orgja oleodruków! Rumianych, jaskrawych, urągających zdrowemu rozsądkowi i zastanawiających wytrwałością swej, jedynej już na świecie, tylko na tem pograniczu Azji widzianej szpetoty.

Wszystko stawało się tęgie, nowe i drogie. Szeleściły ruble i dobrze się działo okolicy. Lepiej, niż za poprzednich „panów". Nikt nie czekał do Bożego Narodzenia z „kartkami" za kopanie kartofli, żaden majster nie potrzebował zdzierać butów, chodząc po zapłatę, i wyczekiwać, ziewając, grzejąc się i plotkując w cieple kuchni na temat: „musi da — musi nie da, bo nie ma pieniędzy". Ceny podskakiwały z żywością nie odpowiednią do powolnych zamysłów autochtonów i bez ich udziału prawie; jagody, grzyby, zwierzyna, drób nabierały wartości ogłupiającej właścicieli, kudłaty żyd „mięśnik" hardział nieopisanie w stosunku do innych dworów i na wszelkie protesty odpowiadał lekceważąco: „Uj, możno nie brać, mnie teraz nie bieda, pani jeneralsza wsio weźmie i lepiej zapłaci w te minute".

Najbliżej położony żywioł urzędniczy nabierał też radosnego rezonu; do „uriadnika" bez trzech rubli ani przystępuj, asesor zaczynał objawiać chęci w kierunku zawarcia stosunków towarzyskich z hardymi Polaczyszkami, w zamkniętych dotąd dla niego dworach, kędy poza kancelarją Pana nie miał dalej wstępu. „Nastawnik" (nauczyciel) budził się z nirwany, wywołanej nieustannem obcowaniem z monopolką w towarzystwie poczmistrza i pisarzy gminnych i gorliwie spędzał uczniów do wiecznie pustej szkoły. Tam, dając upust szerokiej naturze, śmielej niż kiedy przepowiadał sobie ku zbudowaniu oświecanej dziatwy cały wokabularz połajań używanych od Morza Białego do Czarnego przy odpowiednim akompanjamencie bezkarnych razów. Zasilenie małomiasteczkowych pionierów ruskiej idei przez nabywcę pobliskiego dworu bywało bogate i nieobliczone w skutki. Zapa-

dli, zagrzęźli w lasy i bory, zżyci cośniecoś z miejscowemi żywiołami, znudzeni może czasami bezsensowną walką, przynoszącą im mniejsze materjalne korzyści, niż jej zaprzestanie lub przynajmniej zwolnienie czujności, urzędnicy, po tak radosnym fakcie zwiększenia stanu posiadania w „odwiecznie ruskiej ziemi" (mającej sześciu prawosławnych i to przyjezdnych), czuli napływ energji, bodźca do gorliwszego spełniania obowiązków i... plecy. Momentalnie taksy fantastycznych opłat pisarzom w kancelarji gminnej podnosiły się wprost bezczelnie. Na poczcie z dnia na dzień przestawano rozumieć i umieć przeczytać choćby jedno słowo inaczej jak w języku państwowym, pop wreszcie miał przed kim się popisać nowiutkiemi „ryzami" i zabierał się gorliwie do wyszukiwania dawno zapomnianych unitów, „monopolszczyk" skwapliwie sprzedawał chłopom na familijne uroczystości spirytus denaturowany.

Wszystko zaś skierowywało ucho, oko, węch i szpony w stronę, nie, w te szpary, w te mysie norki zaiste, kędy sączyła się w mroki ludowe oświata wogóle, a polska w szczególności.

Nie był już spokojny ani bezdomny włóczęga, stary organista lub kto wie jakiej kondycji „człowieczek" w szaliku i okularach z ewangieliczką w kieszeni wyrudziałego palta, drepczący upartym krokiem od wsi do wsi, by przy zakurzonych okienkach chat zbierać dzieci w ciasny kłąb i wśród słów pacierza uczyć też tej zbrodniczej sprawy: sylabizowania z polskiego elementarza!

Niejedno jajo z pod najlepszej kury, ba! nierzadko i kurę musiała poświęcić zawzięta tercjarka, ożywiona duchem św. Blandyny lub innej męczenniczki, o której naczytawszy się w pobożnych dziełach, gotowa była na podobne ofiary. Traktując „uriadnika" jajecznicą i herbatą, szturmowała do jego sumienia, ze łzami i złością dowodząc, że sam w piekle osiądzie za to, że dusze chrześcijańskie *do*

światłości doprowadzić przeszkadza, a tuląc do wyschłej postami piersi wytłuszczoną, porwaną „katechizmówkę“, z owem groźnem dla „imperji“ a. b. c., wołała bez trwogi: „Możesz mnie przez jego swoją szablą przebić, a ja taki dziatki uczyć będę“.

Proboszcz, w większości wypadków mający czyste sumienie pod względem przestępstw oświatowych, zaczynał pilnie przypominać sobie, czy nie wyspowiadał jakiej owieczki, przybranej czułą ręką rządu w prawosławną skórę. Żegnał z westchnieniem perspektywę jeżdżenia na miłe festy, gdzie po zaduchu i zmęczeniu nabożeństwem dary boże spożywa się z tak przyjemną łatwością, mimo ich apokaliptyczną ilość, a wincik taniutki daje lube i bezgrzeszne wzruszenia.

Nie cieszył go już tak szereg pojazdów i czwórek w krakowskich i angielskich chomątach, w niedzielę pod kościołem, gdyż tą samą kamienisto-błotnistą drogą waliły cztery w poręcz zaprzeżone kare smoki z ogonami do ziemi i ze srogim, odpowiednio brodatym „kuczerem“ w czerwonej rubaszce wrzeszczącym „wpierod!“ i „dorohu!“ zagapionemu narodowi, ścigającemu zaciekawionym wzrokiem nowych parafian, wysiadających przed ziejącą chłodem i stęchlizną pustki cerkwią.

Nie miały spokoju i te niezbyt liczne dwory, utrzymujące szkółki pod różnemi firmami: nauki kroju, koszykarstwa, guzików, etc. mimo, że dochód, jaki z fantazji pańskiej miała policja, powinien był ją jak najprzychylniej ku tej akcji antipaństwowej usposobić, a przynajmniej równie życzliwie, jak np. do notorycznych koniokradów.

Ale przybycie nowych i to tak poważnych elementów, jak właściciel majątku, najczęściej ozdobiony rangą lub urzędem, wynoszącym go ponad zwykłych śmiertelników, od których bez tego wyróżniała go szczęśliwa przynależność do uprzywilejowanej narodowości, obecność Rosjan posiadających ziemię,

więc nie przelotnych przybyszów, a fundamentalnych, na wieki przedstawicieli wszechwładzy panującego nad tą ziemią państwa, ludzi niezależnych, nie potrzebujących się z nikim liczyć a z nimi wszyscy, to było zdarzenie istotnie dla żywiołów rosyjskich radosne, i o wpływie bardziej skutecznym, niż tuzin urzędników, których zawsze można było przekupić.

Ścisłość nakazuje wyznać, że, prócz nielicznych wyjątków, nowi nabywcy działaczami patrjotami nie bywali. Kraj był dla nich tak obojętny, jak dżungla, zdatna jeno do polowania dla przyjemności. Na męczarnie z jednej, a zabiegi z drugiej strony, spoglądali rozśmieszeni lub pogardliwie zdziwieni.

Tworzyli sobie oazy swoistego stylu i komfortu, mało i rzadko próbując nawiązywać stosunki sąsiedzkie, mimo iż pod tym względem stosunki gościnności w każdym wypadku, tchórzostwo lub nałóg światowy dawały im zupełną swobodę działania.

Mimo to odosobnienie, promieniowanie samego faktu było wprost bolesne.

Dlatego tak dziwnie, tak nowo dźwięczały w uszach te słowa: „dwór do sprzedania", wymówione swobodnie, z ciekawością, bez żalu i owego dojmującego skurczu serca, jakim przez tyle lat witaliśmy podobne nowiny.

Przeciwnie, teraz radosnemi one prawie były.

W zaskorupiałe, zatęchłe stosunki sąsiedzko-parafjalne, w różne zakamieniałości przedpotopowych pojęć i ludzi, wejdą nowe myśli i nowi pracownicy.

Nowi, ale swoi!

Przyjdą z nad Wisły, czy z za Oceanu. Szykowni koroniarze o wartkiej i chełpliwej mowie lub ciężkie, zamyślone chłopy litewskie, z Ameryki przywożące grosz za świętą ziemię. Przyjadą z Orenburgów i Symbirsków, w różnych putiłówkach dorabiający się miljonów, synowie, wnukowie powstańców, odartych z dziedzictwa. Jedno im zostało: tęsknota, pragnienie ziemi tego kraju.

Łamaną, fatalną mową dopytywać się będą krewnych, okolic, o których ojciec, stryj przed śmiercią wspominał, i szukać będą, jeśli nie tych samych dworów, bo te piekło pochłonęło bezpowrotnie — to przynajmniej znajomych z opowiadań miejsc, by je kupić i dzieci w powietrzu rodzinnem chować.

Cudownie, w sposób wzbudzający święty zachwyt, działa na tę przyciągniętą zpowrotem falę zapach ziół i lasów tamtejszych. Ten powrócony wichrem dziejowym, tak zda się rozproszony, zmrożony zasiew jakież piękne, jak dobre wydaje plony, gdy na nowo korzenie swe w rodzinnej utkwi ziemi!

Dziwne, iście cudowne zdarzały się na tem tle przemiany, i odrodzenia, i odebrania na własność ludzi i ziemi przez niezwalczoną niczem moc miłości i cierpienia dla Ojczyzny.

Zdarzali się ludzie starzy, okryci złotem i orderami, którzy tu słowa tego znaczenie zrozumieli po raz pierwszy w życiu i zapłakali nad niem. Bywali młodzi, okryci pleśnią cynizmu i obojętności, którzy tu poczuli się ludźmi ulegającymi najwznioślejszym wzruszeniom serca i zaprzysięgli jego służbę własnemu krajowi, odwracając się od fabryk, karjer i stosunków obcych. Dlatego cieszyliśmy się teraz prawie zawsze, słysząc tę wieść dawniej straszną:

„Jest dwór na sprzedaż".

I ten był w warunkach osobliwych; krewni zmarłych dziedziców, jedni prawosławni, chcieli się utrzymać przy majątku i dawali dogodne warunki spłaty, inni, Polacy, utrzymać się nie mogli i szukali nabywcy rodaka, by się podzielić pieniędzmi. Chodziło więc o to, by przelicytować obcych. Niestety, niezawsze się to udawało! Ale teraz jechało nas kilka osób, w zamiarze obejrzenia, co się da zrobić w tym kierunku.

Kiedyśmy zajechali na podjazd Kłobina, uderzyła mię cisza i zamarcie wszelkiego życia i jego objawów wkoło. Zabudowania gospodarskie były dość da-

leko, jak to się często na Litwie zdarza, ale wkoło domu mieszkalnego było już owo pochłonięcie dzieł rąk ludzkich przez siły przyrody, znamionujące bardzo długie opuszczenie. Młoda, majowa trawka puszczała się gęstą szczotką wśród białych płyt podjazdu, klomby wybrzeżyły ze swych odwiecznych deseni i porozrzucały po zrytych trawnikach bujne odrośle ozdobnych krzewów, okrytych teraz seledynową barwą młodziutkich listków. Weszłam i przechodzić zaczęłam samotnie liczne pokoje, wypatrując z gorączkową chciwością czegoś zajmującego. Pustka była zadziwiająca. Wiedziałam, że ostatni właściciele, starzy kawalerowie, niedawno zmarli, że całe życie tu spędzili. Czemże ono było? Co zajmowało tych ludzi, co zapełniało ich czas i mieszkanie?

Nie było śladu bibljoteki, może ją ktoś wywiózł? Ciemnawe, smutnie puste pokoje jeden za drugim otwierały mi swe wnętrza o malowanych niebieskawo z szafirowym szlaczkiem ścianach, na których zrzadka wisiał szczerniały portret, jakaś rewja z cesarzem Pawłem, jakieś sylwetki *empire* na złoconem tle... Tu i tam nudziły się mahoniowe kanapy samotnice i takież nadłamane krzesła... Wreszcie natrafiłam na szereg pokoików od ogrodu. Tu był ślad zamieszkania. Pełno fotografij na ścianach. Spoglądam: same twarze stare, zmęczone, wciąż powtarzają się grupy trzech w długich surdutach mężczyzn i kobiety w fotelu, w krynolinie i czepku. Zwraca moją uwagę, że w pokojach, które przebiegam, stoją tylko miękkie fotele z podnóżkami i, co dziwne, w każdym wózek taki, jakim wożą paralityków. Naliczyłam ich aż trzy, czy cztery... Dziwne, smutne i przykre ogarnęło mię uczucie... Długo widać umierali tu, konając powoli, jacyś starzy, starzy ludzie...

Cień, chłód wilgotnej stęchlizny, zaduch jakiś cierpienia, choroby, nieszczęścia wstrząsnął mię dreszczem i przygnębił. Chciałam jednak dowiedzieć się czegoś. W tej chwili zamaszyste kroki i furgot spódnic rozerwał

ciszę zamarłego domu i rozrosła jejmość weszła odważnie, witając mnie litewskiem słowem.

Mówiła jednak i po polsku, skwapliwie więc spytałam ją o losy tych ludzi, co tu żyli i umarli.

— Tak, tak, paniulitiu moja, było ik czterek, bracia i jedna siostrzyczka — objaśniała mnie łamaną mową. — Ciężka była ik koroba... ak, nic nie pomagało, kodź ty siadszy płacz...

— Cóż to było? Reumatyzm pewnie czy paraliż? Ale to dziwne. że tak wszyscy. Biedacy!... Więc to całe rodzeństwo sparaliżowane jeździło na tych fotelach? — pytałam spoglądającej teraz w przestrzeń zadumanej jejmości, ochmistrzyni, jak się okazało.

— Widzi paniutka moja, co powiem — zaszeptała nagle, pochylając się ku mnie tajemniczo — im trudno było umierać...

Trzeba wiedzieć, że na Litwie panuje wiara, iż lekko umiera człowiek sprawiedliwy, ciężką śmierć, trudną, ma ten, co winy jakieś dźwiga na sobie. Zaciekawiło mnie to.

— Ach tak? Cóż to było, czy może mi pani powiedzieć? Czy to byli źli ludzie?

— A broń Boże! anioły, złotne panowie, miłosierne, jak święte, tylko ot pokutniki takie, nieszczęsne — westchnęła — nie za swoje oni, paniutko, cierpieli... za ojca...

— Cóż on zrobił, był zły dla poddanych? — spytałam, wiedząc, że jest to jeden z powodów, jakim lud na Litwie i Białej Rusi przypisuje klęski, dotykające „panów".

— Tego, paniutku, nie powiem, nie wiem, kłamać nie będę... i tak ja, żeby powiedzieć, że wiem, to nie, nie wiem, jaka to cała historja, ale tak mnie był jeden powiedziawszy, że ojciec ik, znaczy się tyk moik panów Boćwinków, to kiedyś na jakimś sądzie w Wilnie dzieciuki polskie zamęczył... ci może w szkole, ot nie pamiętam, ale bardzo ludzi skrzywdził i dużo łez na jego

spadło... Tak, bardzo wielki to musi grzech był, kiedy i dzieci tak męczyli się".

Tak... tak... rozdarła się zasłona pamięci... echo dziadów nadleciało...

„Botwinko!... opatrzył nieszpetnie: parions, że mu wyliczył najmniej ze trzy setnie!"... Prawda! Wszak Kłobin do synów pana prokuratora należał!

Słysząc nieznane nazwiska spadkobierców, na nazwę majątku nie zwróciłam uwagi, teraz zrozumiałem stało mi się wszystko i objęło mnie uczuciem nieopisanej zgrozy. Ujrzałam wyraźnie te cztery cienie starców, wożonych po pokojach, przygniecionych ohydnem wspomnieniem nikczemnego ojca, co jak potępione widmo musiał się snuć za nimi i zgrzytać, by jeszcze spłacali tej ziemi i ludziom straszny dług męczarni niewinnych istot.

Nie chcieli się żenić, by spodlone nazwisko i wspomnienie nie przechodziło w dalsze pokolenia. Kto wie, bali się może odrodzenia w dzieciach krwiożerczego instynktu dziada? Umierali więc powoli, myśląc o tem... Łkały im może po tych ciemnawych pokojach głosy umęczonego Mollesona, Tyra, Więckowiczów, dumnego Janczewskiego, niezłomnego Witkiewicza, snuły się duchy tych nieszczęsnych matek, Hekub polskich, których żałobne szaty zamiatały progi satrapów i ich kochanek, by wybłagać życie dzieci!

Czy były w tym domu czytane „Dziady? Czy odważono się wspomnieć Promienistych, Filomatów?...

Zwróciłam się do wyjścia i rozwarłam oszklone drzwi, na ogród wychodzące. Odurzająca fala słońca, miodny zapach kwiatów wionął jak błogosławieństwo; sad, zarosły bezładnie gąszczem zdziczałych krzewów, staczał się pagórkami ku szemrzącej obfitą wiosenną wodą rzeczce. Drzewa, okryte złotawym puchem klonowych kwiatów, otoczone były ruchomą siecią pszczół, od których radosnego śpiewu przy pracy aż huczało w błękitach. Trawy, wyrwane z martwej niedawno ziemi pierwszym porywem wiosny, drżały od ros i własnej

prężności ku słońcu. Śliczne, złote kwiaty „kluczyki", najmilsze, bo pierwsze na łące, sterczały, każdy wabny słodyczą i wonią, lśniący jak skry w zieleni. Kosy i wróble przekomarzały się w niebogłosy, skacząc po miękkich, napęczniałych sokami gałązkach, gdzieś zdaleka przeświecała biel zakwitających jabłoni, rzeczka gawędziła po kamykach, niby się śpiesząc dokądś, a nie chcąc odchodzić z tego ogrodu nie nagadawszy się dowoli z drzewami, kwieciem, pszczołami i starym domem.

Tak łagodnie, tak słodko zakwitała ta ziemia śliczna ku słońcu, czyżby ciężyć miała na umęczonych sercach pokutników? Nie, z pewnością nie. Wszak, mimo „carskich gróźb" i czynowników zgrai, nie zapomniały „dzieciuki polskie" tego kraju mowy ojczystej i żadne męczeństwo nie jest stracone.

Więc życzyłam temu tragicznemu rodzeństwu wiecznego w ziemi rodzinnej spoczynku, lecz byłabym chciała, by potępiony duch ich nikczemnego ojca wywlókł się z cieni otchłani i za jedyną karę ujrzał, w co się obróciło ich wszystkich dzieło bezbożne.

NIEDŹWIEDZIA PRZYSŁUGA.

„Panoczku, musi telegrama nioso la panicza“, przemówił do młodego dziedzica ekonom Szerście-niewicz stojąc wśród burych brózd zoranych kartofli, na których widniały jak okiem sięgnąć fioletowo-zielone wełniaki bab i szare obleczenia wyrostków, grzebiących pazurami wśród wilgotnej ziemi.

W przezroczem i ciepławem powietrzu cichego jesiennego dnia, słychać było zdala gęganie gęsi, daleki gon psa, bezprawnie polującego na szaraka, drewniane klepanie mędlicy z lnem i poszczególne głosy kopiących kartofle, które z turkotem sypały się z koszów do stojących wozów. Przy nich senne konie, mrużąc oczy od słońca, pogryzały leniwie nać i siano, rzucone im pod znudzone pyski na ziemię. Baby chwaliły sobie pogodę, bo to i bose nogi nie marzły, i kartofle lekko wybierać się dawały, zaledwie zwilgłą ziemią opruszone, gnić nie będą i „uuchi nabierze się nasz panicz piniędzy za ich, jak kocine głowy wielkie“, opowiadały sobie, postępując schylone nisko, jedna drugą wyprzedzając, z tą pasją do roboty, która ogarnia baby, gdy są w gromadzie.

Panicz stał w butach, samodziałowej kurtce, z flintą na ramieniu i pogwizdywał na wyżła Kiera,

który kręcił się i wietrzył wonną tysiącem, jemu wiadomych aromatów przestrzeń, bił białym ogonem po butach pańskich, łasząc się i skomląc zrozumiałe wezwanie: „Idźmyż od tego nudziarstwa w pole, w pole, w pole/" Na co pan jego odpowiadał mu gestem, spojrzeniem, a nawet półgłosem, wstydząc się swej płochości wobec statecznej pracy wrącej wkoło: „Naturalnie Kierciuk, pójdzie, a jakże, dobry pies, mądry sobaka, pójdzie z panem, pójdzie". Ale stał, by przecie zaznaczyć, że nie tylko ekonom tu dozoruje i stara się, ale i pańskie oko kartofli kopania i zsypywania dogląda.

Na słowa Szerścieniewicza mruknął zwykłe pobożne pytanie pracowitego gospodarza „ciekawym kogo tu djabli niosą w taki czas roboczy', poczem dodał głośniej: „Gdzie ty widzisz, że niosą telegram?"

„A toż wo, paniczu, ciż panicz nie widzisz, gościńcem Abramka z Kozian pełźnie i... ot szelma, leci teraz biegom, niby to on 20 wiorst tak leci z telegramo, a wszystko, żeby przypodobać się, wiadomo żyd, chycior" objaśniał Szerścieniewicz, który mając za zadanie całemi dniami „styrczyć" dozorując robót gospodarczych, nie przykładał do nich ręki, co by się sprzeciwiało wysokiemu stopniowi jego hierarchji dworskiej, ale lubił skracać sobie i urozmaicać to zajęcie kontemplacyjne przewlekłemi gawędami i objaśnieniami.

Ale młody dziedzic go już nie słuchał: „Kaziuk, podskocz do Abramka i dawajcie tu depeszę" — krzyknął w stronę kopiących. Baby, jak jedna, przerwały pracę i kilka się przeżegnało, poczem jeden z wyrostków wyprostował się z nad brózdy, rozejrzał w koło, co i jak, a wtedy, poprawiwszy kapoty i utarłszy nos w palce pełne ziemi, ruszył nie śpiesząc się, ale zato wrzeszcząc w niebogłosy, by sobie trudu doganiania żyda oszczędzić: „Pastoj, a, Abramkaaa, pastoj".

Wołany jednak uczynił wprost odwrotnie, ujrzawszy dziedzica w polu, skręcił z drogi, przesadził z lekkością sylfidy głęboki rów, zabrnął, potykając się, w orane brózdy i w mgnieniu oka stanął przed obliczem pana, opędzając się Kierowi czapką, kłaniając się, ocierając pot z czoła, przyczem wymowne ruchy i głośne sapanie miały zaświadczyć o szybkości, z jaką dostawił telegram, którym wymachiwał już zdaleka, a teraz podał dziedzicowi, uprzedzając uprzejmie:

„Nic złego dziękować Bogu, ciocie prziježdža, mówił naczelnik".

Od tych słów przezornych rozjaśniły się twarze bliżej stojących i odetchnęli z ulgą. Parę bab, przekonanych w głębi duszy, że wiadomości latające po drucie, mogą być tylko djabelskie, przeżegnało się powtórnie i wróciły wszystkie do zajęcia, zaś pan Piotruś Piotuch rozerwał pieczęć, stwierdził prawdziwość Abramkowych informacyj i chwycił się dwoma palcami za nos, pocierając go zlekka, co było u tego młodego człowieka oznaką głębokiego namysłu, połączonego z zakłopotaniem. „Czy Justynowa potrafi dla ciotki obiad... i czy Pomernacka nie będzie w dyszlu wierzgać, bo akurat dj... nadali Sulejman zakulał..." przemknęło mu przez głowę. „Ciotka nerwowa i tchórzliwa, a mająteczek nie chi — chi... samemu pojechać? Ba, tu nic nie zrobio... czort z kawalerskiem gospodarstwem, niech tylko baba przepisze na mnie Użlany, ożenię się i braci spłacę... będę ją miodem smarował... ach mamzel Fifi trzeba zamknąć" rzekł głośno, „żeby mi tu nikt ani słowa o niej nie pisnął przed panią, pamiętajcie! — zawołał.

„Wiadomo" — mruknął ekonom niechętnie „a to przestraszy się biednińka", „i jest panu czego ta hadość trzymać" dorzucił, a na propozycję, żeby był „cicho z łaski swojej", dogadywał mruczando „a

wszystko z tego kawalerskiego stanu, sam nie wie co zmyślić".

Pan Piotruś, z drepczącym mu za cholewami Abramkiem, rozradowanym obietnicą napiwku i przekąski, oraz Kierem, rozdąsanym i zgnębionym zmianą w projektach, szybkim krokiem przebiegł podwórza gospodarskie, rzucając wrzaskliwe rozkazy:

„Rumszewiczowa, Hapka żeby do pokojów ubrała się, i rznij kurczaki" zabrzmiało koło kurników, płosząc ptactwo i cały ród niewieści. „Ignacy, czwórka do fajetonu, zabierz pledy ze sobą, pani Gintowtowa przyjeżdża, pojedziesz na kolej i Jasiuka zabierzesz ze sobą", huknęło koło stajni, gdzie, nim odszedł, rozpoczął się bystry ruch koło uprzęży i powozów.

„Justyn", zabrzmiało na ganku ładnego dworu z białemi filarami i „weneckiemi" oknami w cieniu lip i kasztanów, „przygotuj błękitny pokój, Justynowa niech da najlepszą bieliznę i atłasową kołdrę, tę wyprawę nieboszczki pani, ty staraj się kwiatów na stół i wino trzeba przynieść i... liberję wkładaj i... czort wie... co tu jeszcze? Aha, obiad, obiad! najważniejsza rzecz, nie, kolacja... ciotka wieczorem przyjedzie, a czy nie post dzisiaj, albo jaka wigilja, broń Boże?

— „A nie wiem-żesz, trzeba żony spytać, to po babskiej części te nabożne sprawy, ale otóż to będzie, kiedy post. A tu ryby niema..." zamyślił się, kiwając głową stary sługa.

— „Jest śledziów miasteczki" wtrącił się żyd.

— „Idź ty..., farmazon, będzie panią Marszałkową śledziem jak jaka Sorka karmić. Sam chcesz, to przekąś sobie w kredensie, idź, żonka tobie da", zapraszał Justyn, biorąc całem sercem udział w kłopotach dziedzica.

— „No więc wołaj mnie tu żony i niech ona głową kręci, żeby kolacja była jaknajlepsza".

— Wiadomo, dla kogo, a dla pani Marszałkowej..."

— „No właśnie, mój Justynku, ty wiesz..." tu ruch znaczący był wymowniejszy od słów.

„Czemuż mnie nie wiedzieć... wiem-żesz... zarazby my pannie Awrelce posag wypłacili, paniczu Adasiu i panu Janiskiemu części spłacili i by my sami mogli gospodarzyć, panicz ożeniwszy się, znaczy"...

— „Aj cicho, nie kotłuj mnie głowy, myśl co jest do roboty... salon i jadalnię froterować trzeba, zadeptali jak świnie po ostatniem polowaniu, a wy tylko zamietliście po wierzchu".

— „Szkodaż było maści... mało jest, ale jeżeli już i froterować, i luberja nałożyć, to musi trzeba ci dziewczyny piekarnianej, która silniejsza, ci tak chłopca do pomocy... do kuchni także".

— „Dobrze, dobrze, bierzcie kogo chcecie... żeby tylko było wszystko ef, ef, bo ciotka wiesz jaka delikatna".

— „Możno jeszcze w piecu wypalić i pokadzić" doradził Justyn, jako szczyt komfortu.

— Pokadzić?... Ha, może i trzeba... ach, otóż najważniejsze, żeby broń Boże o Mamzel Fifi nikt ani pisnął bo zabiję! Zróbcie sobie co chcecie, zamykajcie ją czy co, ale żeby ani duchu, ani słychu, bo ciotka zemdleje, ja nawet nie chcę jej widzieć, bo jak zacznie za mną łazić, to i nie odczepię się... ot jest!"

Drzwi się powoli otwierały. Na tle szeroko ujawnionej przestrzeni złotych lip i więdnących astrów w grzędach koło ganku, wonna wszystkiemi aromatami pól, lasów i łąk, z buzią wilgotną od rosy, którą może spijała z ostatnich kwiatków, Mamzel Fifi, ukochana pieszczotka młodego dziedzica, ukazała się w dyskretnym i wdzięcznym ruchu Lśniące pa-

zurki trzymała na klamce a małe jej przepojone chytrością i wesołą przekorą oczka, utkwione były w pana i władcę z tak szczerym sentymentem, że wzmożone, nieartykułowane dźwięki, jakie wydawała, świadczyły o przepełniającym jej serce uczuciu...

„Mamzel Fifi", nie mógł się powstrzymać od serdecznego okrzyku pan Piotruś, otwierając swe ramiona pieszczotce, „chodź tu bestjo i pocałuj mnie szelmo". Niedźwiedzica zamamrotała z wyraźną rozkoszą i kiwając się szła ku swemu Panu. Objęli się i przechylając z boku na bok ściskali zlekka, przyczem Mamzel Fifi wyciągnąwszy łokciowy ozór, czesała nim czuprynę pana dziedzica. Justyn patrząc na to splunął z obrzydzenia, Abramka zwiał przezornie.

— „Będzi kiedyś z tym paskudztwem nieszczęście, albo Panicza, albo kogo z ludzi udusi. Chajby w klatce siedziała... ot Rumszewiczowa mówiła, że tamtego dnia siadła, ona, ta Mamzela, jak baba, na stecce, piasku w łapiszcze nabrała i dawaj kury wabić... sypie niby to pośląd... i ani rucha się... te durne myślały, co ziarno i nic nie zwąchały, podlazły i ona zadarła, dwie ci trzy, i poniosła w krzaki za szyje"... Pan Piotruś śmiał się jak szalony.

— „Dałbym trzy ruble, żeby to zobaczyć! Ech, nie ma jak nasza Litwa kochana! Wiwat Panie Kochanku Radziwiłł, ten znał niedźwiedzie. Dalibóg Justyn, jak tu kto z takich delikatnych paniczyków, koroniarzy przyjdzie kiedy, to my Mamzelę postawim, niech tacę trzyma czy co?"

— „To już prosze panicza podtenczas kogo sobie innego na lokaja przyjąć, ja pewno, że nie będę z dziko żywioło po równo do stołu służyć... kto wie co... burczał Justyn, obrażony zupełnie poważnie. Ale pan Piotruś nie przestając się śmiać, trzepnął niedźwiedzicę po kudłach szpicrutą, spojrzał przez okno, nastawił ucha i wrzasnąwszy: „Gonią gdzieś niedaleko, puszczajcie Lorkę i Sforkę", wyleciał na łeb na szyję przez drzwi wejściowe, wraz ze szcze-

kającym wyżłem, zostawiając rozdąsanego starego sługę i niedźwiedzicę, która wywróciwszy się na grzbiet, mamrotała jakieś czułości do firanek, starając się je oberwać i otulić niemi jak panna młoda welonem, udając, że nie widzi i nie słyszy tupania i krzyków Justyna, bowiem zwierz to był niepospolitej chytrości i przewrotny... jak kobieta...

Stary lokaj wiedział doskonale, że jeśli ją zostawi samą, to za powrotem znajdzie siedzącą na stole wśród talerzy zgarniętych na podołek, albo omotaną sprężynami i szerścią z kanapy, które sobie wypruje dla zabawy, albo jeśli wogóle z oczu ją spuści, to Mamzela wlezie z głową do garnka z miodem czy mlekiem i rycząc biegać będzie w takim kapeluszu aż go gdzieś rozbije na kawałki i wyliże zawartość. Małpie i psie figle tego stworzenia dały się aż nadto we znaki wszystkim mieszkańcom kawalerskiego dworu w dzikim kącie Białej Rusi i żeby nie przywiązanie do panicza, oraz zupełny brak gości, którzy by się taką bestją mieli przerazić, pewnie by ją struli, mimo, że była piękna, mądra i straszliwie zabawna. W tej chwili właśnie huśtała się na grzbiecie, trzymając się pazurami przednich łap za pięty i nuciła sobie swoją niedźwiedzią piosenkę — kołysankę, udając obojętność, a tylko jej małe, lśniące zaledwie w burej sierści oczka śledziły za ruchami Justyna, który szukał w bufecie resztek miodu, by ją na dwór wywabić i zamknąć w odległej drwalni. Nim zdążył się obrócić, miękkim ruchem przesunęła się przez otwarte drzwi sypialni i gdy wpadł tam za nią, siedziała pogodna i zadowolona w kucki na łóżku, puszczając koło siebie pierze z rozprutej potężnemi pazurami poduszki, którą przyciskała do łona, drugą łapą igrając z piórkami i kichając gdy jej przelatujący puch siadał na nosie. Justyn skłął ją po raz 1001-szy i wreszcie przy pomocy kija, oraz smakołyków wywabił na dwór, odkładając uwięzienie potwora na później. Poczem nastąpiła długa na-

rada małżonków nad przyjęciem drogiego i ważnego gościa, zaś rezultatem powziętych postanowień było, że „dom począł chodzić w kółko", to znaczy, że 4 — 5 osób służby stałej i przygodnej kręciło się w tańcu Św. Wita, włażąc na siebie ciągle i przenosząc rzeczy z miejsca na miejsce. Justynowa z łagodnem zdziwieniem przyjęła pytanie pana dziedzica, gdy wrócił wściekle głodny koło 4-ej z dwoma zającami, czy też dostanie dziś obiad? Musiał się zadowolić wędlinami i chlebem, oraz rozczynowemi blinami, które dziś właśnie dla ludzi piekli w piekarni i które mu rozpromieniona tym honorem „ludzka" gospodyni, podała na talerzu, pływające w tłustości ze skwarkami. Poczem zamknął własnoręcznie niedźwiedzicę z całym „kulem" słomy na legowisko i spokojny o los domu, poszedł się golić i przebierać, rzucając przez drzwi od czasu do czasu polecenia, na które nikt nie uważał w trakcie sprzątania.

Wreszcie o późnym już zmroku, gdyż furman miał sobie nakazane jechać na wądołach „jak z jajkiem" przy trzaskaniu z bata, polatującego jak zygzak piorunu, nad grzbietami pędzącej ostrym kłusem czwórki, pobrzękując grelotami i wiewającej lisiemi ogonami przy uzdach, potoczył się w okrąg trawnika faeton i przy rozdzierającym uszy wrzasku piesków wszelkiej maści i gatunku zatrzymał się tuż przy ganku, na który się wysypała cała służba wraz z przygodnymi pomocnikami. Pan Piotruś z należytym respektem wydobył i prawie uniósł drobną postać ciotki. W przedpokoju rozkutali ją z chust i salopek Justynowie, i wszyscy prowadzili uroczyście przez jadalnię, pachnącą terpentyną i gomółkami, przez gabinet, gdzie znów zapachy psów i tytuniu przeważały, aż do korytarza, kędy snuły się wonie smakowite z kuchni i gdzie były drzwi do gościnnych komnat. Kolacja przeciągnęła się dopóźna, przeplatana pogawędką, u stołu zastawionego gęsto owemi tradycyjnemi smakołykami dworów litewskich, co to

same za dobry obiad starczyły. Justyn celebrował przytem wedle odwiecznych zasad w liberji, nicianych, białych rękawiczkach i woniejący pomadą topolową, mając w odwodzie dziewczynę piekarnianą Hapkę do podawania sosów i kompotów. Mokre włosy z wpiętą georginją, oraz ściśnięty w pasie do utraty tchu andarak, błędne i wytrzeszczone oczy tej dziewicy świadczyły wymownie o poczuciu odpowiedzialności i świętej trwodze z jaką podawała „porcynelę", trzymając każdą mocno, w obu czerwonych rękach.

Konwersacja przeciągnęła się dość późno, ciotka nie była zmęczoną. Wypytywała Piotrusia szczegółowo o gospodarstwo, sąsiedztwo, wiadomości o krewnych, w czem był stokroć wprawniejsza od siostrzeńca, bo sama mu tłumaczyła parantele do 40-ej wody po kisielu i pouczała wyczerpująco, do kogo ma prawo i obowiązek mówić wujenko, a do kogo kuzynko. Chwaliła ład i porządek kawalerskiego gospodarstwa i smakowitość potraw, czem tak rozczuliła Justyna, iż przywołał żonę i boczkiem z za drzwi ukazał ją zawstydzoną Pani Marszałkowej, która, przywoławszy przed oblicze swoje, wypytywała o dzieci, zdrowie i prosiła o przepis wybornego kremu.

Oboje Justynostwo wyrazili nadzieję, że gdyby Panicz się ożenił, Pani by częściej tu przyjeżdżała; „bo", rzekł Justyn, „wszystkiego tu u nas jak w raju, nawet leśna żywioła Panicz przyswaja, tylko żonki nam la Panicza trzeba".

Na co Pan Piotruś poprosił, żeby się nie wtrącał, a ciocia, owszem, przyznała mu z uśmiechem słuszność; zrobiła niedwuznaczną aluzję do majątku, dożywocia i t. p. rzeczy, które Panu Piotrusiowi nie były obojętne. W najlepszej więc harmonji i nastroju ruszyli znów w asyście przez korytarz do błękitnego pokoju. U drzwi życzyli sobie długo dobrej nocy, aż pożegnała ciocia wszystkich, zapewniając, że niczego nie potrzebuje i weszła, trzymając srebrny lichtarz ze świecą zapaloną w ręku. Oddalający się domowi posły-

szeli trzask zamku, ciocia trochę się bała w obcych miejscach, i... nagle, po chwili, rozdzierający wrzask, wołanie ratunku i oszalałe, spazmatyczne jęki, coraz głuchsze, coraz straszniejsze, rozległy się w ciszy domu. Idący skamienieli ze zgrozy. Pan Piotruś poczuł, że mu włosy dęba stają w czuprynie. Jęknął: „Mamzel Fifi"...

— Nic, tylko pewno, że Mamzela zadarła panią! Na śmierć zabiła! Ot już i nie jęczy się!" zaczęła szlochać i krzyczeć Justynowa „ludzie ratujcie, ratujcie! wołała biegnąc w stronę kredensu, z którego posypała się dwornia, zbrojąc się w polana, koczergi, miotły i co kto miał pod ręką.

Ale już Pan Piotruś, trupio blady, przy pomocy trzęsącego się z przerażenia Justyna, powtarzającego „a mówiłem, że ona nam kiedy sztuka zrobi, ot i kryminał, Jezus ty Marja", wysadzali drzwi z zawiasów. Runęły z trzaskiem. Z obecnych kto żyw cisnął się ku pomocy i z ciekawości ujrzenia szczątków nieszczęsnej ciotki.

Przy mdłym, migotliwym płomyku świecy, słabo oświetlającym duży pokój, jakiż widok straszliwy przedstawił się oczom biednego dziedzica!

Na łóżku, zasłanym puchówką i webową pościelą, otulona w malinową, atłasową kołdrę, rozwalała się rozpustnie na haftowanych poduszkach Mamzel Fifi, pomrukując rozkosznie, jak koteczek na podołku swej pani. Bez żadnego wzruszenia spoglądała na zamieszanie wywołane swoim koncepiem i zwracała błyszczące oczko pełne ironicznej pogardy w stronę kominka. Tam, o zgrozo! Nieszczęsnej cioci widać było tylko dolną część tułowia i drgające w konwulsyjnych podrygach nogi. Do pół ciała biedna dama wbiła się w głąb kominka, szukając, nieprzytomna ze strachu, ucieczki. Gdy ją stamtąd wydarł Pan Piotruś, dostała strasznych spazmów, wśród których wołanie o konie natychmiast, o nastawanie umyślnie na jej życie, o potworach, powtarzały się nieustannie.

Cóż tu więcej dodać można, czego by się czytelnik sam nie domyślił? Pan Piotruś zobaczył ciociny majątek jak swoje ucho; nic nie pomogło, że przez życzliwe osoby dał znać, iż Mamzel Fifi wywiózł i puścił w gęste puszcze nad Prypecią. Ciotka nigdy nie chciała wierzyć, że obecność niedźwiedzicy w jej łóżku nie była szalańskim pomysłem, uplanowanym w celu prędszego odziedziczenia po niej.

Pan Piotruś szczerze jednem okiem płakał po majątku, a drugiem po faworytce i do końca życia powtarzał: „Wiem ja co to znaczy: niedźwiedzia przysługa".

KARJERA AŃCIUTKI

Jest las. Ileż w nim czaru i tajemniczej, wabiącej melodji... Jaki tłum istnień różnorodnych... Cały świat ponętny, po którym wędrować można bez końca, wciąż nowe odkrywając cuda. Każde drzewo ma swoją indywidualną historję, jest takie właśnie, a nie inne, miało te przygody z zającem, ogryzającym jego młode pędy, z pastuszkiem, łamiącym jego konary, ze złodziejem leśnym, który dziabnął po korze raz i drugi... A mimo to wyrosło wysokie, smukłe, bujne i wytęża swe siły, by ponad czuby towarzyszy spojrzeć hen, ponad bory szumiące, w dal tak dziwną i bezkreśną, że aż się ze zdziwienia chwieją ciekawe wierzchołki, kiwając jeden do drugiego i powtarzając sobie nowiny i wieści i przypowieści nieba, przestrzeni i ziemi i te, które im niosą głęboko rozrosłe korzenie i szemrzące, rozszeptane liście. Wieści z głębi tej ziemi. Wszystkie westchnienia niezaspokojonych umarłych, wszystkie tajemnice, zasilające soki żywotne, szlą po przez pnie smukłe i silne konary, poto, by je rozgwarzyły liście i rozśpiewały na wiatr gałęzie. Dlatego, gdy wicher przelatuje, jest w boru taki szept pośpieszny i zdyszany i dlatego tak strasznie by się chciało wiedzieć wszystko, co głośnym pogwarem zwierzają drzewa wichrom-latawcom.

Każde gada przytem inaczej. Dęby pomrukują ci-

cho, zahartowane, zamknięte w sobie i nieprzystępne lada jakim wzruszeniom; jeno w jesieni, gdy im ciemnozielone liście wilgoć rdzą okryje, szeleszczą głośniej, jakby starzy rycerze chrzęścili bronią czy pancerzami. Miękko i słodko śpiewa liśćmi brzoza, płaczka rozlewna, pokłonna wiatrom i burzom; głupio i sucho powtarza wciąż te same beztreściwe melodje sztywna osina, trzęsąca się bez powodu. Milcząca jest jarzębina strojnisia, krasą jagód w jesieni dumna, a najpiękniej śpiewają sosny, poważną i przejmującą opowieść, o najgłębszych tajemnicach ludzkich...

Wszystkie te głosy zlewają się w chór wymowny i odurzający gwarem; u stóp olbrzymów poszeptują gąszcze leszczyn, ożyn, chwieją się małe, zaklęsłe łączki, porosłe rudem trawskiem, wiksną szczeciniastą, której żadne bydlę tknąć nie chce. Wielkie kiście ciemno-purpurowych kwiatów wyjaskrawiają się na spalonych polanach, wśród czerwieni poziomek i malin. Paprocie, z wiecznie zaklętym czarem nocy świętojańskiej, rosną ciche, tajemnicze, i kryją w kielichach liści skarby, dające panowanie nad ludźmi...

Dalej, dalej, w głąb, w sercu boru!... Oto rojsteczki płowe, o mchach wymokłych, jasnych, jak brudne włosy dzieci wioskowych, z bladozielonym odcieniem. Stopa kołysze się na tych wklęsłych przestrzeniach, dnach wyschłych jezior, piszczą za każdym krokiem uginające się kożuchy mszaru i mętna woda znaczy krok przechodnia. Niedobre to miejsce: pleśń i rdza okleja pokręcone, chore chojary i brzózki biedne, wątłe, jak dziewczęta po zimie w kurnej chacie spędzonej, wychylające się na przednówku, w poszukiwaniu słonecznych promieni. Złomy drzew, zarosłe brodami mchów, grzybów miękkich i gąbczastych, rozpadają się w ohydną zgniliznę, jakieś, nawet w dzień, opary, dymią lekko z tego zatęchłego miejsca, gdzie cierpki zapach bahuniu, czar — ziela, odurza. Po puszystem podłożu jaskrawią się rozsypane, jak rubiny krwi kropel, żurawiny, bujne, soczyste, na nikłej niteczce łodygi niewidzial-

nej, przymocowane do krzaka. Wilcza jagoda, pijanica, rosną tu bujnie, dzieciom na pokusę i śmiertelne niebezpieczeństwo, duże, opasłe trzmiele bęcają o łodygi ziół a dołem przemyka się wśród złych ziół żmija, — gadzina ruda, lub gorsza jeszcze, żelazna, o cudnych, błękitnych błyskach stalowej sukienki i syczącem żądełku, które niesie jad, niechybnie zabójczy. Niedobre to miejsce.

Milsze stokroć, swojskie i wesołe są piaszczyste wzgóreczki, wrzosem porosłe, kędy wygodnie kopią swe nory „ryży" lisiura-chycior i znosi dzieciom kury wioskowe, wyrzucając tylko żółte łapy i głowy na skraj lasu. Tam się w liljowe, gęste kwiatki, po których tańczą i śpiewają słodkie pszczoły, utula szary biedak, zając, o wiecznie umierającem z trwogi tętnie serca i zdradliwych uszach, ponad głupio wytrzeszczonemi oczami, patrzącemi na oba boki w ciągłem poczuciu niebezpieczeństwa.

Na skraju lasu, na wzgórzu, chata leśnika. Pożal się Boże, rudera, dziurawa, jak sito. Co chcą z nią robią pory roku: w jesieni deszcz zalewa wszędzie, zimą mróz szronem osiada na czarnych, przesiąkłych dymem ścianach z belek, przetykanych mchem. O każdej porze gwiżdże, gdy chce, wicher przez szpary, przez malutkie, przyziemne okienka, o spalonych szybkach, a wciąż i wciąż sączy się w koło, zapełnia izbę mgłą wonną i gryzącą w oczy, dym kopcącego ogniska kurnej chaty. Żarna w kącie sieni, skrzypiące i piszczące ciężkim kamieniem, mielącym zboże na chleb, czarny, kwaśny i kleisty; pod piecem kury, króliki i czasami, jak dobrze mróz przycisnął, parsiuk. Kot także gdzieś tam się wałęsał. Wiadro z mętną, pachnącą mchem leśnym wodą do picia, i kubeczkiem obok, ławy dwie, w róg chaty się schodzące, przed niemi stół, nad niemi zapstrzone do cna obrazy święte, dalej kądziel, kuferek, barłogi ze szmat i kożuchów niewietrzone, niesłane, pełne pcheł, pluskwy w szparach, prusaki w cieple pieca, tamże cebrzyki z jadłem dla żywioły, nieczęsto myte sagany

i garnki, hładysze z mlekiem, pudełko od tytoniu z machorką, a drugie z solą. Prócz tego, cóż jeszcze? A muchy w przestrzeni brząkające swe serenady, oblepiające belki ruchomą, czarną czapą, komary bzykające wieczorami i pijące z wampirową rozkoszą krew uśpionych, no... i wszy oczywiście, w głowach zwłaszcza płci pięknej, zamieszkującej tę leśniczówkę dworską.

Jest jesienny ranek. Jedna z najprześliczniejszych rzeczy na tej ziemi. Wszystko wkoło jest tak rozkosznie piękne, że dusza ludzka pije przez oczy, bez tchu, do zachłyśnięcia się, całą barwność, subtelny wdzięk krajobrazu, który otacza się miękkiemi, opalowemi mgłami, jak śliczna kobieta, umierająca z żalu, że opada z niej młodość i krasa. Ale jeszcze się żegna ze światem, jeszcze chce mu zostawić po sobie wieczne wspomnienie, jeszcze musi być tą niezapomnianą, wrazić się w myśl, uczucie i wyobraźnię tak, by wszystko inne znikło na długo, by iść za nią zamagnetyzowanym wzrokiem, z trwogą, że oto wnet nie będzie jej już nigdy! Na chwilę, głupie serce ludzkie zapomina, że będą inne, równie cudne jesienie i inne cudne kobiety na drodze życia... Że zawsze ktoś, gdzieś i kiedyś, będzie odczuwał czar, płynący z piękna lasu, pól i wzgórz, oczu i ust, że będzie z tej symfonji pocałunków wiatru i warg, z tej melodji kroków, gestów, poszumu i szelestu. brał rozkosz, jeśli je wziąć będzie umiał, i niszczył ją, i siebie, i szedł jak błędny w bezcel i bezsens, a za nim odradzać się będą te same uśmiechy natury, kobiety, umierające z żalu, ale drwiące.

Z błękitno-białawo-liljowego tumanu mgły, rozcieranej jak pył pastelu na ścianie lasu, wynurzają się rude, żółte, czerwone i złote, krągłe korony drzew. U stóp ich, na skraju, w cieniu błękitnym, łąka jest tkana srebrem szronu, który się mieni zielono od traw, a purpurowo lub złoto od liści, przyszytych mrozem do królewskiego całunu jesieni.

W błękitnem, zda się zastygłem w kryształ powietrzu, płyną, jak motyle, jaskrawo żółte liście, zna-

cząc się na tle ciemno-zielonych, nudnych swą niezmiennością, łapczastych świerków, jaskrawo, złoto, jak rzucane talary, uciekającej od złych mocy królewny, lub gubiony przez chciwego kmiotka skarb paproci.

Jest jeszcze wiele innych piękności w tym krajobrazie... jest tęskna dusza tego kraju w tej ciszy, w tym zapachu grzybów, pleśni, „moczuły" i dalekiego dymu. Jest odosobnienie się od całego świata, tajemniczość pierwotnych istnień, której nie zrozumie człowiek przerafinowany i błądzić będzie wśród nich, jak w tym borze, bez dróg, bez planu.

Opodal chaty-leśniczówki na kartoflanisku kędy wśród burej ziemi, porozwalanej motyką, walają się miękkie, pomdlałe łodygi, chrząkając półgłośnie, szuka ryjem malutkich, różowych kartofli, wieprz brudnożółty, w czarne wielkie łaty. Gdy znajdzie smakowity korzonek słodkiego perzu, mlaska i stęka z rozkoszy, potrząsa ryjem i kicha różowym nosem, zjeżając ogromną szczecinę na grzbiecie. Nagle rzuca swą ucztę, z łbem spuszczonym zawzięcie i rechotem starego satyra... Z za krzewów głogu, malin, leszczyn, wysunęło się elfiątko tych obszarów, ostatni akord melodji, którą gra niepojęta tajemnica czasu i przestrzeni.

Bez błędu narysowała jej kształty natura, bez najmniejszej niedokładności wyrzeźbiła te smukłe, małe nogi i ręce, sine teraz z zimna i brudne od ubiegłej niedzieli. Z miłością, jakiś stwórca niewidzialny, delikatnemi palcami urobił ten cudny, czysty profil, o prostym, suchym nosku, o ustach bladawych, klasycznie harmonijnych, ale zaciętych czemś twardo... być może, że na tajemnicy urodzenia swej piękności. Włosy, jak skrzydła krucze, aż błyski stali na tej żałobnej czerni, ogarniętej wypłowiałą chustczyną, a oczy... niezapomniane, jedyne oczy, siwe i przezroczyste w spokoju, a przy wzruszeniu, milczącem nawet, mieniące się zielonym, szmaragdowym blaskiem wszystkich leśnych ziół i gąszczów. Brwi pędzlem mistrza nakreślone i rzęsy, aż za

długie, aż się plączą, aż cień rzucają na policzki, o cerze przydymionej, żółtawo-sinej, jak na portretach, na które nikt długo nie patrzał, w starych dworach, lub zapomnianych kątach galerji. „Kukuśka, kukuśka, ciuś, ciuś, Kukuśka, idzi durny, tylko że z nóg nie zwalił...", mówi dźwięczny, jak najszlachetniejszy aliaż metalów, głosik. Duży wieprz drapany po grzbiecie, krząka z rozkoszy, a mała śmieje się do niego zębami, jak migdały.

— To właśnie jest Ańciutka.

Ańciutka ma lat jedenaście. W kurnej chacie, której wieczny dym czerwieni jej oczy, mieniące się jak wody jezior okolicznych szmaragdem, szafirem i szaro-srebrnym blaskiem, mieszka od śmierci matki z siostrą, o kilkanaście lat starszą i starym ojcem.

— Siostra... przyjmuje podróżnych kawalerów, papka cały dzień w lesie, mamunia w piaseczku na cmentarzu, pod brzózkami"... tak opowiada Anciutka, jeśli ją pytać o jej życie.

Mówi wtedy swym srebrnym głosikiem prędko i drobno:

— Moje życie? A jakież moje życie!? Ciężkie moje życie na tym świecie... wiadomo, sierota... nie, bić, siostra nie bije, czasem tylko, da po karku... Ach, nie mogę, ja... nie mogę... nudno w tym lesie z parsiukiem tylko chodzić na szpacyjer.

— A co byś chciała, Ańciutka? — pyta ktoś kiedyś.

— Jedwabna, niebieska sukięka i tufelki białym futerkiem obszyte i biały kapelusik z piórem, o takim, takim — odpowiada bez namysłu, drapiąc się po zawszonych, przepysznych warkoczach, lub w zarosłą brudem, pokąsaną przez komary, nigdy niczem nie okrytą łydkę, obłamanemi i czarnemi pazurami drugiej nogi.

Gesty te zresztą, wykonywa z harmonijnym wdziękiem greckiej Tanagrety; nawet jak nos w palce uciera, nawet, jak rozdziera sobie śliczne, blade usteczka starą, drewnianą łyżką, przesiąkłą dawnemi tłuszczami, którą

wyławia ze wspólnej misy botwinę, czy ciężkie, klajstrowate kluski z kartofli i żytniej razowej mąki.

Co ten żołądek dostaje za pokarm, co asymiluje to zgrabne ciało dziecka! Jak siostra „zaleni się", a „papka" jest gdzieś po za domem, Ańciutka dostaje np. zupę, złożoną z wody nieprzegotowanej, a w niej nakrążaną zieloną cebulę i chleb. „Posoliwszy, zjesz"... Grzyby z kartoflami, to już przysmak, a cóż dopiero, jeśli jest dość pieniędzy i ochoty, by o parę wiorst iść do dworu po separowane mleko...

Lata po lesie, „jak fiksatka", a parsiuk za nią; oboje przedzierają się przez gąszcze, ona lekko, jak leśne bóstewko, „Kukuśka" sapiąc i pochrząkując, wbija się w plątaninę gałęzi i przyziemnem spojrzeniem swych małych, biegających oczków, zda się śledzić za lotnym biegiem swej pani, jakby jakiś tajemniczy twór, z tej bajki o Królewnie Pielędrusi i Królewiczu, zaklętym w potwora.

„„Ańciutka siedzi w kucki na skraju lasu. Podgarnęła pod czerkasową spódniczynę swe burakowe nogi, objęła je rękami zgrabiałemi od zimna i zadarłszy głowę, śpiewa, starając się jak najwyższe brać tony i jaknajpiskliwiej wyciągać nuty, bo tak każe moda śpiewania w okolicy szlacheckiej, skąd Ańciutka jest rodem. Dlatego też nie śpiewa, broń Boże, żadnych chamskich piosenek po prostemu (po białorusku), ale teksty, w rodzaju:

„Tam nad granicą zimna wodeńka,
Jako lod, jako lod,
Mojej damuli, słodka gębula,
Jako miod, jako miod!
Raz pocałuji, trzy dni smakuji,
W swem sercu, w swem sercu".

Zaciąga się melodją, aż jej oczy zalewają się płynnem srebrem jakiegoś upojenia nieuświadomionej rozkoszy.

...Ach chto tam ucha, kogo tam szuka,
Po lasach, po borach,
Kawalerz ucha, damuli szuka,
Orzechi szczypi, w kieszeni sypi,
Wiedź komu? Dla damyyy... dla damyy...

Szczeciniasty „Kukuśka" mlaska opodal, szmerając ryjem w śród rudych liści dębowych, kędy bronzowe i lśniące, leżą gęsto tuczące żołędzie, a Ańciutka wrzeszczy dalej, z rosnącem zapamiętaniem.

„Sionndem na krześle, palicem do głuowy,
Wysałapie jenzyk i natrzeszcze browy".

Nagle milknie i zrywa się, patrząc rozdziawiona na konia z jeźdźcem, który ukazał się tak nagle z zagąszczu lasu, jakby go tam wcale przed chwilą nie było, tylko tak, w jednej sekundzie stał się! Koń skacze w bok i prycha pogardliwie na widok i z powodu odoru „Kukuśki", jego atłasową złoto-bronzową sierść przebiega lekki dreszcz obrzydzenia i zdziwienia, że taki oto twór śmie się gdzieś u smukłych jego stóp plątać. Jeździec trzyma w ręku pęk jarzębin, kalin, wilczego łyka, purpurowych i złotych gałązek, puszystych ziół; ma białą, jak mleko twarz, błękitne, zimne oczy i z pod czarnego trikornu płowe mu widać pukle. Lakierowane sztylpy, granatowy rajtrok i biały węzeł krawatu, noszą ślady długiej jazdy po lasach, błotnistych łąkach i gąszczach.

Przez dość długą chwilę stoją i patrzą na siebie z rosnącą przyjemnością, każde jakby coś odkrywało nieznanego, ponętnego bardzo.

— Paniczu, ajej paniczu, — woła Ańciutka otulając pięściami pod brodą podarty burnusik, ot ślicznie, ot... skąd wzioł sie... taki śliczny panicz, jak lalka... jak królewicz.

Wesoły śmiech wionął ku dziecku zgóry.

— „Ty głuptasie, czy ty mnie nie znasz, przecie ja jestem panienka z Helenowa... a ty sobie co? Na kró-

lewicza czekasz parsiuka pasąc? Czekaj że, nie uciekaj".

Ale...! Ańciutka becząc ze złości, rwała przez chaszcze, wołając na krząkającego faworyta „turrturrturr" głosem pochlipującym i przeraźliwym.

Okropnego doznała uczucia upokorzenia i ogłupienia, bo to i moda! cóż ona winna, że „durniem wyszła" przed panienką, jeżeli teraz takie fasony strojów noszą w pałacu.

„Mężczyskie odzienie nałożyła i tylko teraz wstyd człowieku robi", poszlochiwała, pociągając nosem, schowana w chojarach, dopiekana jednak ciekawością popatrzenia jeszcze, i może, a nuż...? porozmawiania z tą wizją z innego świata.

Po pewnych preliminarjach, pertraktacje zostały nawiązane i parlamentowano po przez gałęzie, z pośród których wygramoliła się powoli Ańciutka, ocierając starannie śliczną buzię rękawami burnusika, z którego dziur wyłaziła brudna wata.

— „Czytać pewnie nie umiesz?" pytano z konia, trzęsącego jakby w zaprzeczeniu zgrabną głową i wyciągającego aksamitną wargę w dziób, by sięgnąć czegoś do przegryzienia, na tym nudnym postoju.

— „Umiesz trochi, na Officji papka pokazywał; mówi, zimo kupi lamentarz, tylko, że przy łuczywie uoczy bolo".

— „Ach, przy łuczywie... a do szkoły, do dworu żebyś przyszła uczyć się, co? Rankami?"

— „Ajej, a obrazki so? Ale ot, jakżesz ja pójde, u mnie bucików niema, i burnusik podrany".

— „Burnusik zaszyjesz, a boso możesz iść, jeszcze ciepło, potem zobaczymy".

— „Nie to żesz... wiadomo ciepło... ależ ja szlachcianka, jak mnie iść na lekcja boso... do dworu... te chaminje będo narągać się"...

— „Co takiego?... Nno... ty numer jesteś"...

— „Ja nie rozumiem? Co panienka powiedziałesz?"

— „To mówię: wymyj się dziś calutka, z głową!"

— „Gdzież ja pomyje sie, kiedy u mnie łaźni blisko niema".

— „Dobrze, to przyjdziesz z siostrą jutro, w sobotę do łaźni we dworze, wyszorujesz się, dostaniesz mydła, a w poniedziałek przyjdziesz rano do szkoły, to nic, że bosa. Jak będziesz dobrze się uczyć, zarobisz może na buciki".

— „A ci na guzikach?" drżącym głosem pyta Ańciutka, wznosząc oczy, zalane mieniącym się srebrnym blaskiem w górę, jak do modłów przed cudownym obrazem.

— „Koniecznie na guzikach... a czemu?".

Ańciutka kręci się, wiercąc piętą dołek w miękkiej próchnicy i biorąc w zęby róg szmaty, którą ma na głowie.

— „Nu już wiadomo... buciki na guzikach... dek z fasonem..."

— „Z fasonem powiadasz? A miałaś też kiedy jakie trzewiki na nogach?"

— „Njeee, Kostuńka swoich nie daje, a Papki jak włożę, to i przekulę się... cała zima tylko i siedź na piecu"...

Gdyby Ańcia była chłopskiem, białoruskiem dzieckiem, odrzekła by nia i nic więcej, ale właśnie szlacheckość jej objawia się w słowach, wymawianych inaczej, w używaniu wyrażeń zaginionych, w których słaby dolatuje odgłos wytworności dawnych fraucymerów pańskich i garderob pomniejszych dworów. Stąd też płynie unikanie wyrażeń, używanych przez „chamstwo", względna łatwość w wyrażaniu swych myśli, a przedewszystkiem, charakterystyczna śmiałość i poufałość, „równa wojewodzie", płynąca? Chyba doprawdy we krwi.

Konwersacja toczy się więc dalej dość poufale.

— „Nie lękasz się tak samą ze świntuchem chodzić po lesie? Tu zdaje się są wilki".

— „So, ale świnnych niema".

— „Świnnych wilków niema?... A jakież jeszcze bywają?"

— „Jest żesz wilk koniusznik, który bułany, ot pozawczora Lipikowi kobyła zadar, un na tamtej łoneczce, gdzie stecka, a świnny, taki sobie szaryńki, mniejszy, to jego tu nie widać".

— „No, ale do zmroku nie siedzisz chyba w lesie, nie siedź, jadłaś już obiad?".

— „Njee... ja po śniadaniu wezma kumpieleczek chleba i japków do kieszenia, i tak żyje".

— „I nie chcesz jeść?"

— „Jak kiedy to i zechcesz, to jak nadoje paść, to i uciekam".

— „A papka nie bije za to?"

— „Papka nigdy, nigdy mnie nie rucha, haniebnie dobry; siostrzyczka, bywa, że za włosy szmorgnie, ale ja krzyczę, nie daję się".

— „A czesze ona aby ciebie, wiesz, nie można do szkoły przychodzić z wszami, a pewnie masz".

— „Masz, odpowiada Ańciutka, spuszczając frędzliste rzęsy i ciemniejąc na twarzy, co było u niej oznaką rumieńca. „Gdziesz od nich podzieniesz się? Grzebuszek maleńki, a moje kosy duże, to ona jak zacznie darć... boli... ale ta hadość zagubię, ługiem dziś wymyję gorońcym"...

Te śliczne lśniące włosy ługiem!... Żeby się zrobiły, jak włosie końskiego ogona i bez blasku.

— „Czekaj, to już lepiej w łaźni mydłem".

— „A ci pachniącym?" pyta rozpromieniona, czuła i łaszcząc się do strzemienia z uśmiechem, jakimś dumnym i zalotnym.

— „Jak kto jest czysty, to sam jest pachnący, rozumiesz" zaczyna się na Ańciutkę zlewać dobrodziejstwo pedagogji.

— „Rozumiem. Panienka pachnąca, jak mydełko, ale to musi perfony?" pyta przymilnie i przewrotnie.

Wyszorowana, (niestety, ług był także w robocie), wyczesana, w upranej i połatanej odzieży, została Ańciutka przyprowadzona przez siostrę na lekcje. Kostuńka jest podobna do małej, tylko wszystko w niej grubsze i brzydsze; obie zresztą mają rysy ojca, suchego, wysokiego człowieka, o subtelnym profilu i pięknych, szafirowych oczach, w rasowej twarzy, zarosłej siwo-żółtą, źle strzyżoną brodą. Rodzina Ańciutki uprzejmie, acz bez czołobitności wyraziła wdzięczność, że się we dworze chcą trudzić tą „błaźnicą", poczem delikwentka zasiadła z własnego impulsu w pierwszej ławce, oglądając się przez ramię na „chamiństwo", a puszczając z pod rzęs słodkie spojrzenia i sznurując usta, ile razy zwróciła wzrok na Borowszczaków, dzieci zamożnego dzierżawcy, też ze „ślachtów". Wiedziała o tem lepiej, niż ile jest prawd wiary!

Tak to więc, jakiejś złotej i szafirowej jesieni, wychyliło się elfiątko z lasu, zwanego Ziaziulką, ku ludziom...

Pierwsze kroki Ańciutki w krainie wiedzy były równie lotne, sprytne i zuchwałe, owiane słodkim wdziękiem, wykrętnym i obłudnym, jak jej wędrówki po lesie, gdzie sobie dawała radę z przyrodą i zajęciami, wykonywując takowe w granicach własnej ochoty.

Bajecznie szybko przyswajała sobie wszystko, co było niejako... błyskotliwością, w skromnym zakresie tego amatorskiego nauczania ukrytej, dworskiej szkółki przedwojennej. Więc wierszyki, trafne odpowiedzi, uwagi, zachwycające inteligencją. Dzieci chłopskie, naogół bezkrytycznie przyjmowały zdumiewające nowości, które chciwie i z przyjemnością chłonęły, i zadając, po przyswojeniu się, masę pytań, nie miały właściwie zdania o rzeczach, których się uczyły. Ańciutka zaś, dobrze, jak nie przerywała nauczycielce słowami

„a mnie zdajsie"... i wyrażała pogląd, że np. ziemia jest płaska a o słońcu „nikt tam nie chodził patrzeć". Przy nauce katechizmu wygłosiła raz, że „mnie zdajsie jest takie grzechi, że i odpuszczenia być nie może". — „Co takiego?" — A ot, jak kto na ruska wiara przejdzie... pierekińczyk znaczy się... to już takiemu musi i Pan Bóg nie odpuści i na wieki gorzeć będzie w samej że paszczęce Lucypera w piekle"... wygłosiła, patrząc w przestrzeń rozszerzonemi, lśniącemi źrenicami, jeszcze przeraźliwszego blasku, wskutek tej sadzy gęstych, długich rzęs.

Przypochlebiała się najsłodziej nauczycielce, paniience i wykręcała się biodrami, spuszczając długie powieki, gdy do niej zagadał ktoś lepiej ubrany, zamożniejszy chłopak. Ale na szturchańce innych rozwrzaskiwała się wnet na cały dziedziniec czy izbę...

— „Nie śmiesz mnie ruchać, moja mamunia ślachetnego rodu i papka szlachta, a wy poddane byli!"

Dość dużo się trzeba było napracować, by jej choć w formie zewnętrznych objawów wpoić bardziej demokratyczne pojęcia. Lgnęła do wszystkiego, co było śladem, echem nieznanego wszak zupełnie zbytku; oczy jej literalnie gorzały na widok szmatki jedwabnej, kolorowej, a przez szczupłe policzki przesuwał się ów cień, jakby gęstszy dym, na tej cerze przyćmionego kurzem alabastru.

Była zresztą bezwzględnie uczciwa i gdy raz po zszywaniu jakichś gałganów na tkanie dywaników, ze swym śniado-różowym rumieńcem na twarzy, pociągnęła do kąta panienkę i pokazała jej ściśnięte w garstce strzępy balowych sukni, wzdychając bez mowy i całując raz po razu rękaw rozdawczyni najwyższych łask, zrozumieć było łatwo, że czy się jej to odda czy nie, to nie ruszy nic. A kłamała obok tego jak na obstalunek! Zapierała się bijąc w piersi lub słodko patrząc w oczy ze złożonemi rękami; lejąc łzy jak płynne kryształy, bez brzydkiego skrzywienia cudnej twarzyczki.

Jest bardzo trudno być surowym i karać śliczne i miłe dziecko, choćby miało najpaskudniejsze wady. To też Ańciutkę psuli mimowoli, potrochu wszyscy. Zaczęło się od stroju. Dostała jakiś estetyczniejszy, czysty przyodziewek. Już tegoż dnia, zakąsując w piekarni po nauce, śpiewała na głos: „A pani mnie sprawi jedwabna sukienka i trzewiczki lakierowane i kapelusz z pióóóreeem!"

Od tegoż dnia przestała „tarmosić się" z dziećmi w czasie pauzy i ruchy jej zawsze harmonijne stały się ostrożniejsze, delikatniejsze.

— „Idź się bawić Ańciu".

— „Niechaj sobie ja posiedzę, a to oni mnie sukięka popeckajo".

Przyswoiła sobie sztukę pisania i czytania w dość specjalny sposób. Nauczyła się niby i jednego i drugiego szybko, ale niedokładnie i źle. Czytała, umiejąc lepiej od innych opowiedzieć treść bajeczki, ale przekręcając słowa, łykając litery i końcówki, a w pisowni gryzmoląc jak kura i robiąc tyleż błędów co słów. Stanie w kącie, jedyna kara stosowana w tej szkole, wywoływało cichy, lecz tak obfity strumień łez, że zdawało się, iż „spłynie łzami"; nie jadła potem, nic nie mogła mówić, ani robić, tylko siejąc wielkiemi kroplami, które toczyły się po jej buzi jak po gładkim marmurze, łkała cicho kilka godzin.

Gorszy od kąta, spotkał ją jednak despekt od ukochanego „Kukuśki", którego życzliwość i przywiązanie zlekceważyła wobec ponęt szkoły, dworu, piekarni i całego tego nowego świata, do którego na kilka godzin dziennie wchodziła.

Zmieniało to przyzwyczajenia grubego zwierza, i wcale mu nie było do gustu. Chrząkał niezadowolony, szturchał nosem w zagrodę, by iść za Ańciutką i rwał za nią krótkim galopem, rozbryzgując błoto gościńca, aż go nie odpędziła. Jesień już się czyniła późna, zimne niebo zlewało drogi drobnym, nie chcą-

cym wysychać kapuśniaczkiem. Słychać było nieustanny klekot mędlenia lnu lub koło chat drobny stukot szatkowanej kapusty. Dymy się snuły nisko, a wysoko jęczały i lamentowały wśród ponurych chmur klucze żórawi. Dzieci szukały kasztanów i wypatrywały zapomniane, ostatnie jabłka i śliwki w sadzie, a wróciwszy do szkoły pociągały nosami i przebierały zsiniałemi nogami pełnemi błota.

Ańcia, mimo, że miała najdalej, że szła sama przez las, czasami o zmroku, jak się zasiedziała w piekarnianem cieple, na wyszczekanych przekomarzaniach się z parobkami, mimo, że była dotąd boso i zaczynała trochę kaszleć, wytrwale nie opuściła ani jednego dnia. Kiedyś, nie zjawiła się o zwykłej godzinie, dopiero znacznie później, gdy ku jej pognębieniu, właśnie wszyscy byli na dziedzińcu. Naprzód usłyszano piekielny wrzask i jazgot psi, nawet gorzej, bo taksi, a wszak żaden pies tyle przeraźliwego hałasu nie narobi, co rozkoszne, kiszkokształtne jamniki. Od białego mostu, na rzece, wśród olch, aleją lip i jesionów, gnało jakieś parforce, jakaś arsgarsdrea, ragnarök, jazda apokaliptyczna, w promieniach żółtometalicznych słońca, wyglądającego ciekawie z za ciężkich szafirowych zwałów chmur. Na przedzie, niesiona szałem ponad kałuże i tylko śmigając gołemi nogami leciała Ańcia, z bekiem wyjątkowo głośnym, straciwszy wszelką dystynkcję i „fason". Rozkudłane warkocze, mokremi pasmami spływały na porozrywany burnusik, a spódniczka była beznadziejnie podarta, w strzępy niemal. Jej rozpaczliwy, wściekły pęd był zresztą bezcelowy; bo oto wślad za nią tuż, tuż, zziajany, z pianą u kłyczy, rechocząc się szatańskim śmiechem, bulgoczącym mu w zatyłem gardle, wydając dźwięki, wyrażające jakąś przekorę i przerażenie zarazem, gnał jak pocisk siły fatalnej... oczywiście... „Kukuśka"...! Brykał w błoto wszystkiemi czterema, twardemi kopytkami sztywnych nóg, ciężkie swe, nieobrotne cielsko, zjeżone szczotką łaciastej

sierści, wypuścił upartym galopem za znaną mu postacią pastuszki i postanowił nie dać się dziś opuścić, tak haniebnie jak zwykle i dać Ańciutce umknąć mu chytrze z przed ryja, w gąszczu leśnym. Wyniuchał ją, wyszukał, dojrzał i dognał, a teraz gdy uciekała rwał z czterech kopyt, trzęsąc uszami i karkiem, mając w koło i za sobą całą dworską psiarnię, dobierającą się do jego boków i ogona, co mu było specjalnie dotkliwie, bo chrząkający swój gon przerywał przeraźliwym kwikiem, od którego psy literalnie szalały ze złości i ujadały całą paszczą.

Wszystko to, wśród pękania ze śmiechu i pisków dzieci, które tarzały się po ziemi z uciechy, dopadło ganku i prawie się przewróciło: Ańcia w objęcia panienki, sforsowany wieprz tryknął łbem w schodki i stanął osłupiały, psy wleciały między dzieci i odpędzone, ziały zdaleka niezaspokojoną furją, kąpiąc pianą z powywalanych, różowych, jakby szronem pokrytych ozorów.

Moment był krytyczny, reputacja, prestiż Ańci na włosku wisiał, ba, nie wisiał, leżał pod kopytami przeklętego „Kukuśki", który nieświadom uczynionego skandalu, ze spokojem starego cynika - filozofa, zaczął się rozglądać po ziemi za zakąską, ciamkając z przedsmakiem jadła.

Dzieci wrzeszczały jedno przez drugie: „Niechaj jego, tego parsiuka! Ot Ańćka z kawalerem przyleciała! A ja myślał co czort za jo pędzi sie! Isz ty durny, gdzież czort w dzień poleci, kukuś, kukuś, a ważnyż parsiuk, kiedyż wy jego zakolicie?" pytały starsze z miną gospodarzy.

— A jaki chitry, isz, nalaz jo! Chciał do szkoły. To on twój kolega, Ańćka? Nie szczyp się, ty, tylko co nie przekulił. Pani, on szczypi się! Pichnoł mnie!

Ańcia ryczała bez żadnej „pomiarkancji".

— „Przynieście jemu kaczanów od kapusty i kartofli, tam koło sklepu, trzeba mu dać, za to, że on taki poczciwy, lubi swoją panią, znudził się bez niej.

Widać dobra dla niego byłaś Ańcka, dbałaś o niego, no, to widzisz, on pobiegł zobaczyć gdzie ty chodzisz i czy tobie tu dobrze. Prawda?"

Ańcia momentalnie ucichła. Honor był ocalony i całe zdarzenie wytłumaczone w jak najpiękniejszem świetle stawiając postępki jej i utrapionego „Kukuśki". Łzy jej wyschły, świetliste oczy wzniosła z bezgraniczną wdzięcznością ku panience i westchnąwszy ciężko, ale z ulgą, wyznała pocichu: „Ale zawszeż on mnie wstydu narobił, niechaj jego".

Zimna i deszcze, chłoszczące pilną Ańćkę, biegającą wytrwale do szkoły poniekąd zdecydowały o jej losie. Po kilkorazowych luźnych uwagach rzucanych w przestrzeń przez tych i owych, po troskliwem biadoleniu nauczycielki, że dziecko się marnuje i nerwowej litości panienki, która „znieść nie mogła", że ta ślicznotka żyje w takiem upośledzeniu, najwyższe wyroki, „Państwo", zdecydowali, że jednak można, lepiej, trzeba by wziąć Ańcię do dworu. Gdy te perspektywy otworzyły się przed oczami małej, a wieści doszły stale nastawionych nieznacznie uszu, zanuciła pienia triumfalne: „A ja będa mieszkać w pałacu, w pałacuuu", darła się dźwięcznie i piskliwie wśród mokrych, czarnych od deszczu opłotków. Ale znacznie straciła na rezonie, gdy wyższe wyroki przeznaczyły jej, tymczasem, piekarnię na rezydencję, a grubą Agatę na opiekunkę.

Niedługo tam popasywała. Resztę zimy spędziła na harcach z piekarnianem towarzystwem, wywołując podziw swą zuchwałością i absolutną niesubordynacją względem osób tam mieszkających. Inna rzecz, jeśli ktoś z państwa coś kazał. Ańcia poniekąd pomiatała swem otoczeniem, to było na dnie jej sposobu bycia, choć tego nie czuła może sama.

Latem, by nie zostawić jej bez zajęcia, bo to wytwarza złe instynkty (praca uszlachetnia i żadna nie

hańbi etc.), powierzono jej pasanie kaczek. Nie można powiedzieć by się godnie wywiązywała z zadania. Jeśli się jej szukało o przygodnej godzinie, to trzeba było iść wszędzie, tylko nie tam gdzie kwaczące, szaropióre stadko, ciapało płaskiemi dziobami po błocie. Wpuściwszy je w gąszcze nad rzeczką, Ańciutka gnała na pola i lasy, wytańcowywała z dziećmi, na łąkach, ku ogólnemu zgorszeniu latała goła po rzeczce, w wodzie po kolana, rozbryzgując srebrzyste strugi koło siebie, zgrabna i malownicza jak młode fauniątko. Ale... nie wypadało jej o tem mówić, ani okazywać zachwytu. Było to dla wszystkich trudne zadanie.

Jesień przyniosła znów zmiany, bowiem od wielu miesięcy szły raporty konfidencjonalne, po przez oficyny, stancję ochmistrzyni, kuchnię, kredens i garderobę, że Ańćka acz skądinąd „milińka i pocieszna błaźnica" „jednak nadto wyrabia się z chłopcami!!" Bliższe określenie tego, zrozumiałego zresztą doskonale dla tubylców wyrażenia, oddającego plastycznie sposób bycia elfiątka z lasu zwanego Ziaziulką, w gromadzie ludzkiej przebywającego, zostało szczegółowo omówione nie raz i nie dwa. Na ganeczku izby szkolnej między panienką Elą i nauczycielką Lolą, w kuchni przez kucharza, ministra dworu, od którego wyroków nie było apelacji, w kredensie, między lokajem Szymonem, otoczonym kłębami dymu „papieroski" i ogrodnikiem, ospowatym Ignacym, mieszkającym obok piekarni. W garderobie, szeroko się rozwodziła nad „rozpustnicą" ochmistrzyni, wyschnięta stara panna, w wiecznych i beznadziejnych amorach z rządcą i kłótniach o poślad, wdając się wyjątkowo w obszerne konwersacje na temat, co z takiej wyrośnie", ze swą znienawidzoną rywalką, milutką pokojową Stefcią. Całkiem już rzeczowe indagacje, przeprowadziła sama Pani w apteczce, przy wydawaniu porcji „dla ludzi", grubej i bardzo głupiej Agacie, mającej zwyczaj potakiwać absolutnie na wszystko co do niej mówiono, która to słodka cnota nie uchroniła jej

od tego, że jej „chłopcy" wylewali od czasu do czasu zacirkę, czy rzucali oładki na głowę, uważając, że jadło nie dosyć pływa w tłuszczu.

Konferencje o manierach Ańci, po kilku tygodniach wyczerpujących rozmów, czasami przy obiedzie, czasami przy wieczornej różowej lampie, w bibljotece pachnącej książkami, mahoniem, a w dzień poczty świeżemi gazetami, wydały rezultaty. Ponieważ zostało nieodbicie stwierdzone, że mała „tarmosi się z chłopcami" wrzeszczy na nich ,jak stara, różne takie słowa"! (bliżej nie dało się ustalić jakie, tylko miny naocznych świadkiń wymownie dawały do zrozumienia, że nie są to wyjątki ze Snopka, czytanki dla dzieci). Ponieważ pytała już Adolfy: ci będzi ze mno żenić się?" A Kaziuka „a z kim ty kochasie?" zaś powiedziała „la Ryszardego": „żeby ty, nie to podfurmańszczyk, a sam furman był to ja by z tobo nie kochała sie" co specjalnie ubodło jędzowatą Grasylkę, która go darzyła względami u stołu i... tam dalej. Ponieważ zostało stwierdzone, że w piekarni przykłady... i rozmowy... a siostra w leśniczówce Ziaziulki też nie najlepsze wzory moralności w dziecko wpajały, więc po przyjemnem przez kilka tygodni spędzeniu wolnych chwil na rozmowach o tem, zostało odniechcenia, dla zmniejszenia wrażenia, powiedziane, żeby Ańćce zaaplikowano wzmożoną porcję łaźni (bez ługu), gęstego grzebienia, by wyprano parę sztuk jej bielizny, oraz poduszczynę i... przewędrowała do pałacu.

O ile ewolucja z leśniczówki, od „Kukuśki" Kostuńki i zwykle nieobecnego Papki do piekarni odbyła się przy akompanjamencie hymnów triumfalnych, o tyle przestąpienie progów pałacu zostało przyjęte przez Ańciutkę z cichą, rzec można skoncentrowaną namiętnością. Pycha i zadowolenie wyrażały się w każdym jej ruchu, ostrożnym, jakoby spętanym, z jednej strony obawą stracenia tych nowych rozkoszy, z drugiej, płynącą z tej obawy słodką uległością, obłudą spuszczonych oczu, min Madonny, odpowie-

dzi godnych małej świętej z kalendarzy Miarki. W przeciągu zimy, rosnąc w cieple, czystości, syta, dobrze karmiona i ubrana, wyspana w pościeli, żyjąca wrażeniami miłemi i w warunkach, które były dla niej ciągłą, nieustannie żywo podniecającą rozkoszą, rozwinęła się i pięknniała jak dzieło sztuki, wykańczane ręką rozmiłowanego w swem dziele artysty. Z chudych kształtów zgrabnego dziecka mężniała i prężyła się nowa forma wdzięków, które były jakby ciągłą muzyką ruchów, przeginań się, sennie uśmiechniętej tworzy, o cerze śniadawego alabastru, o oczach wpatrzonych w coś dalekiego z pod zmęczonych ciężarem rzęs powiek. Tylko miękka, półgłośna melodja oddać by mogła niezmierny wdzięk kołyszącego się chodu Ańci, gdy szła przez dwór, pochylając na bok głowę ze lśniącemi stalowo czarnemi włosami rozczesanemi na obie strony skroni i zwisającemi grubym warkoczem. Była ciągłą rozkoszą oczu i najdziwniejszem było, do jakiego stopnia zdawała sobie sprawę z wrażenia jakie na każdego wywiera.

Gdy jej robiono jakieś uwagi czy wymówki w kredensie, ujadała się głosem starej jędzy, piskliwym i gardłowym; w garderobie starała się zmiażdżyć szczebiotliwą i pełną prostoty Stefcię, cedząc odpowiedzi syczącym głosem, z zimnym przekąsem, sznurując usta z miną kasztelanki, przemawiającej do fraucymeru. Lecz jeśli ktoś z państwa zabierał się do mniejszej czy większej admonicji, bogata gama jej oddźwięku na wrażenia i jakieś tajne własne rozumowanie, zmieniały ją znów całą w inny typ, inną istotę.

Słuchała w milczeniu, z twarzą niewzruszoną, tylko podnosząc od czasu do czasu, na krótko, ciężkie swe powieki i oczy, mieniące się przepływającemi przez nie falami świetlnemi. Drżało w nich płynne srebro, nalane po brzegi, to lśnił spokojnie słodki szafir, to latały zielone błyski. Mimowoli myślało się widząc te spojrzenia, jak też zczasem będą reagowali mężczyźni na tyle wdzięków, tyle wrodzonej zalot-

ności i ukrytych pasji? Ańcia nie patrzała na mówiące do niej osoby, tylko gdzieś modlitewnie, wysoko w przestrzeń, i odczuwając nerwami słabnącą presję napomnień, jakieś załamywanie się głosu, czy napływającą falę łagodności, u osoby zachwyconej tem cudeczkiem, zaczynała się uśmiechać nieznacznie, może nawet współświadomie, ale tak triumfalnie i przewrotnie, że na widok tego szatańswa, wyłaniającego się z tego anielstwa, niepokój ogarniał, i człek świadom spraw tego świata, odchodził pytając sam siebie z troską:

„No, no, co też z tego wyrośnie?"

Tymczasem rosło coraz śliczniejsze stworzenie, we wdzięki coraz bogatsze i w cnoty coraz usilniej wdrażane. Właściwie nie była to dziewczynka sprawiająca kłopot otoczeniu. W miarę inteligentna i pracowita, miała w charakterze spokojny umiar i równowagę zalet i wad, rozwijających się normalnie, pod wpływem warunków zewnętrznych, jak każde młode stworzenie. A jednak wytwarzała koło siebie niepokój jakiś i podejrzenie, że coś kiedyś się zdarzy z tą Ańcią takiego... takiego... że no!? I nikt nie byłby potrafił określić, czy, gdy dorośnie, da się za kogoś zabić, czy też kogoś zamorduje?

Tylko wciąż, wrażliwsze instynkty odczuwały w jej bliskości jakiś wiew katastrofy i obawę czegoś, co się czuło, że tkwi, drzemie, kołysze się na dnie tych oczu, w tej istocie, ze stanu pierwotnego przerzuconej w zetknięcie się z atmosferą wyrafinowanej cywilizacji.

W tym kontakcie z pięknem „pałacu", osób ładnie ubranych, słyszanej muzyki i śpiewu, oglądanych dzieł sztuki, w tym komforcie i elegancji dotykalnych dla niej, ale nie posiadanych, widzianych, ale nie używanych przedmiotów, jakież w tej pięknej istocie, która widziała codzień swą postać królewiątka w dużych lustrach salonów, kędy sprzątała, „przy-

stawiona" do pomocy starszej służby, jakież tworzyły się zmiany, jakie rozwijały instynkty?

Była w atmosferze zacnego, bogobojnego dworu, pod troskliwą, życzliwą opieką, a jednak... to powietrze, którem oddychała, mimo że było przeniknięte wonią kwiatów, perfum, obrazów i książek, było dla niej niebezpieczniejszą może trucizną niż odory kwaśnej kapusty i Kukuśki, wchłaniane w Ziaziulce, starej u skraju lasu leśniczówce.

Czar bowiem piękna i bogactwa działał. W gwałtowny przytem sposób zaczynał na nią działać odwieczny, nieunikniony czar mężczyzny.

Na to nie było sposobu. Żaden magnes nie drga tak ku swemu biegunowi, jak ta kruczowłosa madonka na widok przystojnego, a zwłaszcza eleganckiego chłopca.

„Panicz z fasonem", był dla niej czemś, od czego traciła prawie przytomność, a w każdym razie wpadała w stan odrętwiałego, sennego osłupienia, wybuchającego czasami objawami nie liczącemi się z niczem pociągu.

Przez lat kilka, były to drobnostki, ale tak charakterystyczne, że zaciążyły nad tem ślicznem dzieckiem jak znak fatalności, od której nie było ratunku, ni ucieczki.

Co miało być to będzie ;nie uniknie Ańcia z Ziaziulki swego losu, tej gwiazdy migotliwej i lśniącej, która jaśniała nad drewnianym dworkiem z ganeczkiem wśród, ruty i mięty, w zapadłej okolicy Litwy, kiedy ją matka rodziła.

Zbliżając się krok za krokiem, rok za rokiem do zdarzeń, dla których widocznie przyszła na ten dziwny świat, tak pogmatwany i bezsensowny, żyła tymczasem Ańcia w krainie pół baśni, pół rzeczywistości, jedną częścią duszy w kredensie i garderobie, drugą, w salonach i we wspomnieniach „wieczorynek" od-

wiedzanych krótko i po długich ze starszemi ceregielach, więc tem bardziej nęcących.

Słodkaż to była trucizna ta atmosfera pięknego dworu dla dziecka z lasu, dziecka-kobiety, mającej ze wszystkich cech swej istoty najsilniej rozkwitający instynkt pierwotny, odwieczny i fatalny: namiętne pragnienie podobania się.

Ańcia była wrodzoną zalotnicą, była nią gdy brodziła po rojstach i rowach z „Kukuśką", gdy pasła kaczki, gdy zamiatała podłogi, chyba nawet wtedy gdy oddychała. Uwodziła i kokietowała całe otoczenie, a warunki wśród których żyła, rozwijały w niej tę wrodzoną właściwość, nadając jej tylko cechy coraz wytworniejsze i pragnienia coraz... wyższe.

Był to wynik nieunikniony i fatalny codziennego przejmowania się urokiem wyrafinowanych wrażeń otaczających ją, czy spoglądała na piękne obrazy, o których jej mówiono jeśli o nie pytała, czy widok dziwnych bronzów, rzeźb, porcelany, pełnych szaf i komod, sukienek i bielizny, które przecież żadnej z obecnych „Panienek" nie zdobiły tak, jakby ją zdobić mogły gdyby się w nie ubrała.

Czy zdawała sobie z tego sprawę? Narazie może nie.

Życie jej jednak ówczesne było jak owej córki młynarza z bajki, co to przyjechała i była piechotą, odziana i nieodziana, dała prezent i nie dała, bo skowronek wyleciał jej z ręki, a chytry pan nic nie dostał! Ańcia brała udział w życiu ludzi, którzy nieświadomie podsuwali jej uczty, ukazywali cuda i udzielali wrażeń, do jakich nie mieli zamiaru zaprosić ją na współbiesiadniczkę.

Jak za szklaną szybą ukazywał się Ańciutce świat, gdzie wszystko zdawało się wieczną zabawą, przynajmniej własną fantazją. Gorzej, czasami otwierała się owa puszka Pandory, usuwała się szklana zapora i były godziny, gdy Ańcia, dzięki odbywanym razem grzybobraniom, zbieraniom jagód czy układa-

niom bukietów, szyciu dla dzieci na choinkę, wreszcie w gwarze i rozbawieniu gromady młodzieży, przy patrjarchalnych i mile poufałych stosunkach jakie dawniej panowały na Litwie, pomiędzy służbą, a „Państwem" mogła się śliczna, układna dziewczynka czuć tak, jakby to był jej świat.

A dopieroż gdy artystyczne pomysły *Panięki* wprowadzały dzieci jakby gestem wróżki w czarowną krainę baśni, przedstawień, strojów fantastycznych, że przez godzin kilka żyły oderwane tak daleko od swych brudnych chat, jakby je czarami przemieniono w inne istoty i przeniesiono na inną planetę.

Takie Boże Narodzenie!... Któż o chwilach tamtych zapomnieć zdoła?

Dni płynęły miękko, godziny były puszyste, ciche jak te trzepoczące się płatki śniegu, tłumiące wszelki gwar i łoskot wyobraźni, a zostawiając jeno słodkie marzenia, czułe i przemilne. Lekcje nie były już najciekawszą sprawą dnia, ani wesołe piosenki.

Żyło się w świecie bożym aniołów i świętych.

Bez tchu, bez innej myśli jak o tem: co to będzie? wisiały dzieci nad temi sprawami. Zdawało się, że ich serca i wyobraźnia zawieszone są na złotej nitce migotliwie lśniącej i która się wyciąga, zwiesza... wypręża, aż pęknie w jakąś olśniewającą gwiazdę — fajerwerk, rozsadzającym pierś uciechą, czy zachwytem. Coraz bliżej, coraz to jeden dzień umyka, odrzuca się do kosza ze staremi papierami... Ach te najbardziej niepotrzebne dni oczekiwania na szczęście! Każde, do najmniejszego bębna, umie cały tekst Szopki na pamięć, aktorzy, dobrani po wielu próbach i namyśle, są chwilami opanowani zabójczem poczuciem, że „Panięka, jak ja zalękna się, to musi nic ze mnie nie będzi"... Lekkie zazdrości... każdy chce być królem czy aniołem, pasterzem nikt... Milczącą rolę Najświętszej Panny, powierzoną malutkiej, prześlicznej Zosi, otacza respekt, który spada i na dziewczynkę, chodzącą w skupionem wniebowzięciu.

Krótkie, blado-sine dni grudniowe, przesuwają się przez szyby, czasami jak srebrno - brylantowe olśnienia, czasami jak stężałe kryształy, wchodzące ostro w serce przy oddechu, jakby na śmierć całowała Królowa Śniegu w bajki.

Wreszcie godziny stają się coraz szybsze, każda pełna jak pudełeczko z zabawkami... już lecą jak chwile, zawrotną szybkością mijają nas, pędzone naszem pragnieniem; drżą ręce i bezsensowne wybuchają śmiechy, małe nogi tupią z bezmiernej, nie mieszczącej się w sobie, niecierpliwej radości. Co tam „Kucja", potrawy raz w rok jedzone, choćby i kisiel najsłodszy z żórawin, czy śleżyki z białym, mlecznym makiem! To znają wszyscy zawsze, o tem się wie od dawna, żadne to dziwo, ani wyjątkowość. Ale Szopkę mają dzieci tylko w tym dworze i tylko ten dwór w okolicy najdalszej, ma zimą ogród zielony, pełen kwitnących kwiatów, — gdy mróz i śnieg za oknami!

Każda minuta teraz staje się cenna, jak płynne złoto. Być wszędzie i nic nie uronić z dziejących się misterjów, nigdy nie oglądanych!...

Wszystko to wchłonąć, wziąć w siebie przez oczy rozdzierane ciekawością, przez rozdziawione gębusie, z zatrzymanemi wpół westchnieniami rozkosznego podziwu.

Alboż jest jakaś różnica między wyśpiewanemi w kolendach dziwami, a tem co tu się dzieje? Nikt silniej od Ańci nie odczuwa całego czarodziejstwa tej nocy, błękitnej, mroźnej, przetykanej siwym cieniem oszronionych, obrosłych białemi piórami drzew, wśród których seledynowem jaśnieniem płoną wielkie, poczwórne okna *orandy*, a w niej... Czy jest jeszcze żywą, prawdziwą dziewczynką? Być nie może! Oto unosi się przecie ponad gąszczem roślin, kwiatów, w szacie jak śnieg białej, ze śnieżystemi skrzydłami u ramion, ze złotą gwiazdą u czoła, po nad śpiącemi pastuszkami, ponad ciżbą głów, rozwartych oczu, nieprzytomnych ze zdziwionego zachwytu twa-

rzy. Ze swą ciemnawą cerą peruginowskiej Madonny i kruczym płaszczem włosów, Ańcia, mając po bokach dwa złotowłose, różowe aniołki, wygląda sama jak młody archanioł, wieszczący ludziom Zło i Dobro równie potężnie. Ona jedna robi wrażenie że przybyła z zaświatów i do nich wróci za chwilę, jej głos bez intonacji płynie jak przenikliwa melodja z dalekich przestrzeni. W seledynowem, przyćmionem świetle lamp niewidzialnych, w zieleni krzewów, z tą nocą zimową za szybami, wszystko staje się wi, zją czarującym snem, ulotnym i zwiewnym, jak wszystko, co aż tak dobre i piękne. Gdy Ańcia woła z rozszerzonemi natchnieniem oczami: „Świecie! Ludzie! Ziemi twory! Nieba lśniące gwiazdozbiory! Piekło drżące w swej głębinie! Stójcie!... Chór anielski płynie"... wydaje się jej samej i wielu obecnym, że przywołuje moce Ziemskie, Niebieskie i Piekielne i nikt już nie wie, czy jest aniołkiem z szopki, czy potężną, młodziutką czarownicą w Walpurgisnacht zaklinającą duchy, tak twarz jej blednie i ona cała staje się niesamowita, silniejsza, niż ta cała słodka i miła śliczność, stojąc tak ze swemi ogromnemi, lśniącemi fosforycznie oczami. Chwila staje się najdziwniejsza... Jakieś kryształowe, górne szczęście, wśród którego niema miejsca na kroplę goryczy, na żadne złe wspomnienie, zaklina serce w radość dziecięcą, ufną, w pieśń radosną, niesioną wybuchem krzyku z rozwartych buziątek cudnemi dźwiękami drżącemi srebrnie w powietrzu. W gardle, w piersiach, w każdej krwi kropli tętni zachwytem, weselem, rozkoszą bez granic! Bije tu sto serc dużych i małych rytmem jednakiej, prostej radości, sto par oczu patrzy na niewinne i śliczne widowisko: korowód pastuszków z darami, bogatych królów wschodu i zachodu u stóp siwobrodego Józefa, Marji Panny i malutkiego Jezuska wyciągającego pulchne rączęta ze żłobka, z pod słomianej strzechy. Proste, zrozumiałe idą w ten tłum słowa „Dobrej Nowiny".

Któż wybrać i osądzić potrafi kiedy jest piękniej? W noc wigilijną, kiedy w tym ogrodzie zaklętym wśród śniegów, zakwita betlejemska gwiazda, czy gdy płoną nazajutrz dziesiątki gwiazdeczek na choince i we wrzawie radosnej, w chichotach i popychaniu się, anioły, pastuchy, króle i święty Józef, zbywszy powagi, wyciągają ręce wraz ze zwykłemi śmiertelnikami po łakocie, o których się rok cały opowiada wszystkim nieznającym tych wyborności?

Kolendy zanoszą się od radośnego krzyku dzieci i dorosłych, niebo zdaje się bliższe, i poufalsze zdarzenia owej dalekiej, dziwnej krainy Judejskiej, kędy się Chrystus narodził. Zaiste. Oto żyje w weselu wśród nas i pozwala maluczkim rozsiewać swe błogosławieństwa... Skrzą się świeczki choinki, dom cały kołysze się, tętni, bucha melodją... Miłowanie społeczne, Chrystusowe, rozpościera zda się dotykalnie swe anielskie skrzydła nad tymi ludźmi dobrej woli...

A tam, pod drzewami, leżą już pewnie te kamienie, które za lat kilkanaście rzucą te oto niewinne rączęta w szyby tego dworu, te dziś rozanielone oczęta szukać będą co by zrabować... i leży gdzieś w magazynie broni ten browning, którym Ańcia... ale o tem nikt nie wie na szczęście... na szczęście...

I wszyscy śpiewają społem radosne dobre kolendy ze starych kantyczek, w nierozerwalnem, zdawało by się, zbrataniu uczuć...

— Ańciu, czego ty tak płaczesz?... No, powiedz że raz... powiedz? Zrobiłaś co złego? Skrzywdził cię kto? Co ci jest?

— „Ni ja co zrobiła, ni mnie kto skrzywdził, a tak"...

— „Co tak?"

— „I nie wiem jak mam mówić... ot prosto na sercu taka żałość, tak nudno stało, tak tęskno... musi temu co ja sierota i moja mamunia na cmentarzu pod

brzózkami... musi ja temu panieneczko, często kiedy zapłaczę, to zdajsie łzami spłynę"...

I Ańcia szlocha, szlocha gęstem, nabrzmiałem łzami łkaniem, a strugi ciężkich łez, kryształową smugą toczą się po jej spuchniętej twarzy.

— „Tak jakości na mnie przychodzi się.. ja i nie rozumiem sama..., ci ptaszeczka zaśpiewa, ci kto słowa powie dobre, ci złe, a we mnie, we środku, wszystko zdajesie podnosi się, podchodzi, aż w gardle dusi".

Oj źle wiosna na dworze, bzy i konwalje pachną, lube budząc szaleństwa, drzemiące w najbardziej cywilizowanych ludziach, a tu...

— „Pewnie coś zjadłaś niezdrowego", trzeba odpowiedzieć pedagogicznie na takie stany... duszy.

— „Może ja i zjadła... Ale Petronela, która jest znająca, mówi, że to z wiosennego wiatru..."

I ja myślę że to z wiosennego wiatru, słońca i szumiących krynic, które tak wabiły, tak śpiewały półgłośnie, a wnikliwie jak zaklęte rusałki, popod olchami, wśród ziół pełnych miodu i zapachów.

— „Proszę pani, już ja z to Ańciutko nie moga" melduje pokojowa: ‚zbuntowała się i mówi, nie będa wiadro z wodo nosić, kiedy pan komisarz na ganku stoi! Ona mówi, kocha jego! Co zmyśliła, mówi: mnie jego widzieć tak chce się, jak kiedy jeść, ci pić zachcesz! Pani, jaż nie upilnuję, a wiadomo, menszczyzna"!!!

Tak, to było także wiadomem, ale czyż kiedykolwiek świadomość niebezpieczeństwa zmniejszyła jego urok?

Nietylko Ańcia spoglądała na paniczów, swoich i obcych, słodkim i lgnącym wzrokiem, mając omdlałość w ruchach, a drżenie w głosie, ale, co gorzej, spojrzenia męskie coraz częściej, nieodparcie kierowały się ku tej ślicznej i tak „idącej do ręki" dziewczynie.

Atmosfera stawała się koło Ańci coraz bardziej

jakby... niespokojna... Coraz częściej flirtujące pary gości, spotykały utkwione w siebie w ogrodzie czy w pokojach, głębokie oczy Ańci, jakby pytające, czy badające: jak się to robi? Rozdokazywane grono młodzieży, tańczące fantastyczne balety w improwizowanych kostjumach, lub spacerujące przy blaskach księżyca po ciemnych, pokrajanych sinemi smugami martwego światła starych alejach, różne pareczki, mniej lub więcej sentymentalnie odosobniające się by gwarzyć na ławce pod brzozą pociętą monogramami, lub w klonowej altanie, czy w zacisznych kątach bibljoteki, mogły być pewne, że w jakiejś chwili cicho wykwitnie opodal Ańciutka, obejmie rozmawiających powłóczystem spojrzeniem z pod rzęs, pokręci się tu i tam za czemś nieokreślonem i powoli wyjdzie, jakby z żalem odrywając się od spraw zalotności, ciągnących ją niewstrzymanie.

Z pośród wielu trzech mężczyzn zostaje niepostrzeżenie, nieświadomie przez Ańcię wciągniętych w magnetyczne koło uroku jaki roztacza, uroku polegającym na odczuwalnym pociągu, jaki ona czuje do zbliżającego się do niej „*Pana*". Jest to niby podwójne działanie magnesu. Ona idzie bezwolnie i tak jak cieknie struga. Poprzez gałęzie, kamienie, bagno czy piaski, szukająca sobie drogi do przyciągających ją większych wód, w które się rzuci i zatonie. Ku niej idą zawzięcie i bezwzględnie siły zdobywcze, których ona czeka, pożąda i wywołuje współświadomie ich objawy.

Wydobywa z głębin instynktów ciche skomlenie pożądliwości ciała, wiecznie tłumionej nakazami moralności i wiecznie, przebojem, nakaz natury im przeciwstawiająca, w najpowszechniejszej walce, identycznej od epoki krzemienia łupanego do czasów radjo i aeroplanów.

Jedynie rozmaitość współczesnych intellektów czyni tę walkę, tak prostą w swem założeniu, sprawą interesującą i rozmaitą w komplikacjach psychicznych jakie wywołuje.

Ańcia jest jedna. A ich jest trzech. Ona w stosunku do każdego z nich jest inna, różna, jakby potrójna, niby instrument co inaczej wibruje pod rozmaitą ręką; szarpnięty przez profana wydaje zgrzyt fałszywy, dźwięczy rozkoszną melodję pieszczony przez mistrza. Któryż z nich, który? który? pyta bijące serce Ańci i płomień na jej policzkach i chłód rąk odrętwiałych.

Oto „Pan doktór", pogodny, różowy blondyn, piękny, o profilu klasycznym i szkłach na zmęczonych oczach, dobry jest „dla ludzi", „prosto jak ten anioł", lubi pożartować, z każdym jak ojciec pogada, a leczy! Niema tej choroby której nie poradzi. Gdy przyjeżdża do ciotki, nim się prześpi i odpocznie, już pełzną drogami pieszo i kałamaszkami chorzy, pokręceni reumatyzmem, z wrzodami i ranami, z bólami serca, wątroby i dziwnemi defektami, jakich niema w żadnej medycznej książce, ale którą oni czują w sobie, a pan doktór rozumie.

To też z pokoiku za garderobą, płyną długie, jękliwe półszepty, chlipania i modły: „Zmiłuj się panoczku, a to umierać przyjdzi się", i wesoły śmiech, przerywany dźwięcznym głosem, który czasami krzyczy przestrogi i napomnienia tępym mózgom pacjentów. Ale wychodzą stamtąd wszyscy z jakimś odblaskiem słoneczności na znękanych, w sennej cierpliwości zastygłych twarzach, mętne oczy spoglądają jaśniej z pod spuszczonych rezygnacją powiek, bolesciwe członki prostują się i starają przybrać rytm obiecanego, już zdobywanego ożywioną nadzieją zdrowia. I dopieroż w korytarzu, na ganeczku, koło kuchni, pod brzozami, rozhowory, kiermasz poprostu: „A milińki, a szczyryńki, a naszże Pan dochtor, a nic nie chciał brać, a mnie, dek co pan Borowski, posesor, jemu trzy rubli na siłe wsiulił, dek mnie na mojo biedność żałośliwy, oddał, że, masz, mówi, a to nie kupisz lekarstwów i wyjdzi że ja nad tobo nadarmo mozolił się!"

— „On że i tak nie bierze, ja jemu ciecieruka przynios, to wzion i dał 20 kopiejek".

— „A u mnie żonka już na tamtym świecie na Wielkanoc była, jak przyszend, jak siond kole jej, sio, to, kazał zrobić, tak baba na trzeci dzień była wstawszy i patrzaj, będzi mnie w trzy miesiące dzieciuka rodzić, to już i będzi po panu doktorze Edmuś, niech jemu Bóg daje szczaście da zdarouje!"

— „A u mnie papka już na śmiertelnej pościeli, już my głosili...

— „A mój że Sylwuk, gdzie my nie wozili, do jakich znachorów znajoncych! I podkurzali i zamaulali i nic, schnie mój dziad, ja z dziećmi sieroto zostanę... a pan dochtór, nic, głupstwo, woda jakaś z flaszki kazał pić, musi mocno zamaulona, i dziedu przez trzy niedzieli lechczej stało, teraz poszedł.

— „A żesz Amilce na sercowe boleści jak poradził"...

I tak długo, w kółko, aż zniecierpliwiony kucharz wylatuje groźny na ganeczek i wrzeszczy:

— „Co wy mnie zmyślili, ze swojemi chorobami kiermasz pod mojo kuchnio robić, już nasz panicz i upamiętania nie ma z tym prostym narodem peckolić sie"!

Ańcia słyszy to wszystko. Pan doktór poradzi na każdą rzecz... O wczesnym zmroku wślizguje się bezszelestnie do gościnnego pokoju z dzbankiem wody. Pan doktór leży na łóżku z papierosem. Ańcia powoli płynie w tamtą stronę, staje i milczy, z pod rzęs patrząc na dorodną postać panicza.

— „A co powiesz dobrego Ańciutka, Panienka przysłała po mnie?"

— „Nnnie... ja tak... do pana doktora łaski"...

— „No? Co się stało?"

Dłuższe milczenie i pokręcanie się na miejscu łokciami i biodrami, pełne wdzięku przechylenie głowy na bok, zupełnie gruchająca gołębica,

— „Mnie bardzo cości pod sercem kole!... wyszeptuje.

— „Co jadłaś na obiad?" brzmi surowe pytanie.

— „Ach jój, wszystko... jadłaś... nic ja nie jadła, apetytu nie mam, co zjesz to i staje pod łyżeczką" tłumaczy Ańcia swym cienkim, półtonowym głosikiem.

— „Pewnie katar żołądka; wiecznie te oładki kartoflane, świeży chleb razowy, a może płuca? Kaszlesz?... Czemu zrana nie przyszłaś jak chorych przyjmuję, mało ja się umęczę i po południu, to mają być wakacje! Zrana przyjdź". Usta Ańci zacinają się z mocnem postanowieniem: „ani myślę". „Zresztą bierz cię licho! Rozbieraj się, zobaczymy, pewnie katar żołądka, no, rozbieraj się, czegoż medytujesz?"

— „A Jezus, a jakżesz tak".

— „O to! Będziesz mi tu jeszcze! Co sobie myślisz? Mało ja kobiet żywych i umarłych krajałem i oskultowałem... prędzej, bo ja chcę iść do salonu... Koszulę zdejmuj mówię... no chora jesteś, czy nie jesteś?"

— „Chora, ajej bardzo chora", pojękiwa Ańcia cała w ogniu, ściągając szarą płócienną bieliznę. Pan doktór przygarnia ją szorstkim ruchem, przykłada złotą czuprynę do marmurowych piersi Ańciutki, przytula się do jej śniadej, gładkiej skóry, każe oddychać, kaszleć, odpowiadać na pytania. Czuje że Ańcia dyszy ciężko i że jej serce tętni... odsuwa ją i trochę czerwony, patrzy na nią nadąsany.

— „Zawsze ci serce tak bije i tchu nie staje"? pyta surowo.

— „Nnnie, tylko czasami"... odpowiada Ańcia, wznosząc ku niemu oczy jak do ołtarza.

— Mhm, głupie jakieś imaginacje, nic ci nie jest, weź sody, jeżeli czujesz ucisk w górnym żołądku, ładna jesteś dziewczyna i... pewnie prędko zamąż wyjdziesz".

— „Ja... pan doktór... żeby pan mnie dał jakie u siebie zajęcie"... wyszeptuje Ańcia melodyjnie i błagalnie.

— „Zajęcie? Gdzie? Tu na wsi w majątku, czy w Petersburgu? Czemu, czy tu źle?"

— „Panięka zamąż wychodzi... Pani nie chce żeby ja tam jechała... to mnie nie żyćcie będzie... to choć ja ze swoim paniczem... w Petersburgu ja by chciała...

— „Co byś ty robiła, przecie ja mam swoją służbę... na felczerkę może byś się chciała kształcić, to mogę zrobić, ale moja kochana, to ciężka i odpowiedzialna praca, trzeba powołania, czy masz do chorych zainteresowanie? pyta poważnie młody, zapalony medyk.

— „Nnnie... ja tak jakieś zajęcie... żeby przy Panu może"... pośpiewuje Ańcia słodko jak *viola d'amore.*

— „Ach... przy mnie jakieś zajęcie?... Nie, moja kochana, ja *takiego* dla ciebie nie mam, i niech jeszcze raz coś podobnego... powiem pani i panience, ładną z ciebie mają pociechę".

Ańcia chlipiąc rzewnie wylatuje za drzwi i chodzi przez parę dni osowiała i skurczona w sobie, a na widok doktora spuszcza tak głowę, że jej tylko biały rozdziałek wśród kruczych włosów widać.

Narzeczony panienki... Jakiś egzotyczny pan, z dalekich krajów, z za Warszawy, z samej Puolszczy, mówi służba, „nie z naszych paniczów" Dziwne i straszne, tak gdzieś jechać w obce strony... Ańcia szczerze i głęboko martwi się tem i na myśl rozstania z „panięką", jedyną bodaj istotą którą kocha, ryczy po kątach. Szczerze też nienawidzi tego pana, choć widzi, że jest jak orzekł pan komisarz „szykarny jak graf", i „bardzo kulturny". Ańcia myślała że te mało znane słowa, pasują właśnie do nieznanego z „daleczyny" pana. Obcy jest jakiś, inny, poufała służba

obchodzi go nieśmiało zdaleka, nieufnie, choć: „nic sobie, grzeczny, ale widać dumny...“ Obcy. Co tam u niego w pokoju! Ańcia nikomu nie da tam sprzątnąć. Długie przemedytuje chwile nim choć trochę zrozumie na co tyle butelek kryształowych z pachnącemi wodami, tyle prawie co u pana doktora błyszczących instrumentów, porozrzucanych koło lustra, tyle puszek ze złotemi pokrywami z cyfrą. A ta żesz bielizna, jak damska, a odzienie! A te krawaty! A wszystko pachnące aż w głowie kręci, aż w gardle słodko... a wody co ponalewa rano w wieczór i mydła namydli... taki już fanaberzysty panicz, bardzo alegański, nie można powiedzieć inaczej.

Ańcia boi się go i nie lubi, ale... ciągnie... Gdy zobaczy zdaleka tę przedziwnie smukłą postać doskonałego dandysa, płową, małą głowę rozłupaną rozdziałem i pachnącą fiołkami, gdy zwłaszcza poczuje utkwione w siebie stalowe zmrużone lśniące oczy, a ostre, drobne rysy zetną się na jej widok w skoncentrowaną uwagę... czuje że coś ją unosi w jakieś burzliwe i dalekie światy, od których i chce uciec, i chce w nie lecieć bez pamięci. Subtelna, wytworna perwersja, jak cicho promieniuje z tego dziwnego pana, jego z panienką spacery i pocałunki, wypatrzone przez czujną na te sprawy Ańciutkę, świadomość wreszcie że jej panienka będzie z nim żyć w sakramencie małżeńskim, wszystko to działa na dziewczynę jak philtr kantarydowy. Nie może znaleźć spokoju. Krąży, przesuwa się, prześlizguje. A on nic, tylko patrzy, i czasami się uśmiecha wąskiemi usty, bardzo subtelnie, bardzo dyskretnie ;czasami przemówi, grzecznie, jak do panienki.

— „Czy Ańcia by nie pojechała z nami po weselu?“

— „Czemuż... pojechałaby... Pani nie chce...“ dystyngowana i cicha brzmi odpowiedź.

— „Szkoda... Ańcia będzie się nudzić za panienką...“

— „Wiadomo..."

— „Ańcia bardzo kocha panienkę?"

— „Ach jej"... już zbiera się na chlipanie.

— „A mnie by troszkę kochała... co?"

Ańcia uciekła już lotnym krokiem przez długi, ciemny korytarz, leci do swego pokoiku i pada twarzą w poduszki.

— „Czy Ańcia może mi konia odprowadzić" pyta wytwornie „kawaler panienki" zsiadając z siodła po rannym spacerze „czy się Ańcia nie boi? Jeśli tak, to proszę zawołać chłopaka".

— „Ja nie bojąca... szepcze Ańcia, ośmielając się wznieść cudne oczy, które się mienią w cieniu rzęs.

— „Ach to doskonale, więc gdybym Ańcię pocałował to też by nie była bojąca? Nie ucieknie Ańcia? Nie narobi hałasu?"

Milczenie wymowniejsze od zgodnych słów i bladawe, ślicznie wykrojone usta rozwierają się westchnieniem na równe jak dwa rzędy migdałów zęby, które trochę stukają w drżeniu całej istoty.

Ale pocałunek miękki, pachnący, słodki i łagodny, spoczął na brzegu oka, na trzepotliwej rzęsie i trwa długi, muskając skroń i policzek.

„Śliczna, śliczna, dziewczynko... jaka szkoda!..."

Ańcia tuli się ciasno, ciasno. Jest słodko jak miodem kto oblał... Koń puszczony wolno, zabiera się do objadania goździków i bratków w rabacie koło klombu.

— „Czy Ańcia wie że jest ślicznie zbudowana? Widziałem raz jak się Ańcia kąpała w rzece, chciałbym taką sobie wyrzeźbić dziewczynkę. Zupełnie „Tanagra". Słyszy nad uchem szept wnikliwy, nie zupełnie rozumie tych słów, ale nabiera pewności siebie, na wiadomość że ten dziwny pan, taki pan! podglądał ją jak parobek!

— „Ot już... Pan... to i wstyd.. jaż goła była... i gdzież pan był zaczaiwszy się że ja ani widziała, ani czuła".

— „A teraz czujesz... małe, miłe, śliczne..."
— „Ach jej... ach pan... proszę już mnie puścić... bardzo lękam się"... grucha słodko w pachnących objęciach skulona miękko.

Od owego dnia uśmiech i uprzejma wytworność z jaką się pan narzeczony zwraca do Ańci, jest o jeden stopień silniej podkreślony, bliższy, poufały, niby porozumiewawczy. Czasami przelotny, delikatny, muska ją gdzieś w jakiemś przejściu przez pokój, ogród czy korytarz, pocałunek i lekki, a żarem obejmujący uścisk.

Ańcia dojrzewa do swego przeznaczenia.

Wszyscy jadą na wesele, panienka tak się żegna z Ańciutką, tak mówi do serca,—do duszy, że dziewczyna chodzi spuchła z płaczu przez trzy dni i klęcząc modli się godzinami. Do spowiedzi biega i ze starą Jurczychą różaniec o zmroku odmawia. Może jakoś złe myśli... szatańskie podmowy, jak „proborszcz" nazywał, odpędzi, zabije ten niepokój, nudę duszy, tęsknotę serca, rozpłomienianie się powolne, ale nieuniknione zmysłów.

A tu niedługo przyjeżdżają młodzi państwo. Ańcia w gorączce. Pokoje przyrządza, kołdry najpiękniejsze i bieliznę na łóżka ściele, w głowie jej się kręci. Tu, on, pan i panienka... nie, prawda, pani już, pani... już wianeczek panieństwa swego straciła, jak w pieśniach się śpiewa. Ach czy kocha? Czy pieści? Czy tak całuje on ją, panienkę, jakby miał ją Ańcię, gdyby... znów w głowie się mąci... serce bije, świat mieni się jak w dymach, jak w zorzy. „Już ta Ańciutka to do naszej panięki, prawdy że przykochana, prosto bez głowy chodzi, ręcy jak maślane, co weźmie to i puści, a zesmutniawszy, że i na wieczorynki chodzić nie chce i który chłopiec z jo kochanne rozmowy zaprowadza, to ona halopem wcieka, nie słucha", mówi służba.

W noc po przyjeździe młodych, państwa, Ańcia rzuca się w rozpalonej, jak madejowe łoże, pościeli,

czuje że ogarnia nią istny pożar, co zdrzemnie, śni ognie piekielne, słodkie i palące. „Czego ty skrobiesz się jak opętana?" mruczy panna służąca, „musi pchłów nabrała na folwarku i teraz do pokojów napuści", mruczy z irytacją, oklepując twarde poduszki.

Ańcia ma niezmożoną ochotę do kłótni i spazmów.

— „Ani ja była na folwarku, ani ja tam zadaję się, a u panny Stefci więcej pchłów najdzi się jak u mnie", piskliwie odpowiada.

Ale tamta już śpi i nocna cisza obejmuje Ańcię ciężkim, czarnym płaszczem, pełnym niewidzialnych darów przeznaczenia, o których nie wie, a rada by je szukać. Czerń nocy dusi ją, jak gęste sadze, boli skóra i włosy ogromne, ciężkie się robią, gorące i żywe, jak żmije, wzlizgujące się łaskotliwie pod koszulę. Słyszy w tym popłochu całej istoty, wrzask psi, ujadanie na wszystkie tony popod oknami, głos stróża i pukanie do drzwi korytarza.

— „Dziewczęta, otworzcie, telegrama, przynieśli", woła brodaty, ślepy na jedno oko i głuchawy opiekun dworu w nocy. Ańcia zrywa się jak jest, nie narzucając nic na siebie, wyszarpuje drzwi z klamki, wyrywa depeszę i leci na końcach palców ku pokojom państwa młodych. Jeśli nie do nich, powie że myślała, że powiedzieli, że... byle co powie, a teraz wedrze się tam... Puka do drzwi i zaledwie słyszy głos pytający, odpowiada: „to telegram" i wsuwa się bez tchu w czarną, pachnącą mocno i słodko przestrzeń pokoju. Błysk zapałki. Pan obudzony zupełnie, patrzy na młodą czarownicę w płaszczu czarnych włosów, błyskającą zielonemi oczami, utkwionemi w niego całym ogromem.

Ańcia podaje mu depeszę, ale on spogląda wciąż na nią z tym swoim drwiącym i uprzejmym wyrazem twarzy.

— „A teraz czujesz... małe, miłe, śliczne..."

— „Ach jej... ach pan... proszę już mnie puścić... bardzo lękam się"... grucha słodko w pachnących objęciach skulona miękko.

Od owego dnia uśmiech i uprzejma wytworność z jaką się pan narzeczony zwraca do Ańci, jest o jeden stopień silniej podkreślony, bliższy, poufały, niby porozumiewawczy. Czasami przelotny, delikatny, muska ją gdzieś w jakiemś przejściu przez pokój, ogród czy korytarz, pocałunek i lekki, a żarem obejmujący uścisk.

Ańcia dojrzewa do swego przeznaczenia.

Wszyscy jadą na wesele, panienka tak się żegna z Ańciutką, tak mówi do serca,—do duszy, że dziewczyna chodzi spuchła z płaczu przez trzy dni i klęcząc modli się godzinami. Do spowiedzi biega i ze starą Jurczychą różaniec o zmroku odmawia. Może jakoś złe myśli... szatańskie podmowy, jak „proborszcz" nazywał, odpędzi, zabije ten niepokój, nudę duszy, tęsknotę serca, rozpłomienianie się powolne, ale nieuniknione zmysłów.

A tu niedługo przyjeżdżają młodzi państwo. Ańcia w gorączce. Pokoje przyrządza, kołdry najpiękniejsze i bieliznę na łóżka ściele, w głowie jej się kręci. Tu, on, pan i panienka... nie, prawda, pani już, pani... już wianeczek panieństwa swego straciła, jak w pieśniach się śpiewa. Ach czy kocha? Czy pieści? Czy tak całuje on ją, panienkę, jakby miał ją Ańcię, gdyby... znów w głowie się mąci... serce bije, świat mieni się jak w dymach, jak w zorzy. „Już ta Ańciutka to do naszej panięki, prawdy że przykochana, prosto bez głowy chodzi, ręcy jak maślane, co weźmie to i puści, a zesmutniawszy, że i na wieczorynki chodzić nie chce i który chłopiec z jo kochanne rozmowy zaprowadza, to ona halopem wcieka, nie słucha", mówi służba.

W noc po przyjeździe młodych, państwa, Ańcia rzuca się w rozpalonej, jak madejowe łoże, pościeli,

czuje że ogarnia nią istny pożar, co zdrzemnie, śni ognie piekielne, słodkie i palące. „Czego ty skrobiesz się jak opętana?" mruczy panna służąca, „musi pchłów nabrała na folwarku i teraz do pokojów napuści", mruczy z irytacją, oklepując twarde poduszki.

Ańcia ma niezmożoną ochotę do kłótni i spazmów.

— „Ani ja była na folwarku, ani ja tam zadaję się, a u panny Stefci więcej pchłów najdzi się jak u mnie", piskliwie odpowiada.

Ale tamta już śpi i nocna cisza obejmuje Ańcię ciężkim, czarnym płaszczem, pełnym niewidzialnych darów przeznaczenia, o których nie wie, a rada by je szukać. Czerń nocy dusi ją, jak gęste sadze, boli skóra i włosy ogromne, ciężkie się robią, gorące i żywe, jak żmije, wzlizgujące się łaskotliwie pod koszulę. Słyszy w tym popłochu całej istoty, wrzask psi, ujadanie na wszystkie tony popod oknami, głos stróża i pukanie do drzwi korytarza.

— „Dziewczęta, otworzcie, telegrama, przynieśli", woła brodaty, ślepy na jedno oko i głuchawy opiekun dworu w nocy. Ańcia zrywa się jak jest, nie narzucając nic na siebie, wyszarpuje drzwi z klamki, wyrywa depeszę i leci na końcach palców ku pokojom państwa młodych. Jeśli nie do nich, powie że myślała, że powiedzieli, że... byle co powie, a teraz wedrze się tam... Puka do drzwi i zaledwie słyszy głos pytający, odpowiada: „to telegram" i wsuwa się bez tchu w czarną, pachnącą mocno i słodko przestrzeń pokoju. Błysk zapałki. Pan obudzony zupełnie, patrzy na młodą czarownicę w płaszczu czarnych włosów, błyskającą zielonemi oczami, utkwionemi w niego całym ogromem.

Ańcia podaje mu depeszę, ale on spogląda wciąż na nią z tym swoim drwiącym i uprzejmym wyrazem twarzy.

— To Ańcia, po nocy... jaka grzeczna, jaka pilna dziewczynka... wyglądasz jakbyś wracała z Sabbatu czarownic"...

— „Ja nie żydówka!" hardo odpowiada obrażona okropnie i srodze zawiedzona, bo oto „panięka" z drugiego pokoju pyta co tam się stało?

— „Nic ważnego, depesza od Janiów, że jutro przyjeżdżają", odpowiada mąż panienki przytłumionym głosem, nie spuszczając oczu lśniących srebrem ze stojącej wciąż zastygłej lunatycznie Ańci. Spojrzeniem wskazuje jej drzwi, a zarazem wstrzymuje wpół jakiś swój ku niej ruch przyciągający. Jest w tym zawsze pewnym siebie człowieku jakaś w tej chwili walcząca z sobą sprzeczność. Ańcia odczuwa ją fizycznie, niby starcie się na jej epidermie dwóch prądów, to też stoi jak skazana przed sądem, nie może się ruszyć... nie może... Koło niej faluje woń siana i ciepłych ze snu włosów. Biała, szczupła ręka pana w batystowym rękawie wyciąga się ku niej, delikatnie gładzi ją po tych ciężkich, ciężkich włosach, po zimnej jak lód twarzy.

— „Biedactwo... jakże ja bym chętnie... no proszę, niech że Ańcia już sobie idzie, nie trzeba, prawda?... dłużej rozmawiać w nocy".

Jak w śnie magnetycznym, zawadzając o sprzęty i drzwi, wychodzi Ańcia, bezwolne ciało pozbawione duszy. Była, nie była? Doznała, nie doznała? Widziała?... Nic nie widziała. Co było tajemne jest i teraz ciągle, bliskie i dalekie.

Panienka wyszła zamąż, aleź trzeba wreszcie i panicza ożenić! Dość się nawałęsał po świecie, nahulał, pieniędzy natracił. Dziwy o nim opowiadają w kredensie, kuchni i stajni. Ma jakieś po stryju majątki ogromne w dalekiej Ukrainie, ma tu na Litwie ten śliczny, stary dwór, a nigdzie nie mieszka, nigdzie nie jest jego „chata", chyba w wagonie, czy zagranicznym hotelu.

Od czasu jak Ańcia jest we dworze helenowskim, brat panienki przyjeżdża czasami często, czasami po pół roku go nie widać. Zawsze nim się zjawi, robi się wielki gwałt w całym domu, bo przychodzą depesze o zmieniających się terminach, o gościach przywożonych, konie idą na stację, wracają bez niego, żydek z miasteczka kurs galopem od bramy dobiegający do kuchni, obciera siódme poty, wymachując telegramem zdaleka. Czasami aż konnego telegrafista wyszle, wzruszony gdy trzy depesze na dobę otrzyma. Cały dom w ruchu, służba lata, sprząta podwójnie gorliwie, młodzież się cieszy i obiecuje sobie wzmożoną porcję rozrywek ale starsi państwo chodzą zafrasowani i nierzadko po przyjeździe panicza zamykają się z nim w gabinecie na długie godziny, po których pani ma oczy zapłakane, pan bywa chmurny, a panienka kłóci się z paniczem po francusku, Panicz przebiera się trzy razy na dzień, wozi ze sobą kupy rzeczy, nesesery i gumowe balejki, jeździ z wizytami, przyjmuje sproszonych gości, kaprysi na wszystko, że nie tak jak w Paryżu, macha ręką na rachunki rządcy i ponudziwszy się cnotliwie na łonie rodziny, wyjeżdża znów w światy.

Ańcia go się boi i unika. Niepodoba się jej. Nie ładny. Grubawy, czarny, brwi ma jakieś straszne, zrośnięte, oczy skośne, pewną brutalność w twarzy o grubych rysach, w krępej postaci, w szorstkim sposobie mówienia. Ale widać że paniom się podoba, bo Ańcia obserwuje jak różne „goście" czulą się do niego. Wślizgnęła się swoim sposobem do perskiego gabineciku, kiedy na kanapce całowała się z nim z całej siły sąsiadka... „Jest co całować, cała farbą malowana i sługi mówią, że kudły fałszywe przylepione, ot smak!" myśli Ańcia pogardliwie.

Kiedy była jeszcze tutaj w piekarni, opowiadano bez sekretu, że Hanka, przy pokojowej do pomocy będąca, musiała odejść i nic sobie, dobrze nawet zamąż wyszła, za leśnika, i krowa dostała, i na chrzci-

ny, tylko że „pierwszy dzieciuk strasznie do naszego panicza podobny, takie same browy zrośnięte u jego, to leśnik nie lubi o tem gadać, i jak raz panicz był na leśniczówkę zaszedszy, to on żonkę nadto wykantupił potem".

I teraz Ańcię dochodzą jakieś echa, że ładniutka aptekarzowa w miasteczku „na szpacjery do lasku chodzi" a panicz tam konno jeździ... Kto ich wie? A taż piękna kuzynka, co z mężem przyjechała, czemuż to Ańcia jej szyldkretowe szpilki znalazła za materacem u panicza. Odniosła je dopatrzywszy chwili gdy będą sami we dwoje i powiedziała... gdzie były, patrząc im w oczy. Dostała trzy ruble od panicza, a jedwabną bluzkę szafirową od... tej... Wzięła, ale inaczej o niej nie mówi jak „ta paskudztwa", nie kryjąc przed służbą tego epizodu.

A teraz, ostatniemi czasy, umyślili swatać paniczowi bogatą jedynaczkę „z wielkiej familji". Stare sługi opowiadają sobie o majątkach, o koligacjach, stara niania samej pani odmawia na tę intencję koronkę, a panienka raz po raz przywozi przyjaciółkę i już wtedy „tylko wodzinają się po alejach"; gadają i zmawiają się. A jak panicz przyjedzie, to spacery konno i powozami, i tańce, i goście. Ańcia do białego świtu nie odchodzi od drzwi, by widzieć jak ślicznie kręcą się w delikatnym tańcu państwo. Co jej teraz wieczorynka w piekarni albo w wiosce? Do dzierżawców jej nie zaproszą, bo dla szlachty ona „służanka" nie kompanja, a z chaminjami tańczyć nie pójdzie. Od tylu panienek — gości, ma strojów, mydeł, perfum, wstążek ile zapragnie. Stroi się też jak może i spogląda w lustra z dumnym uśmiechem: sto razy jest piękniejsza od tej swatanej paniczowi panienki. Wesoła sobie, grzeczna owszem, i tańczy, konno jeździ, i śpiewa, i ładnemi niebieskiemi oczami mile na panicza patrzy, ale chudzińka jakaś, bladzińka,nosik u jej zadarty, tylko że kosy złotne koło głowy owinięte jak korona. Siedzą sobie z pa-

niczem, gadają, często po francusku, a jak po polsku to też nie można zrozumieć o czem. Gadają... a panicz na Ańcię patrzy zpodełba. Od jakiegoś czasu zwracał młody dziedzic pilną uwagę na śliczną wychowankę siostry; żarty, branie pod brodę, spotykanie jej w różnych nieoczekiwanych miejscach, wreszcie prezenty. Ańcia kręciła się pod ponurem trochę spojrzeniem panicza, jak przypiekana żelazem czerwonem, Gdy kątem oka, z pod rzęs, zdybała ten wyraz twarzy o wysuniętej szczęce i ruch grubych, zmysłowych ust, smakujących coś łakomie, czuła że jej mdleją ręce i nogi i prawdziwie śmiertelna trwoga, nie ciche przyczajenie, ale ucieczkę dyktowała przezornie.

— „Czego ty głupia uciekasz przede mną zawsze", pytał panicz.

— „Ja... nie, jak, tak sobie, ida za swojo roboto"... odpiskiwała Ańcia z oczami wbitemi w ziemię, ale z za trzepotliwych rzęs błyskają promienie, kręci, po swojemu, falistym ruchem, biodrami.

— „Chcesz na sukienkę, na jedwabną chusteczkę, na buciki?"

— „Ach jej... dzieńkuję", schylała się do rąk, mocne objęcia odginały ją w tył, gorące, grube usta rozgniatały jej bladawe wargi, targała się ile sił, łkając bez łez i wypuszczona, zmykała dysząc, zaciskając pięści i zęby w niemej złości. Mimo zawziętej jakiejś niechęci, którą czuła do tego mężczyzny, może dlatego, że mimowoli, zaznaczał, jakby zgóry umówione prawa posiadania („za chleb, na sól!") lazła mu do oczu przy każdej sposobności i zmykała z przezornością tropionego zwierzątka.

Póki była panienka!... Panienka, która wszystko widziała i wiedziała co w duszy — sercu człowieka!... To jeszcze... jeszcze... Coś idąc słyszała kiedyś czegoś domyślała się. Spytała tylko, tak jak trzeba, niewiele gadając, ale każąc sobie w oczy patrzeć, co najtrudniej, bo wtedy choć nie wiem jak chcesz, nie możesz skłamać.

— „Ańcia?... Co ty z paniczem? Mów".

— „Panieneczko... jak Boga kocham ja nic... Panicz mnie czepi się i przejść nie daje"... mówi zmuszona silniejszą wolą, nie chcąc, a zarazem z podświadomem pragnieniem zwrócenia na siebie uwagi, wywołania czegoś, idąc, słowem, za nakazem prawideł tej gry w chowanego, drażniącej przeciwnika. Musiała tam panienka z bratem pomówić, bo jak Ańcię zobaczył w ogrodzie nazajutrz zawołał takim głosem, zupełnie innym, że jakby grzmiało w chmurny dzień, choć słońce było naokoło złote.

— „Słuchaj ty, jak mnie jeszcze raz słowo piśniesz przed panią czy panienką, to pójdziesz precz! Ty głupia, ja bym ciebie złotem obsypał, a tak co? Całe życie służyć będziesz! Zapamiętaj to sobie. I ani słowa! Nikomu!"

Skończyło się. Teraz panienka, nie panienka, żeby anioł z nieba zstąpił, skłamała by mu bez wahania. Nie, nigdy już nie powie nikomu, nawet żeby się pochwalić. Strach, chciwość i ciekawość w mocne ujęły ją kleszcze, trzymają gotową. W głodzie zmysłów dojrzewa, jak ciężki, bardzo wonny kwiat. Tylko zerwać.

Panienki niema i państwo wyjechali, a tu przychodzi depesza od panicza. Przyjeżdża!? Tak niedawno był, razem z rodzicami wybrał się, mówili w konkury... a tu?!

— „Panna Stefcia, proszę mnie zwolnić do siostry, ona słysze chora", prosi Ańcia pokojowej.

— „Kto mówił? Nic nie słyszłam i pewno ty po swojemu zmyślasz, już gdzieś chcesz na wieczorynkę lecieć. Nie pójdziesz, pani mówiła żeby ciebie nigdzie nie puszczać, aż wróci".

— „A ja pójda! Coż to, turma cipójco? Pójda sobie, pójda na bory, na lasy... nie chcem... nia będa" skwirczy Ańcia pół po dziecinnemu, pół przerażona do szpiku kosteczek.

— „Ot wyrabia się. Wstydu niema", określa panna Stefcia ostatnie odruchy obronne Ańciutki.

Stało się. Nie odejdzie. A panicz przyjedzie.

— — — — — — — — — — — —

Peterburg. Gabinet pana doktora. Zmęczony, spracowany, właśnie zasypia zakopany po uszy w miękkiej pościeli, myśląc z zadowoleniem że ma ciepłe mieszkanie w tem mroźnem mieście carów. Telefon.

— „A żeby cię jasne i siarczyste" — klnie doktorek i wyskakuje do aparatu: „Hallo. Kto mówi?"

— „Ańcia, panie doktorze u nas wielkie nieszczęście, morderstwo!"

— „Co! co! Kto? Ańcia? co, proszę nie przerywać. Co to jest?! Kto przerwał? Jakto, tam przerwali!!? Ładny kwiat! Ańcia. Jaka u licha: przecież nie ta... z Helenowa?... Niema rady, trzeba się na wszelki wypadek ubierać".

Szybko wkłada na siebie ubranie i zaledwie skończył, mieszkanie napełnia się przeraźliwym dźwiękiem dzwonka, ciśniętego bez miary. Sam idzie otworzyć, nim się służący zbudzi. Rzuca się w niego... Ańcia! W bogatem futrze, wonna, prześliczna, z głową uczesaną modnie, wytworna, w białej, lekkiej sukience. Runęła na kolana. Skręca się na ziemi.

— „Panie doktorze! Na miłość Boga! Koń na dole, lichacz, jedźmy, mój pan zabity! Proszę jechać, może nie na śmierć, zaraz, zaraz, o Jezus Marja! O Jezu", wyje na głos.

— „Cicho w tej chwili, bo nie pojadę. Kto twój pan, co to jest?"

— „Panicz Anio żesz, nasz, helenowski pan, mój pan, ach prędzej, prędzej!"

— „Powiedz co się stało? Kto, jak, czem zabił? ranił?!

Chwila, sekunda milczenia. Ańcia, wstaje, wyprostowuje się, oczyma rozszerzonemi patrzy w przestrzeń i cicho, słodko jakoś, odpowiada:

— „Rywalka"...

— „Co takiego! A żeby to wszyscy dj... strzeliła?" Ańcia skłania głowę „Na, trzymaj, bierz. Biegnijmy. Śpiesz się! To ty z nim tutaj, co?"

— „Na artystkę mnie kazał uczyć", szlocha Ańcia po dawnemu. Zlatują po schodach, wpadają do sań, dziki gwizd północnej jazdy po śniegu ich jakby ich popędzała własna, gorączkowa chęć pośpiechu.

Doktór chce rozpytać Ańcię, ale tak jest rozżalony i wściekły, że mu słowa więzną w gardle, zresztą dziewczyna trzęsie się, aż skomli pocichu i na parę burkliwych pytań — uwag o „ładnem postępowaniu", nie odpowiada wcale. Zatrzymują się przed jakąś kamienicą jak inne, doktór wnosi walizkę z potrzebnemi środkami ratunkowemi, Ańcia rzuca jakieś ruble dorożkarzowi. Jeszcze dzwonek, jeszcze stróż, jeszcze schody... drzwi nie zamknięte! Mieszkanie kawalerskie oświetlone, Ańcia wpycha doktora na prawo do gabinetu. Na otomanie z ramieniem przewiązanem skrwawionem płótnem leży blady bardzo Anio, otwiera oczy, mówi półgłosem:

— „Jak się masz. Ratuj mnie. To mnie urządziły"...

— „Dobrze ci tak... żeby też Ańcię, wychowankę matki i siostry, wiesz ty co!!" krząta się i burczy poczciwy doktorek.

— „Mnie nic, daj spokój, mnie nic... idź tam, czy ona jeszcze żyje", wystękiwa przez zaciśnięte zęby Anio, wskazując oczyma na drzwi do jadalni, kędy się palą światła. Ańcia jednostajnie i piskliwie powtarza: „a Jezu, a Jezu, a Jezu", skulona w kącie na ziemi.

Doktór wchodzi szybko tam, gdzie jeszcze ktoś potrzebuje pomocy. Nie, już nie potrzebuje. Okryta klejnotami, w balowej, jasno różowej tualecie, leży

w kałuży krwi, przy zastawionym stole do kolacji z szampanem i majonezami, duża, tęga blondynka, której ukarminowane usta i czernione brwi wyjaskrawiają się w twarzy żółcizną trupią już ogarniętej. Na podłodze browning.

Doktór przyklęka i pochyla się nad nią. Ani śladu życia. Kula... z czyjej ręki? Trafiła tak blisko serca... po chwili zgroza niewypowiedziana wybija się na piękną, pogodną twarz doktora. Podnosi się i patrzy osłupiały... Ta kobieta jest od kilku miesięcy w ciąży...

Śmiertelna cisza trwa długą, długą chwilę...

I... nic już więcej nie wiem o Ańci... Nic a nic...

JASZCZAR! JASZCZAR!

Wiatr stanął. Powietrze przestało oddychać. Wysokie, czarne drzewa tam i sam wyrosłe pomiędzy chatami rozczapierzyły swe gałęzie do najcieńszych włókien i siatką koronkową przylgnęły do mgławej poświaty nieba. W całej przestrzeni skrzypiało mrozem. Bo onże to właśnie szedł lasem, ciemnym borem, spuszczał się głęboką drogą między hurbami śniegu do wioski i szedł między płotki, ściskając żerdki stalowemi palcami. Brał garścią za piersi przechodzących, okutanych w rude kożuchy ludzi i dobierał się im do serc, do płuc, do gardła, aż dechy im wypierając w stężałe pasma pary do ust, wywlekał z nich szept podziwu i uszanowania dla jego mocy: *„Uch marożżesz maroz!“*

A on szedł sobie wałęsając się koło węgłów, ścinając powietrze w jakiejś kłujące ostre szkliwo, które igłami przenikało wszelką istotę żywą, odrętwiał i usypiał ptaszki i wydłubując je ze schowków, martwe zrzucał na śnieg, gdzie leżały, twarde i zimne kulki pierza, dopiero co pełne ciepła i życia. Psy lazły do chat, a wypędzane tuliły się w budach, lub wsuwały do chlewów, przysiadając chwilami po ogradach, by zawodzić krótką, żałosną pieśń rozpaczy, lament nad uchodzącem zewsząd, zamierającem ży-

ciem. A gdy wyły jękliwie i trwożnie, daleko, głucho, w lasach, odpowiadały im ich pobratymcy i wrogi, bure, wielkie wilki, w takie noce podchodzące do wiosek pełzającym chodem, by podkopać się pod chlewy i porwać w gąszczary świnię lub owcę.

Słońce stało na blado liljowem niebie stężałe we krwi, jak serce wyrwane męką z piersi człowieczej. Na pół nieba rozlało strugi jasnej purpury i wnet strzeliły z nich złote blaski, sypnęły się na śniegi migotliwe szafiry, topazy, brylanty. Wydając strupieszałej w zimnie ziemi wszystkie swe bogactwa, umierające z żalu słońce barwiło czarodziejsko przestworza...

Ale mróz rzucił się na nie z paszczą i kładł płachty szarego cienia, zmiatał ze sklepienia nieba wszelkie blaski i jasność. Zsiniał świat, jakby konał na zarazę. Stężały prostopadle, niby ofiarnicze, dymy z obłupanych kominów wioskowych. W głębi chat jak najciaśniej, zawarłszy zapory ochronne, przyczaili się milczkiem ludzie. W bezwzględnej ciszy słychać było tylko od chwili do chwili głuche stękania umęczonych drzew, pękających pod żelaznym uściskiem mrozu, który snuł się w koło, Pan tych przestrzeni, wytracający z pni ich soki żywotne i dobierający się do rdzenia klonów, lip i jarzębin, by ugryźć je śmiertelnie i pokonać.

Nagle w tę martwotę siwo - szafirową, w stężałe ze zgrozy powietrze, klasnęły trzaskiem i skrzypieniem otwierane drzwi jednej z chat buchnął rozdzierając kryształ przestrzeni gwar, śmiech, pisk i wrzask młodych głosów. Zakotłowało się, zaroiło pomiędzy niebieskawemi wałami szklistego śniegu. Zaszczekały radośnie, ufnie, ocknięte z odrętwienia psy. Gęgliwe, przewlekłe, urywane słowa całej gromady chłopów i dziewcząt, pruły mroźną dal i niosły się hen hen, niestrzymane, bijąc słabem echem aż o zwarte wały borów, aż o tafle jezior dalekich.

W nos, w mordę, na złość, „narągali" się mroźnej mocy.

„Uuach żesz koluszczy! Uuach żesz piekuszczy!!! Maroz - maroziczok, dałżesz, dał dychtu ludziam!!! Hladzi kap ty swajeho nosika nia admaraziła Alesia!!! Paszoł, adczapisie mara, co tabie da mienia...!! Karuśka, hladzi, uże zara za les zaiszła... paciśnie ciepier..."

„Dziauczata, dziauczata, sztoż budzin stajać, pamiorźnim, a tož Kolady! Ihryszcze! Tož wam dziś strach... tož Jaszczär!"

„Jaszczär! Jaszczär! Pajdziom! Biehom! Paśpiejesz!! Uch Jaszczär! bajuś, idzi!!! Jezus,tylko że nie zawalił w hurba, Sylwuk, ty, durnowaty ze wszystkim".

Płotło się to i sypało, przecinając i plącząc jedno o drugie bardzo głośno, jazgotliwie i przekrzykując się wzajem, jak zwykle rozprawiają Białorusini jeśli są w gromadzie, zabawą i wódką podnieceni. Inaczej, w pojedynkę i we dwoje, niema przecież cichszego, bardziej zamyślonego narodu...

I teraz, po chwilowym wybuchu przy wyjściu z gorącej jak łaźnia chaty, gromada rozbiła się na małe cząstki, po parę lub kilka osób, i szli szybko na drugi koniec wsi, pogadując zcicha. Chłopcy trzymali wpół dziewczęta, owinięte w owczyny i chusty, zaglądając im w oczy, przyciskając do swoich zmarźnięte, szorstkie ich ręce, schowane w rękawy kożuchów, słuchali mrukliwych, niepewnych, niewyraźnych odpowiedzi, na pytanie podawane szeptem, blisko, twarz w twarz.

Mróz kąsał wściekle tę młodzież. Gnał za niemi poprzez głębokie koleiny sinego w cieniach wieczoru śniegu, w biały szron zmieniał wilgoć na rzęsach i rozcinał jak szkłem usta, które się w przytulnem cieple idących par szukały i łączyły.

Zbili się teraz jak stado owiec pachnące wełną i potem, wchodząc w sionki dużej chaty, z której nie-

wielkich okien bił na śniegi migotliwy blask naftowej „smarkatki". Kto w sieni, a kto dopiero w izbie zrzucał kożuchy, niektórzy zostawali jak szli, znajdując rozkosz w prażącem cieple, jakie ich ogarnęło. Chłopcy ruszyli wnet w głąb izby, ciasno się tłocząc w kąt za piecem dziewczęta, na łóżkach koło drzwi siadłszy rzędem, wyciągały z za kaftanów paciorki, wstążki, wianki grzybów i cebuli, obwarzanków, to cukierków kilka czy pierników.

Chłopcy popychali się i tarmosili w kącie, śmiejąc się i przewalając w swych grubych, ciężkich butach. Gospodarz chaty otrzymawszy z rąk „kawalerów" butelki wódki, nalewał im, sobie i dziewczętom, które odmawiały, odwracały głowy, ale piły potrochu, oddając jedna drugiej kieliszek z grubego szkła, spluwając i ocierając usta rożkiem chustek, których nie zdjęły z głów.

Wreszcie po szeptaniu i naradach, pisnęła jedna i druga jak flet czy skrzypce, probując instrumentu i zaczęły, łącząc się w coraz zupełniejszy chór, zawodzący cienko i wysoko w niebogłosy: *„Siadzić, siadzić Jaszczär. Łada maja. Na załatuom kreśle. U harochawuom stozi. Łada maja. Hauaszczok łuszczyk. Łada. U karobeczku syple, Łada!"*

Aż zachodziły się od tego śpiewania: głowy odchyliły i przymknąwszy oczy, rozdziawiwszy się, darły gardła akuratnie, nie żałując.

Wtem chłopcy runęli na środek. Popychali przed siebie niestworę okropną. Bo i wybrali żesz, wybrali na Jaszczära! Kogo, kogo, a kurnosego Antuka Purłana. To już chyba na złość dziauczatom! Taki był paskudny. *„Twarz ospowaty, rozdziawiaka, kudły ryżawe, tylko że uoczy ciemne i świecące jak wilczyne i zębiszcze takie białe jakby syr w gębie trzymał"*. Tak mówiły dziewczęta zbiwszy się ciaśniej, i piszcząc ze śmiechu przysuwały się z udanym strachem do Antuka. Ten, siedział już na pieńku olchowym, sam jak kłoda, w kożuchu włosiem na

wierzch, w czerwonej na nim koszuli pasem podpasany i w wieńcu-koronie ze lśniącej złotawo słomy, strzępiącej się koło jego dzikiej twarzy, jak jakieś stężałe czarem włosiska.

Dziewczęta zawiodły żałośnie: *„Łada, Łada maja! Jaszczäru panoczku, Addaj muoj wianoczku. Kraj mora schodziła. Ruoczki, nożki zziabiła Puokil wianiec zrabiła! Maja matka lichaja, niema wieńca pytaje!"*

Chata trzęsła się od wrzasku i lamentu. Prosiły, modliły tajemniczego, złego Jaszczära, o ten wianeczek, o który matka pyta, a który na kresie morskim upleść trzeba i oto gdzieś się zapodział... a matka pyta! Trzymając się i wspierając w tej niedoli i kłopocie dziewczyńskim, popychane przez śmiejących się „paskudników", szły do Jaszczära i, trwożnie trochę, upojone śpiewem, odurzone jakiemiś obudzonemi melodją odwieczną, pradawnemi wspomnieniami obyczaju z epok smoczych i ofiar ludzkich, szły, niosąc dary błagalne. Co tam która miała, to rzucała na kolana Jaszczära i wtykała mu za rękawy, a on szczerzył umyślnie zęby i wytrzeszczał oczy, że cofały się stękając i powtarzając: *„Uch jej jakij straszenyj! Kap jaho, jak spuhała się! Horej włouka hetyj kurnosy!"*.

Antuk bez respektu dla ceremonji, począł pakować w gębę obwarzanki i roztrzaskiwać je rozgłośnie, czego mu wzbraniali towarzysze, uważając że tem powagę swą poniewiera, ale on wierzgał butami i łokciami odpychał nasuwających się zbyt blisko.

Teraz dziewczęta wzięły się za ręce. Splotły się w koło, jakby kwiaty i zioła splatały w wieniec duży. Zrzuciły chustki i burnusy. Zalśniły jasne, płowe jak lny, kasztanowate i rzadziej ciemniejsze włosy, ciasno w kosy splecione, związane kolorowemi szmatkami. Wpuszczone w marszczone spódnice z domowego czerkasu lub kupnej wełny bordo czy granatowej, bluzki różowe, niebieskie „sinie", w kwiatki i de-

senie, spięte taniemi broszkami u szyi, ozdobionych paciórkami, zakręciły się po izbie, kołysząc w takt przewlekłej melodji, przechodzącej powoli w rytm skoczniejszy. Dziewczęta podrygiwały koło Jaszczära, skacząc, jakby starając się go odurzyć, zmamić i otumanić. Wrzeszczały przytem co tchu w piersiach, do zapamiętania: *Karobeczka poüna. Paczlem my da Koüna, z Koüna da Kraleüca. Pa biełyje li'onca. Ci po krasnu pannu, ci pa rusu kosu, ci po białii ruczku, ci pa złotny pierściań Biela ruczka, da nia mytaja, rusa kosa, da nia czesanaja, złotny pierścian, da nia czyszczeny*".

Stojący pod ścianami chłopcy patrzyli na te męki panieńskie i kurząc papieroski skręcone z kawałków gazet i trochę machorki, popijali wódkę i skubali wirujące, zapamiętałe dziewczęta urągając ich kłopotom i dogadując niejednej o sprawkach im wiadomych.

Wtem dwie wyrwały się z koła. Rozszarpały wieniec rąk i przedarły wrzask ogólny dwugłosem najpiskliwszym. Kłaniały się w pas Jaszczärowi, pokornie, nisko, jak poddanki przed Panem. Kiwały się aż im piersi dygota.y pod rozluźnionemi kaftanami i zadzierały znów głowy z błagalnym krzykiem: *Jaszczär Jaszczär panoczku. Addaj muoj wianoczku!...*"

Teraz zamieszało się wszystko: po dwie tłoczyły się i prosiły Jaszczära, który lśniąc od potu rozpierał się szeroko na swym olchowym tronie i chrupał wciąż obwarzanki a inne zakrzyczały nagle skocznie, jakby nabrawszy otuchy, że się to wszystko tak znów bardzo źle nie skończy...

„*Sio dać i to dać. Puokil wianiec zyskać! Ci paru koni waranieńkich, ci paru wołoli paławieńkich ci kalasku malawanu, ci panienku darawanu*". Oto był moment chłopów! Rzucili się każdy do swojej, cisnęli, który pod ścianę, na ławę, inni trzy-

mali wpół zdyszane, upite śpiewem więcej niż wódką dziewczęta. Wykrzywiali się i łaskotali, szczypali i tłamsili, wśród grzmiących już teraz na całą chatę śmiechów i pisków. Gospodarz chaty z żoną siedzieli w kącie pod obrazami, ciesząc się i śmiejąc z radości, że stary obyczaj nie zginął. I oni kiedyś dali na zapowiedzi po takiem *ihryszczu* w Kolady. A teraz dzieci ich, potem wnuki... I zawsze tak: dziewczaty lękać się będą *Jaszczära*, a dlatego *leźć* do niego będą. Tak już Bożyńka dał, na świecie, na jasnym.

Paru „rozbójników" chwyciło hłowieszki i łuczynki z komina i sunęli ogień w oczy wrzeszącego babiego rodu, ale ich kląć zaczął gospodarz wołając, że mu chatę spalą, więc zgasili płomienie w kaduszce z wodą, aż dym poszedł i tylko dokuczali dziewczętom bez miary na wszelkie swoje kawalerskie sposoby. Jeśli się która roześmiała, traciła fant, jeśli wytrzymała męki, pokusy, zaczepki, „pichania" i skubania, odebrać miała prawo swój symbol panieństwa, znak widomy wianka. Już śmiała, ciemnolica Aleśka wyrwała się za pomocą kułaków z objęć Jasiuka Buraczonka i chwyciwszy swe paciorki z kolan Jaszczära, kręciła się jak szalona, wpadając na szarpiące się pary i wrzeszcząc przeraźliwie a radośnie: *„Ja skakała, ja plaskała, puokil wianiec zyskała!"*

Za nią dopadła swej chustki w ponsowe róże tłusta Maryla, purpurowa z wysiłku i teraz śmiała się opętanie, nie mając już sił śpiewać nakazanej zwrotki triumfalnej! Jeszcze parę szarpało za swe rzeczy, wydzierając je z rąk Jaszczära, który ryczał i bronił zdobyczy. Ale inne przepadły! Karuśka płową swą głowinę przywarła na ramieniu swego kawalera i zanosiła się od bezwolnego śmiechu, inne tłumiły piski w chustki, któremi zatykały sobie usta. Po kątach, na ławach, na łóżkach siedziały ciasno objąwszy się pary. Dziewczęta przegrywały... niema co!

Wiadomoż menszczyzny te, kiedy uczepia sie!" narzekały wybuchając ciągle śmiechem, powstrzymywanym tak długo.

A tu już chłopcy taszczyli won Antuka, który nie myślał się ruszać. *„Co zmyślił, do sądnego dnia siedzieć!? A nam że trzeba tańcować"!*

Rozkoszne, skoczne prześpiewały tony harmonijki, zapiszczały skrzypce, brzęknęły jeszcze butelki, przycichło... I nagle... pooszła krucielica-miacielica! W kółko, ciasno, ciasno... Jak wrzeciono się kręci w palcach bystrej prządki, tak splecione ze sobą wierciły się pary w zaduchu i mgławem świetle izby.

Pod piecem Jaszczär, odarty z królewskości wycierał noć w palce i pot z czoła, powtarzając:

„Nia budu uże Jaszczärom, czut' nie zdusiŭsia i abarankoŭ mało było".

Śmieli się z niego. Chata cała podrygiwała w zawrotnej melodji krucielicy. Mróz darmo szczerzył sine zęby za oknami. Sam wicher tańcował i niósł się w takt muzyki aż w gardziele wyjących z głodu i strachu wilków w czarnym, cichym lesie.

MOCE NOCY.

I.

Ciche, różowe błyskawice, małanki rozcinały raz za razem skraj nieba jak lśnięcie ostrego noża, a przecież było coś miękkiego i jedwabnego w ich milczącym, nagłym blasku, owijającym szarfą białej smugi ciemnoszafirowe, gęste niebo, zasypane miazgą gwiazd, prószących pyłem migotliwych szronów, zlewających się ze sobą w zimnych lśnieniach. Ciepła i dusząca nadmiarem aromatów, wyssanych płomieniem dziennym, szła noc, skąpana w powodzi zapachów kradzionych każdemu kwieciu i zielu, zostawiwszy wątłego młodzika gdzieś za sobą i szukająca kogo, by nakryć płaszczem tajemnic ułudy.

Nagrzane mięty, dziewanny i cząbry, wysyłały swoje upojne wonie, pełzające leniwie, mdlejące pod drzewami i tam rzeźwiące się odszukanym chłodem i wilgocią, której nie było na polnych miedzach i wśród chat. Te drzemały w odurzeniu kwiatowych, ludzkich woni, zapełniających ich wnętrza i snujących się koło małych, wiecznie zawartych szybek. Drzemały martwe, w drzewie swych sosnowych belek zamykając wyciągnięte ciała, jak w trumnach.

Pocóż tak tkwiły podobne kamieniom polnym bar-

wą, a krzom leśnym bezładem krzywych dachów, żerdzi, świronków i dobudówek rozmaitych? Ziemia ciągnęła je ku sobie, by wrastały w nią prędzej, wiatr narzucał niesione powietrzem ziarna i wbijał je w spleśniałe strzechy, skąd na szmaragdowym mchu wyrastały bujne, chwiejąc zieloną czupryną, badyle.

Zaśpiewały jękliwie, przezornie drzwi chaty, próg wysoki zaszeleścił pod nogą zdradliwym szeptem. Justynka wyszła na dziedziniec i powoli, koło płotu, przesunęła się do wrót dziedzińca. Spojrzała w górę. Chmury jakieś zasnuwały powoli gwiazdy i noc sypała na świat czarne sadze roztapiające kształty rzeczy. Dziewczyna westchnęła krótko, ziewnęła szeroko i bezwładnie wsparła się o drągi płotu. Nie mogła spać w dusznej chacie, w gorącu parującem z rozpalonych całodzienną pracą ciał, w kwaśnym, obrzydłym smrodzie wiszących ciężko woni, pełzających jak zmora na dyszących, spotniałych piersiach, a wyłonionych z czynności gospodarskich i mających jedyne ujście przez drzwi, niskiem belkowaniem i wysokim progiem obejmujące jak najmniejszy otwór, by duchu nie wypuścić z chaty. To też gęstniał znakomicie, mając za podstawę kwaśny i tęchły odór botwiny i chleba, ostre emanacje kożuchów, wypacających w tem ostygłem gorącu ostatki tłuszczu z pobieżnie garbowanych owczynek, machorki i juchtu. Lżejsze na tle tamtych, polatywały zapachy pierza z licznych poduszek, siana z sienników, przepotniałych onuczek zrzuconych z nóg, serwatki stojącej w kącie, a nad wszystkiem unosił się w górze rześki i miły zapach więdnących gałązek brzozowych, zawieszonych u pułapu i w których huczały roje much obsiadając je czarnemi gromadami, by z nastaniem dnia maszerować obrzydliwie po spotniałych twarzach śpiących.

Ciepłe fale nagrzanego dziennym upałem powietrza, podszytego chłodem nocnym, objęły Justynkę jakby różne, kolejne fale wody letniej i świeżej.

Czuła, jakby niewidzialne, ciężkie i miękkie dłonie ciemności gniotły jej dyszące piersi pod rozchyloną koszulą i szły dławiące ku szyi, dając tylko krótkie sekundy wytchnienia. Każdy, jakby kradziony zaczajonej złej mocy oddech, błyskawicznie niosący wonną słodycz nocy ku płucom zatrutym smrodem chaty, drżał w piersi młodej dziewczyny i wstrzymywał na chwilę bicie serca, które stawało, kołysało się i chwiało, sprawiając ogólne odurzenie i trwogę bez nazwy, poczem porywało się lotem wzwyż, bijąc dzwonnie nagłemi silnemi uderzeniami, bez rytmu i ładu.

„Ach ty nocka moja", zaszeptała Justynka. „nocka ty dziawockaja, ot nudno stało na serdcu, ot kali ty mienia ciahniesz i ciahniesz, Boh znaje kudy... daloka, daloka"... wtopiła twarde swe, zczerniałe od robót polnych szczupłe palce w lniane włosy ciasno splecione, nieczesane od niedzieli, związane czerwoną wełnianą tasiemką, życzką. Taką samą miała obwiązaną prawę rękę, by jutro przy żniwie nie sforsować muskułów. Własny zagon żnie, nie cudzy, gospodarska córka, to hambit nie pozwala lenić się przy robocie, niechaj sobie te kątnice, najmity, te co na tłoką napraszają się, za stół tylko, gotowe peckolić się cały dzień na kawałeczku, maślanemi rękami. Koło żyta-żywiciela nie każdemu godzi się zajmować. I nie każdy zna co i jak. Stare ludzie znają i młodych uczą, co i kiedy poczynać. Na każde ziarno jest prawo i słowa, na każdą robotę polną sposoby, żeby sporniej szła i plon dawała. A najważniejsza sprawa: chleb. To i żyto trwaka święta, żąć ją trzeba z uszanowaniem. Jutro, jutro, w gorący dzień, będzie złoto i żółto, niebiesko i zielono, jak spojrzeć, sierp tylko migać się będzie w rękach i chróst, chróst, garść za garścią pokłoni się żytko, na swojem polu, jak krochmaloną spódnicą szuszcząc. Tylko westchniesz nim zaczniesz, Spieszki-Sparyszki wołając, prosząc, żeby lekko żąć było, żeby sierpem palców nie pokroić, żeby jej snopy były największe. I ona, ta Spieszka-Sparyszka, przeleci, nikto

jej nie obaczy a robota chutko i letko robi się i dzień minie w okamgnieniu, a wieczorkiem, chłodkiem, z ukontentowaniem do chaty wrócisz... Lepiej w dzień jak w nocy, weselej, ludzie ruszają się i wszystko co Bóg stworzył, a nocą, straszno... Komu odpoczynek, a komu nie spokój i nuda na sercu.

Tak było wczorajszym dniem, tak będzie jutro. Niech ta noc prędzej przeleci! Przyjdzie słonko, co teraz złotą główeczkę nad lasem skłoniło i obejmie gorącem, jakby w miodzie topiło. Tylko chrzęścieć będzie Justynki sierp, księżyca-młodzika brat, na ziemi lśniący. Zagarnie, złamie jasną przygarść słomy i zgrzytnie, przerżnie, kłosy ciężkie do ziemi przytuli.

Dobrze żnieja pójdzie, jeśli tylko nie zapomnieć Spieszki - Sporyszki powołać. „Jak ty pierwsza krycha zatniesz, przypominała sobie Justa, to przystań i poczekaj, przeżegnaj się i mów: *Ach Spieszka Sparyszka pryleci da minie da z bujnym wietrykom na biełym motylczykom. I daj Boże lohko i wieczar nie daloko, a chto u piered zaczau, kap jon z zadu sterczau, a ja aposznia, kab była raskoszna.*

I wtedy same ręce latają, sam sierp żnie, same snopy kładną się pod nogi. W dzień każda rzecz wiadoma i jasna, a w nocy ciemna i nic zrozumieć nie możesz, ani świata, ani siebie... sny chodzą, nieludzkie sprawy ukazując, jak powywracane wszystkie, dręczące i niewiadomo poco? Inne zawalą się jak kłody i możesz z pościelą na pole wynieść, nie poczują, a ona chutko śpi i coś ją dusi.

„Boh znaje?!" Czy oczy czyjeś zaszkodziły? Mało to ludzi zajzdrosnych. Czy schwalił kto zanadto, mało to kawalerów, co o niej troje dziwów opowiadają... Wiadomo, jedna ona w chacie u ojca i każdy ma ochotę „na dom" iść, gospodarzyć na 11 dziesięcinach, bo i papka spokojny, dobry, a mamunia słabowata i nie wtrąca się, córeczka gospodynią, jej wola we wszystkiem.

„Oh ty nocka czarnaja, co ty mienia niesiesz...

czy mnie tak byci, ci za muż iści? Jak tak żyćći to niedola, a za muż iści to niewola", zaśpiewała sobie piosenkę: „horek, horek piołun u harodzie", ale cichutko, żeby nikt nie posłyszał. Nie wabiła nikogo, nie myślała o żadnym Antuku, ani Kaziuku. Ot tak czegoś chciała, czegoś jej często nudno było... Może ją kto urzekł? Bardzo kiedyś przestraszyła się wiosnową porą. Szła z łaźni, wiadomo łaźnia najgorsze miejsce na takie sprawy. Taka stara, czarna, jak chata czarownicy na kurynej nożce, raz nawet Balbinka Chrzczanowiczów widziała jak na dachu siedział czarny kozioł, brodaty, i skubał mech i badyle co na strzesze wyrosły. Któż to był? A nie już... On! Nikt takiej żywioły w wiosce nie trzyma, kiedy jest kilka koz, to białe albo pstrokate, to tak i będzi że to złydni straszy dziewczęta. Łozy tam gęste. On lubi kole łozy, czy w pniu starej wierzby, jest tam jedna taka dziurawa, pokręcona, chora... żarty! .. Jego nosić co noc, jak taki przyczepi się, to jak i do człowieka, bywa, wlezie, opęta i tylko egzorcyzma wypędzić może, a i to nie każdy ksiądz potrafi, chyba który świętobliwy... To, ci do człowieka, ci do zwierzęcia, ci do rośliny zawsze jak szatan w twór Boski wlezie, to bardzo męczy... temu ta wierzba taka.. bo cóż jej? Ot, rośnie, słoneczko jej świeci, deszczyk polewa, mrozik kiedy pociśnie na wiosnę dudki pastuszki kręcą i piszczą jak ptaszki, kociuki na niej wesolińkie do wierzby wielkanocnej, świętej, czyż jej źle tej wierzbie? I do Boga ona i do ludzi. a jeślib co w jo wlazło?... Nie daj ty Boże! Żarty! Pomyślisz! Jeżeli tak jak stare opowiadają, zimo, przy kądzieli, On nocno poro wyłazi i w drzewko nieszczęsne pazuryszczami uszczemiwszy się siedzi, kudły swoje o korę czesze i kopytami bryka aż słysze skry ido, a rogami bije i językiem... Jezu! gorącym, czyrwonym, liże, sok z drzewka niewinnego pije...

Nie żyćcież jej tej i wierzbince, nie żyćcie... pokręci biednińkę, guzy na niej rosną, próchno przypada się... choruje... ni do Boga jej wtedy, ni do ludzi... i nie

bierz z jej ani na wierzbę, ani na koszyk, ani na powrozło i dudki nie kręć, bo śmierć sobie wyśpiewasz albo choroba pokręci... Bardzo jest straszno jak coś takiego przyczepi się... Co do niej, do Justynki przyczepiło się? Może wtedy kole tej łaźni... złe miejsce, wiadomo dziewczęta i baby gołe tam zawsze latajo, głupstwa gadajo, narągajo się jedna drugiej, wszystkie swoje czyny przypominając. Czego nie posłyszysz, czego nie dowiesz się!... A potem menszczyzny na te same miejsca przychodzo i znów o babach gadajo, każda opaskudzo swojemi językami, jak ten czort wierzbinkę niewinną. To i z tych gawęd, z tych języków niegodnych, tak robi się w łaźni i koło łaźni, że kto tam idzie, to zły łatwiej może przystąpić. Co to wtedy było?... Coś zaszuściło po krzakach, jak ona skoczyła z wiadrem po wodę do rzeczki. Nu, wiadomo jej grzech, że goła wyskoczyła, z prędkości, a i miło, jakości miło z gorącości, z parnoty, gdzie aż dechy zapiera, wylecieć tak wieczorkiem, w krzaki. Gałązki połaskoczą, gdzie która popadnie, aż strach, zdajsie ręce chwytają za piersi, ci tak gdzie... wietrzyk także łaskocze, woda nogi całuje, a potem znów w parę wpadniesz, w pał, ledwie dechy złapiesz i prześmiechi, i figli z dziewczętami. To może jej wtedy jaki czort kudłaty na indyczych czy kozinych nogach przebiegł drogę, ci najrzał z łozinek... bo jej od tych por cości tak serdce ciśnie, tak dusi! Nikomu nie mówi, bo wstyd przyznać się... jeżeli coś takiego, ale ciężko w robocie i nuda taka smokcze jak wąż zaklęty. A może to mierlak spokoju nie mający nachodził dziewczęta, paciorki prosząc, czasu Dziedou doczekać nie mogący. I dusza cierpiąca śpieszy do ulgi, pamiętać o tem trzeba; nie raz, nie dwa, wychodząc, zostawiały w łaźni duch ciepły i wodę gorącą, i winniki, i oładki, albo kapusty smażonej na oleju, i kłaniały się w koło od drzwi, na cztery strony, aż do ziemi szepcząc, trzęsącemi się ustami: *Dziedy, dziedy, chadzicie siudy, wieczeru wieczeraci i nas pierażegnaci.*

A potem prędko leciały milczkiem do wioski, bo zdawało się, że powietrzem letko, cicho płyną smutne, tęskniące dusze i kołyszą się nad głowami, między gałązkami, a potem zejdą gdzie wołanie usłyszą i dobrą o sobie pamięć zobaczą. To może wtedy tak ktości wracał, toż mogiłki niedaleko, od tej i strony, od łaźni, krzyżyki widać i trawy, badyle wysokie takie, jak nigdzie, na ludziach wyrosłe. Ale to nie bieda, zmówisz wieczne odpocznienie i nie przyjdą, nie wrócą, upiorem teraz nie bywa żeby kto chodził, to tylko stare ludzie opowiadają, że tak kiedyś bywało. Teraźniejszym czasem to nie moda i u umarszczyków. Biedulek, może to był jaki chłopiec nie całowany, co skonał za dziewczętami bardzo żałując i teraz przychodził prosić choć o paciorek, może dziewczyna szpetna, ci krzywa, co chłopcy gańbowali i nie zaznawszy żadnej słodkości w mogiłki złożyli... Ach nudnoż takiej umierać, ach żesz smutno ..

Justynka wyciągnęła ramiona do słodkiej nocy, która westchnęła z nią razem wonnie i głęboko. Mrugnęła znów małanka, jakby cichutko dawała znać, że w jej głębiach, daleko coś się dzieje, coś ona w swej czarnej przestrzeni tworzy, że fermentują soki w łonie ziemi i w ciszy, nie zmąconej obecnością człowieka, nie deptanej jego niespokojną, ciekawą, brutalną stopą, może obmyślać sobie prawiecznym, a wciąż nowym sposobem wydnie na świat słoneczny wciąż nowych form życia, wypędzania z ciężkiej ciasnej ciemnicy gleby, strzelistych kształtów trawy, kwiatu, drzewa i celu najwyższego stworzenia wszelkiego: owocu, który jest życia każdej istoty jedynem usprawiedliwieniem.

Nieświadomie odczuwała to smukła Justynka, patrząc swemi siwemi oczami w dalekie cienie i larwy kształtów, rozłażących się w nocnej pomroce, jakby przedmioty również potrzebowały odpoczynku i rozsnuwały swe wiązadła w omdleniu i pewnym bezwła-

dzie. Chaty, drzewa, płoty, kamienie, pokładła nocka letnia, ciężka, parna ku ziemi spać, roztopił się cały świat w miękkiej granatowej ciszy i odpoczywał zmęczony upałem dziennym i pracą. Ale nie, w głębinach, w przepaścistych zamarkach świata, wciąż się tworzyło coś, co było to samo i inne. Pierwiastki życia w ludziach, w roślinach i zwierzętach, rzucone w każdy, żyjący twór nakazem, niepojętym ani w swym początku, ani końcu, tworzyły w łonie kobiety, czy samicy zwierzęcej, w ziemi i w wodnej toni, nowe istnienia, dalszy ciąg złączenia i rozwoju potęg, na których się wspiera wielka budowa wszechhświata, początek, wzrost i rozwój niezliczonych dzieci ziemi dzieci ludzkich czy zwierzęcych, potomstwa roślin, ptaków, czy ryb... Wszystka ta cudowna i niepojęta, olbrzymia i drobnostkowa, pełna rozkoszy i cierpień robota, właśnie teraz, w nocnej ciszy i samotności, stawały się trochę zrozumiałą i niby widoczną. Wszystkie inne sprawy powierzchowne i przelotne, zziajane niepowstrzymanym swym biegiem, tak często bezcelowym, głupim i okrutnym, przyczaiły się niby zdyszane psy gończe i na tej półkuli odpoczywały z nakazu słońca. Tamta jednak nie mogła ustać, odpocząć, ni pychającej glob ziemski, po drodze jego istnienia. Zachwiać się nie mogła jego równowaga ni prawidła. Mogli ludzie zniszczyć wszystko co wkoło siebie rozrzucili, jako objaw siły ducha i ciała, mogli unicestwiać siebie wzajem, mogli dla fikcyjnych swych celów, dla wytworzonej przez siebie fantazji, rzucać się przeciw tym celom globalnym, by je zahamować czy spaczyć. Czyniło to w całym układzie sił przyrody akurat tyle, co przejście myszy przez mrowisko, co mucha dokuczająca słoniowi. Działy się rozmaitości po wierzchu, tamtym siłom było to obojętne. Nawet gdy drżała ziemia, gdy chwilowy wstrząs targnął jej łonem, konwulsją wszystko niszczącą, i to nic nie znaczyło i nic nie przeszkadzało, i to przechodziło po wierzchu,

a w głębinach wszelkiego jestestwa rzecz najważniejsza powstawała jednako silna, trwała i niezmienna.

Olbrzymia ta potęga niezachwiana i przemożna, w takie ciche, letnie noce, wysyłała z przestworów jakieś niedające się określić fale, odczuwane przez istoty, nie mogące ani w przybliżeniu zrozumieć o co chodzi. Czują tylko. Psy cicho skomlą przez sen, ptak czasami trwożnie zapiszczy, zwierz leśny i polny przypadnie piersią do ziemi, ryba plusnie nagle skrzelami o trawy wodne, drzewa zachwieją się, zaszumią i kwiaty zapachną, jakby ich kielichami ktoś zakołysał.

W takie noce żonki słodziej tulą się do swoich mężów, a dziewczęta stękają smutne w zimnej pościeli albo biegną w objęcia ciemności, i szukają, wołają nie głosem, duszą wołają, tego, kogo im noc gorąca i moc nocy wołać każe.

Kogoż ona, ta Justynka powoła do siebie, kiedy nikogo takiego nie wspomina, żeby jej był do serca, do duszy? „Chłopcy... cóż chłopcy? Zwyczajnie .. menszczyzny... wiadomo co. Sunie się, kochanne rozmowy zaprowadza, tańcuje na wieczorynkach, kiedy, to i cukierków, ci obarzanków, a kiedy piernika, ci wstonszki kupi, ci chusteczka na głowie sprezentuje i już on myśli że taki ważny, że zaraz ty i za jego wychodź, i jego słuchaj, jemu dzieci rodź, i wszystko. Lepiej mnie tymczasowie przy mamuni ostać, swojo wolo pożyć na świecie, na Bożym; swoja, nie mężowska dola - niedola przeżywać. Nu, tak czegoż mnie tak nudno, tak nudno, na sercu". przemyśliwała Justynka.

Powoli, wzdychając i chcąc-niechcąc, wylazła z za płotków ojcowskich i zaczęła iść przed siebie. Bała się trochę, niebardzo. Bo i czego? Strachy nie chodziły po tej wiosce, cmentarz był daleko, nietoperze tylko blisko domu latały, a psy znajome, to i czegoż? A jakoś ciągnęło tam, dalej. Kiedy stanęła u wrót wioskowych, doleciał jej uszu daleki jednostajny, mrukliwy szept boru i zapach leśny poprzez zimne mgły łąki otoczył, jakby się tam cały świat odsłonił, jakby tu

dopiero był początek ogromnego świata. Mrugnęło kilka większych gwiazd na ciemnem niebie, szczeknął tu i tam pies senny, zarechotała żaba w sadzawce, jedna drugiej coś sobie powiedziały i zmilkły; zapach dojrzewających jabłek szedł od sadu, smaczny, jędrny, aż zdawało się sok winny czuć w ustach. Żeby to poszukać, wymacać ręką krągły, chłodny kształt owocu i zatopić ścierpłe zęby w twardym krasnym miąższu, piszczącym soczyście pod ukąszeniami całej szczęki. Leniła się. Wszystko się w niej roztapiało w ciemną, miękką ciszę....

Daleko, daleko doleciał leciutki tupot po twardej drodze. Nie prędki, nie groźny. Tupu-tupu, tupu-tupu odbijała droga idąca zdali i mijająca wioskę, głos tęgiego kroku nieśpiesznego rumaka; coraz był bliżej, dosłyszała Justynka miły, dźwięczny szczęk wędzidła, poparskiwanie i cichy, melodyjny gwizd. Zastygła w oczekiwaniu. Z gęstwy cieniu poruszyła się wielka bryła, jak oderwana od masy chmura i naparła się na wrota, zaklął ktoś od djabłów i posypały się skry krzesanego ognia, bujny płomyk buchnął od zapalniczki, na mgnienie oka ujrzała Justynka zawieszoną w powietrzu twarz młodą, bez zarostu, oczy, których spojrzenie zdawało się ją wynajdywać i kłuć ostrym błyskiem. Bezwiednie cofnęła się w gąszcze zdziczałych malin, szeleszcząc niemi głośno.

— Czy tam kto szamocze się w krzakach, hę!? No, gadaj kto ty tam, bo strzelać będę — ozwał się głos bardziej żartobliwy niż groźny. Justynka odparła też bez wielkiej trwogi głosem podszytym śmiechem.

— Aj, nie strzelaj panicz, a to człowieka skrzywdzić możesz.

— Człowieka? A to słyszę baba odzywa się... i zdaje się po głosie, młoda. Co ty? Krzywdy swojej szukasz? Jeżeli stara, to czarownica napewno, o północku po ziółki wyszła, a jeśli młoda, no, to do chłopca leci, śpieszaj że, śpieszaj, tylko drogę powiedz, — mówił z ciemności głos młody i niedbały.

— A ot żesz, i nie stara, i nie do chłopca, zaśmiała się Justa.

— E, to może młoda czarownica, bo czegoż po nocy łazi, ludzi poczarujesz, podróżnych spokojnych, chodź, przeprowadź konia, bo ot iść nie chce, — wciąż wesoło-drwiąco mówił głos męski. Justynka przycisnęła koszulę rękami na piersiach i aż się zaniosła z cichego śmiechu.

— Lękam się ja po nocy, panicz żesz swojego konia lepiej znasz, on mnie nie posłucha.

— Ot, sprobuj, tylko podejdź, posłucha on, posłucham i ja, jeżeli co ładnego powiesz, chadzi, durna,— tym samym rozwlekłym sennością, niedbałym o nią głosem wabił.

Justynka starannie wkręciła się plecami w gąszcze malin głębiej, czując że coś ją w dołku piecze i za piersi chwyta, jakby już tam Boże strzeż, (a Bożyńka daj) była tuż koło tego konia i tego Pana. „Ot czego ja wyszła po nocy, ot czego mnie z chaty wyparło, doli szukała, znaczy się". Milczała, milczał chwilę i jeździec, zajęty zapalaniem papierosa, koń pobrzękiwał sobie wędzidłem, potakując wszystkiemu dobrotliwie.

— No jakże będzie, sam polazę wrota otwierać? Czegoż ty się lękasz? Zjem czy co? Ech, ty czekasz aż on przyjdzie!?...

— Jaki *on?* — zatrzęsła się Justynka, — co panicz gadasz, nikogo ja nie czekam, tak sobie wyszła, gorąco w chacie stało, — tłumaczyła się gorliwie, ogarnięta straszną myślą co też to słowo *on* znaczyć może? A nuż nieprzyjaciela rodu ludzkiego, Pana ciemności, którego imienia lepiej nie wymawiać o północku.

— Gorąco tobie było, ajaj, nie bój się, jak *jego* spotkasz będzie tobie jeszcze cieplej... ogniem spali, warem obleje, będziesz piszczeć dziewczyneczko, będziesz modlić się łaski, — płynął ku niej głos z pod iskry dymiącej, zawieszonej wysoko i ukazującej se-

kundowy obrazek gładkiej twarzy, z ciemnemi dołami oczu i białe rzędy zębów.

— A Jezus, a Jezus, proszę tak nie mówić nadto straszno po nocy takich słówek słuchać, — modliła się Justynka dygocząc.

— No to podejdź wrota otworzyć, bo dalibóg będę stać do rana, a nie zejdę.

— Skolejesz panicz nie ruchając się i zleziesz, — znów odzyskała rezon dziewczyna.

— O, wiem ja czemu nie chcesz podejść, rzekł znów z politowaniem głos z ciemności — biedulka, szpetna ty musisz być jak małpa ostatnia i gęby swojej paskudnej nie śmiesz pokazać... Ot dlaczego, już ja rozumiem, już ja widzę nawet w ciemności... aach, biednaż ty dziewczyna, dlatego i bez kawalera, i sama po krzakach łazisz, czekasz musi być, że może djabeł zlituje się, weźmie, bo ludzie nie chcą.

— W imię Ojca i Syna i Ducha, przeżegnała się Justynka na głos, dodając jednocześnie w myśli pobożne życzenie „kap ty skis" — „już to i z grzechem takie głupstwy gadać", mówiła szczękając zębami i trzęsącemi rękami rozgarniając krzaki, by prędzej stanąć do oczu temu oskarżycielowi i przekonać go jak daleko był w błędzie..

Jasna jej twarz, otoczona roztarganemi, jak len jasnemi włosami, znalazła się tak nagle na wysokości kolana jeźdźca, że aż się zaśmiał i dmuchnąwszy silniej w papierosa, pochylił się szybko i chwycił ją za ramiona. Stała bez ruchu. On chwilę trzymał ją tak przyciśniętą do twardego sztylpa twardemi piersiami, których krągłość zapiekła go i przeszła dreszczem przez kolano, potem zwalniając uścisk trzymał chwilę rękę na chudem ramieniu, którego kruche kości gniótł bezwiednie.

— No, no, widzę, że owszem, niczegowata jesteś dziewczynka, nawet można powiedzieć ładna — dobrze że podeszłaś, a tak nigdybym nie uwierzył. Otwórz że wrota.

Zaskrzypiały stare deski niechętnie, ze złością, jak stara ciociszcza co przez próg chaty kawalerów nie puszcza do młodych; ostrzegły, swoje zrobiły, szparkę tylko rozsunęły dla tego nocnego wędrownika.

Stanął zaraz gdy przyjechał. Koń zmęczony, wyciągnął pysk w stronę studni stojącej opodal i natrafiwszy na tyczkę grochu, przygarnął ją łakomie gębulą i zaczął zębiskami wciągać do pyska chrupiąc ile chwycić zdołał soczyste i słodkie pnącza...

— No to i dziękuję, rzekł przejezdny, — masz tu na obarzanki, zaczął szukać po kieszeniach.

— A nie trzeba mnie... nie fatyguj się Panicz, bo nie wezma...

— No to tak dziękuję, — pochylił się niespodzianie, chwycił w pół piersi, podniósł jak nic, (ot kiedy mocny stwierdziła pierwszym odruchem myśli Justynka) i pocałował w same usta raz, drugi, trzeci i jeszcze kilka razy. Szarpnęła się trochę, nie bardzo, a potem to już wcale nie. Jeszcze koń skaleczy, tłomaczyła sobie, chociaż stał poczciwiec spokojnie, chrupiąc swój przysmak pośpiesznie, by skończyć, nim się tam ludzie ze swemi sprawami załatwią.

Opadła Justynka na bose piętki i zgarnęła nad tłukącem się mocno i bezładnie sercem, sztywną swą i zimną koszulę lnianą, obie pięści zaciśnięte trzymała skrzyżowane pod brodą, zgięta mocno, broniąc szkaplerza, medalików, serca, piersi... wszystkiego. Kto wie co tu dalej być mogło? Kto wie? Ona najmniej. On wie. Milczeli trochę dysząc. Papieros zgasł. Głos z ciemności szedł i był bliski, był łaskoczący teraz, biegł jakby po skórze, głaskał po gardle, ciągnął jak miód lepki, słodki, smołą czepiał się i pokrzywą parzył, co tam słowa... choć i słowa nie byle co... oj słowa! Tak mówił cień bez kształtu i twarzy:

— No, cóż teraz? Przyswoiłaś się, a? Z chłopcem pocałować się nie grzech, to już tak Pan Bóg dał te przyjemności... wiesz co, zmęczony jestem, koń też,

a jakże. Chodź, zaprowadź do jakiej odrynki... na sianie dobrze spać, jeśli nie samemu... ale to już koniecznie i ty, bo sam lękać się będę w obcem miejscu. — Śmiech wesoły, rżący, obsypał ją jak warem, końce palców musnęły policzek, zsunęły się na ramię. Otóż tak, no rozumie się...

Mdlejącemi rękami namacała żerdki płotu, i leniwie, płacząc zcicha, przewinęła się w ogród warzywny piekąc nogi w pokrzywach, ale w sercu gorzej piekło. „Odrynka! Ot tam i jest odrynka, i siano miękkie, pachnące, ot tam tylko pójść i niechaj sobie... inne figlujo, niech sobie i ja... „Jest żesz odrynka" zamruczała półwyraźnie, do siebie i w przestrzeń, ale na pytanie gdzie, i słysząc ruch zsiadania z konia, rzuciła się bez myśli, głową naprzód przed siebie i skacząc, potykając się, łamiąc cudze kapusty i botwinę, budząc psy, które rozszczekały się teraz wokoło, uciekała serdecznie chlipiąc i nos rękawem koszuli wycierając. Coś ją odegnało, jakby ręką pchnął, jakby kto stanął między nimi. „Anioł stróż biały, czy... Boże bądź miłościw mnie grzesznej, co ze mno wyrabia się tej nocy, musi na burza"... szeptała bijąc się w piersi i pochlipując z serdecznym żalem „wolej by już była pokazała gdzie ta odrynka... temu paniczu... ot i prawda... nie dobrze po nocy dziewczętom chodzić... i nie obejrzysz się a złydni najdzi"... Nasłuchiwała jak zdala miarowy tupot konia zadźwięczał zgrzytliwie tu i tam po kamieniach wioskowych, pieski zawrzasły i odprowadzały od chaty do chaty, sygnał sobie dając wzajem, potem ucichły i tylko hen, hen, ledwie dosłyszalny przyleciał znów ten sam gwizd melodyjny i jak nadszedł tak poszedł, niewiadomo skąd, poco i dokąd.

Justynka wparła się w węgieł chaty i zaniosła się rzęsistym płaczem. Cóż? Zdaje się nic. A już ona nie swoja, ni mamuli, ni tatuni, a prechodiaszczaho młodzieńca!

A ONO POWIEDZIAŁO SWOJE

Na wzgórku, hen za wioską, przysiadłą w dołku między lasem a drogą, na tle szafirowego, jesiennego nieba ukazali się trzej jeźdźcy.

Wyrośli tak nagle na panoramie krajobrazu, jakby ich wyrzuciła z siebie gliniasta wyrwa, lub sen nieprawdopodobny zarysował przed oczyma zamkniętemi na świat rzeczywistości. Nie robili wrażenia jawy, ani zdarzenia wchodzącego w bieg życia mieszkańców wioski. Byli czemś, czego tu nigdy nie było i z czem nie istniała żadna analogja w otoczeniu.

Wszystko wkoło bowiem tchnęło sennym, leniwym a pogodnym spokojem. Malowniczem rozmarzeniem borów, owitych leciuchną przezroczystą mgłą, roztapiającą się już w ciepłem złocie słońca, objęta była wieś szara. Cały widnokrąg mienił się kolorowym lasem, ledwie tkniętym palcem jesieni, która poznaczyła sobie tu i tam drogę w gąszczach, bukietami purpury klonów i złotych osik; zaledwie rdzą musnęła dęby i chłodem rannych ros zwinęła miękkie liście leszczyny, posczepiała bure brózdy pól śnieżnemi nićmi pajęczyn, a na ścierniskach utkała z nich sobie tęczowy kobierzec, grający blaskiem kropli wodnych, jak klejnotami.

Malutkie, kręte, szmaragdowe łączki, podmokłe w zagłębieniach błękitną, jak odbite w niej niebo — wodą, biegały w odwiecznym bezsensie i bezładzie rozmiarów, pomiędzy rudą rolą, rżniętą w wąskie sznury, przerastałą obficie kamieniem i po której jak różańce znojnych, a bezmyślnych trudów, pełzły wysokie garby miedz, zarosłych puchowemi badylami, wysuniętemi z pomiędzy spiętrzeń siwych kamieni.

Wioska nie robiła tu wrażenia czegoś sztucznego, umysłem mądrego człeka narzuconego naturze.

Zdawało się, że istniała tu od wieków, że tylko w takie oto, inne, niż w lesie kształty, ułożyły się pnie w pobliżu, że mech zielony rozłożył się jeno trochę wyżej, niż pod konarami świerków i sosen, a chrósty, łapy jedlinowe i sęki splotły się koło krzaków malin i zdziczałych jabłoni tak luźnie i nie symetrycznie, jakby je splątał nacisk śniegów lub wichru. Olbrzymie głazy, zatoczone pod przyźby nizkich chat, ułożone w stopnie do nich wiodące, zdawały się też samoistnie tu wyrosłe, tak fantastyczne było ich rozmieszczenie.

Byliż inni od otoczenia ludzie tam żyjący? Nie, zaiste. Odzież ich była siwo-bura jak rola, twarze odcieni ziemi ciemnej lub jaśniejszej, włosy płowe jak lny, złote jak ściernie lub srebrne jak pajęczyny, oczy błękitem nieba lub jasnością wód jak one spokojnie patrzyły, wiedząc, że od urodzenia do śmierci te same oglądać będą rzeczy.

Ten cały światek, wytwór samoistny, jakby wysnuty od najpierwotniejszych istnień okolicy, i od niej tylko zależny, miał w swym pozornym bezładzie harmonję i pociągającą malowniczość kaprysów natury i objawów instynktu, zbytecznego już w świecie cywilizowanym.

Nie było tu nic symetrycznego, nic obliczonego, nic „na swojem miejscu' według pojęć praktycznych, ale każda żyjąca tam istota miała swą wodę do picia

i swoje ziarno do zebrania, jak ptak w borze i mysz polna.

Wonny smołą, ciepły, niebieskawo - opalowy snuł się wstążką dymek ze spróchniałych sęków, u skraju pola ułożonych w ognisko, a wśród nich, w błyskającym czerwonym okiem żarze, piekły się kuliste „bulby", pożądliwie wyciągane z pośród węgli przez zziębnięte dzieciaki, grzejące zsiniałe nogi w popiele, a plecy na słońcu.

Kudłate „wilczuki", psy o wyglądzie dzikim i przeraźliwym głosie, rozchodzącym się aż echo w boru odszczekiwało przeciągle, oraz od miejsca do miejsca kosołapy konina z ogonem do ziemi i grzywą, pełną dziadów, a brzuchem niepomiernie wzdętym, ciągnący za sobą na sznurach sprzęt pierwotny, złożony z drzewa i trochy żelaza — oto wszystko, co zamknięte niedostępną zda się ścianą lasów, spięte klamrą kępiastych mszarów, odgrodzone od świata, światem całym było dla siebie.

. . . .

Jeźdźcy, wdarłszy się ostrym pędem swych sadzących w szczupakach koni na wzgórze, roztrącili, przedarli, zda się, niewidzialną powłokę, okrywającą cały krajobraz pogodą i ciszą. Wstrzymali się chwilę spętani nieuświadomionem wrażeniem, że wpadli w jakąś głąb, która ich pochłonie.

Że są od wszystkiego, co jest ich właściwością, tak daleko, iż odosobnienie to pomniejsza ich siły i znihiluje ich potęgę.

Przez błysk sekundy przewinęło się pytanie: po co tu są? tak nienaturalnem wydało się ich zjawienie.

Wnet jednak runęli wąską drożyną, krzesząc iskry z kamieni zgrzytających pod podkowami koni i dopadli wioski.

U wrót i skraju pola stanęli.

Cisza nastała tak zupełna, że słychać było lekkie podzwanianie wędzidła przesuwanego spienionym pyskiem końskim i, daleko, tęskną, a melodyjną trąbę pastuszą.

Ludzie wojskowi zastygli bez ruchu.

Jak nakazem czaru zaklęte, stały gromady tam gdzie je widok nieopisany, niewidziany zastał i strachem zlodowacił.

Najgłębsze, najboleśniejsze przerażenie zupełnej niewiedzy tego, co się dzieje obłąkało im oczy, zjeżyło włosy i chłodem śmierci pierś tłoczyło.

W tej chwili jeden z koni, cudny dwuletni źrebak skarogniady, parsknął płatami piany, dźwignął się lekko w górę i bijąc smukłemi nogami powietrze, zarżał. Zawodzenie rozpaczy, lament ostrzegawczy i bunt był w tym głosie przeraźliwym, był w nim krzyk o ratunek, skarga na krzywdę i tęsknota za rodzinną stajnią, z której go przed kilku godzinami ze snu porwano.

Z miękkiego, jak szary atłas pyska, nieznającego wędzidła, pryskała różowa piana, rzucające się skrętami wstrętu boki były zmydlone, ciekły z nich cienkie strużki krwi od cięć szpicrutą i pchnięć ostróg.

Ściągany munsztukiem przez jeźdźca, opadł, chrapiąc, i stał drżący, błyskając wystraszonemi oczyma.

Jeźdźcy zsiedli opodal malutkiego sadu, który gałęzie swych zdziczałych drzew owocowych zwieszał aż na drogę; uwiązali konie u wrót, długie lance wbili zgodnym ruchem w rząd i z ręcznych worków z nieprzemakalnego płótna, szybko wydobytych i rozwiniętych z chrzęstem, zaczęli karmić konie.

Jeden z żołnierzy posunął się kilka kroków i jął głosem i ruchami przyzywać do siebie ludzi.

Długa upłynęła chwila, nim się poruszyli i to wszyscy razem — nikt nie chciał być na przedzie i posuwając się powoli wciąż jedni kryli się za drugich, co widząc wojskowy ruszył wielkiemi krokami ku nim.

Nie na wiele się to przydało.

Nikt nikogo nie rozumiał, a przerażenie tak odbierało przytomność, że gestów też nikt nie pojmował.

Wreszcie żołnierz przysiadł do ziemi i zagdakał, jak kura, znosząca jajko, poczem włożył palce w zęby i naśladował ruchy szczęk jedzącego.

Osłupienie ogarnęło wieśniaków, potem nagle buchnęło parę nerwowych śmiechów.

Komedja! Jeść chce, pokazuje że jaj, więcej nic. I to pokazał tak, że odrazu każdy zrozumiał! Ach, zamorski ten naród, mądry! Co dziwnego, że aż tam zalazł, gdzie go nikt zrozumieć nie może, kiedy i tak da rady. Baby rozbiegły się po chatach, reszta patrzała bez słów; w sennych mózgach ciążyła, wbijała się coraz jaśniejsza, coraz większa pewność, przyjmowana z rezygnacją fatalizmu, jakiegoś końca, kresu własnej świadomości i woli, a zagarnięcia przez moc niepojętą, nieznaną i tem straszniejszą. Jakiegoś takiego znicestwienia własnej osobowości, jaką by chyba mógł trup, gdyby mu została możność zdawania sobie sprawy czem jest.

Wojna!... Więc doszła!... Więc to już ona!...

Wiedzieli, jak wygląda gradowa chmura, gdy toczy się żółto - bura po sczerniałem niebie, by zniszczyć plony; wiedzieli, jak wybucha, syczy i tańczy po strzechach płomień pożaru, pamiętali, jak trzeszczą stare ściany od wichru, burzą rozpętanego, co najstarsze drzewa w lesie skręca, jak wiechy żyta, wiedzieli, jak siną czerwonością rozpala ciała tyfus — gorączka na wiosnę i jak zielenieją twarze umierających dzieci w epoce niedojrzałych owoców.

Wszystko to były sprawy tysiąc razy zdarzone, powtarzane przez Boga, jak pory roku, przez ludzi przeżyte, jak one, mające swój znany przebieg i przez to obojętnie brane poza nawias normalnego płynięcia życia.

Teraz zaś było nad nimi, było w nich to, o czem słyszeli tak, jak się słucha o tamtym świecie, o sądzie ostatecznym, o otchłani. Zdawało im się, jakby wszyscy pomarli i niczem już nie są, tylko w ręku Boga, czy szatana?... Nie wiedzieli nic, tylko to jedno, że

nagle, jakby ich już nie było na ziemi... Że wszystko, co się stanie ze wszystkiem, i z nimi, to już będzie nie życie, ani może zaraz śmierć, ale coś, co Bóg zesłał na świat, by zmienić jego porządek i sens, a na to trzeba by wszystko strzęsło się w jakimś niepomyślanym chaosie, z którego ręka Wszechmocnego znów wyprowadzi nową budowę.

Ale znicestwienie dotychczasowego ładu, to teraz tego oni muszą być świadkami, dać się zmiażdżyć w tym łoskocie zdarzeń. To oto są majstrowie, przybyli piorunowym rozkazem losu, a oni materjałem... Byli już własnością wojny.

Wojskowi weszli w sad i siedli na pniakach. Jeden zajrzał do chaty, schyliwszy się u niskich drzwi, ale wyszedł wnet, spluwając.

Gromadka wiejska powolnemi ruchami otoczyła siedzących. Przyglądali się sobie zdaleka i robili wzajemne uwagi, z taką swobodą, jakby mówili w obecności głuchych, lub przy innego gatunku istotach. Każde poruszenie, każda część skomplikowanego umundurowania żołnierzy, była przedmiotem podziwu i uwag.

Wiele szczegółów stanowiło niepojętą zagadkę, przyniosła je bowiem wojna w te ciche bory z miejsc tak różnych od tej doliny, jak różną jest żelaznokamienna fabryka, tęskniąca harkotem maszyn, owiana zaduchem czarnego dymu, od tych szumiących cicho drzew wonnych rosą, rosnących spokojnie pod czystem sklepieniem niebios.

Wojskowi drzemali, prócz jednego.

Ten, starszy rangą, o szczupłej twarzy inteligent w okularach, patrzał na mapę rozłożoną na kolanach i rozglądał się wkoło wdal; chwilami używał do tego lornetki polowej, a ile razy przykładał jej lufy do oczu, najbliżej stojący cofali się zlekka, jakby bojąc się znaleźć w jej promieniu.

W pewnej chwili zauważył to patrzący i dziwił się. W jego skomplikowanym mózgu cywilizowane-

go człowieka ten odruch instynktu wzbudził jakąś strunę porozumienia między nim, a tamtemi pierwotnemi istotami. Przez chwilę, stłumiona ciągle służbą, podporządkowana jedynemu zajęciu: spełnianiu ślepo rozkazów, obudziła się myśl wszystko obejmująca, przeniknęła w otoczenie i odczuła jego stan.

Zdumiał się nad przeczuciem tych ludzi.

Uchylali się od szkieł daleko widzących z wyrazem strachu na twarzach, jakby ich piekł i kłuł promień rzucanego przez nie spojrzenia.

I mieli słuszność tak właśnie czuć.

Szkła te bowiem, spojrzenie apokaliptyczne okrągłych dużych oczu w czarnej oprawie, wybierały ofiarę.

Gdzie się zatrzymały, być może, jutro, za parę dni, zostaną tylko zgliszcza.

Spojrzenia te kładły się na horyzont niewidzialnie, ale nieodwołalnie; tak niewidzialnie, jak śmierć, gdy zbliża się do łupu, i równie nieubłagalnie.

Poczuł, że rozumieją w koło niego, jakie jest jego tu znaczenie; napełniło go to wielką dumą. Rozrosło się w nim uczucie potęgi nieludzkiej, bo dzierżącej los nietylko ludzi, ale całego krajobrazu, i wzięło górę nad potwornem zmęczeniem, dzwoniącem w uszach. Nie pamiętał kiedy spał, nie pamiętał kim był; ani swego życia dawniejszego, ani stosunku swego do ludzi, ani żadnego pojęcia z tych, co się w normalnych czasach wciąż obijają o uszy, nie wiedział już nic, nawet tego, że jest człowiekiem. Jedynie świadomość przynależności do olbrzymiej potęgi wojny pozostała i kierowała jego ruchami; jej prawa nim rządziły, jej wola sumieniem i rozumem kierowała; była silniejszą od wszystkiego i każdy, kto stanowił jej składową cząstkę, był też silniejszy od wszystkiego, nad czem się ona unosiła. Od życia — bo je niszczył, od śmierci — bo ją dawał.

I to, co dawniej było przywilejem lub zbrodnią wyjątkowych istot, teraz było podstawową czynnością

potwornego organizmu, którego to było funkcją, niby oddychanie i trawienie.

To też bez uczuć ludzkich spoglądał obcy, daleki wojownik na otoczenie. Wiedział, że zapewne po kilku dniach śladu nie zostanie z tych chat i gajów, a może i tych ludzi, ale nie czuł za to odpowiedzialności lub żalu, tak jakby będąc np. składową częścią ognia czy piorunu nie czuł nic prócz tego, że palić musi. Czuł nawet poniekąd dumę z tego powodu. Było to bowiem wzniesienie się ponad ludzkie, spokojne czajenie się katastrofy niczem niewstrzymanej, pewnej siebie, przetwarzającej porządek wszechświata i z powodu ogromu rozmiarów, nieodpowiedzialnej.

Spoglądał więc w błękitną i złotą dal jesiennego poranku, chłodził szumiącą z bezsenności głowę i jadł machinalnie przyniesiony posiłek.

Dwaj żołnierze jedli też, pogadując i ziewając naprzemian. Konie chrupały owies, prócz źrebca, który wciąż rżał histerycznie, zanosząc się jakby przeraźliwem łkaniem; sierść i grzywa jego były zjeżone, bił łbem o kolana, to znów zadzierał głowę, ciągnąc uwięź, i z wielkich jego, wysadzonych z orbit, szafirowych, łagodnych oczu, płynęły łzy, chrapy, nabiegłe purpurą, wyszukiwały w wolnej przestrzeni zapachu ulubionej zagrody i dygotały od stękania, wydzierającego się z głębi piersi.

W jakiejś chwili oficer wyszedł na małe wzniesienie za sadem i utkwiwszy spojrzenie w zachodnią stronę horyzontu, z pod lornetki rzucił półgłośny rozkaz, na który żołnierze wstali i szybkiemi, zgrabnemi ruchami zaczęli porządkować, spinać i zwijać sprzęt, rozłożony przed chwilą.

Na końcu ulicy wioskowej ukazało się teraz kilku bosych, obdartych wyrostków z biczami w rękach, pędzących ze zdyszanym krzykiem, zdławionym strachem.

Pokazywali na coś za siebie, i oczy wszystkich skierowały się tam.

Daleko, z głębin lasu, wysuwało się coś niepojętego...

Szare, ruchome tysiącem łusek, cielsko olbrzymiego smoka sunęło po drodze, której nie było widać. Tam, gdzie był jej ślad, pełzł teraz wąż bez końca, coraz się wydłużający i miękkiemi skręty pożerający przestrzeń.

Nie podobna było uwierzyć, że to się składa z pojedyńczych ludzi, tak bardzo robiło wrażenie legendarnej „niestwory", władającej całym widnokręgiem; najstraszniejszą była cisza, w jakiej się odbywał przechód tego mrowia, z powodu odległości nie dochodził nawet szelest kroków, i to dopełniało wrażenia nieprawdopodobieństwa i przerażenia.

W głębiach świadomości powstawało pojęcie, że to oto idące, sunące, ogarniające, zagarnie lada moment wsie i bory, i zacznie milczkiem pożerać. Nie zdawało się możliwem, aby po przesunięciu się tego smoka z Apokalipsy, mogło coś zostać na ziemi, prócz jałowej pustki.

Bezcelowe ruchy popchnęły gromadę wioskową: to nagłe rzucanie się tu i tam, to powolne wędrowanie przed siebie jak w przepaść lub do grobu, to obejmowanie wzrokiem rodziny i obejścia, to płacz wybuchający ostro, jak strzała rzucona w niebo, wnet stłumiony beznadziejnym, martwym strachem.

Twarze były blade, jakby cała wieś konała, ręce żegnające zroszone śmiertelnym potem czoła, drżały, a bezbarwne wargi plątały słowa pacierzy, przecinając szept błagalny, szczękającemi zębami. Kobiety padały na przyzby chat, zakrywając siebie i dzieci płachtą, jak ptaki w gniazdach, czekające piorunu.

Żołnierze patrzyli na ten widok, pospolity dla nich, z uśmiechem pół drwiącym, pół litośnym.

Znów wrażenie nadludzkiej potęgi wzmogło się w umyśle oficera i rzuciło wzrok jego władczy wkoło.

Wszystko było poddane jednemu uczuciu trwogi.

. . . .

Wtem z za krzewów, powoli, wykolebało się dzieciątko; mały bąk wioskowy, paroletni, w sztywnej od brudu koszulinie, odstającej na wypukłym brzuszku. Szło to chwiejnemi kroki tłustych, zabłoconych nóżek, stawianych z rozmysłem po przez kretowiny i kamienie, bronzowe łapięta trzymały co siły w paluchach jabłko, podziabane drobnemi zębami, włosy lśniące jak blado - żółty jedwab, spadały na oczy jasno - błękitne, jak te wody w dołkach łąkowych, a patrzące z twarzyczki bladawej, zamyślonej i poważnej.

Obojętny na wszystko inne, dzieciak, zahipnotyzowany lśniącym pałaszem oficera, wędrował kiwając się ku niemu, bezsilny i malutki. Gdy był na wysokości jego butów, podniósł miękką rączynę i najniespodziewaniej, najśmielej, zaśmiał się chichotem niefrasobliwej radości.

W same oczy zgrozie, potędze, przerażeniu, zaśmiało się malutkie, słabe dziecko tej ziemi...

Wesołe, ufne, „tia, tia, tia", szczebiot ptaszka wolnego i śpiewającego dla wszystkich, zuchwałe przekomarzanie się życia, śpiewało w różowych usteczkach, a wątła łapina cierpki owoc sadu, nadgryzione jabłuszko, podała zdobywcy.

Nieokreślone, przelotne uczucie niepokoju wionęło przez umysł wojaka, gdy szedł by wsiąść na koń i odjeżdżając obracał się mimowoli.

Myśl jego po raz pierwszy oderwała się od chwili obecnej i uleciała w przyszłość, a obraz jej zmącony został nieulęknionym, pisklęcym szczebiotem...

CZARY PANJELANDU*).

To się też stało, jak dużo innych historyj o wiele ważniejszych, w czasie wojny, która przerwała na lat kilka wszelki odwieczny porządek niewzruszalnych rzeczy, w okolicy, dokąd cywilizacja, postęp i takie różne nowości pełzły pomaleńku, stosując się w tem do psychiki i usposobienia mieszkańców. Dużo nowych rzeczy i pojęć nie mogło się tam nigdy zjawić nagle, a tem mniej mogli je przyjąć i do codziennego życia wcielić mieszkańcy cichych, licznych, drzemiących w odwiecznem odrętwieniu wiosek.

Wojna wdarła się w te strony jak kataklizm, obejmujący nietylko dziedziny fizycznego, ale i duchowego życia mieszkańców. Zapanowała nad niemi, narzucając nowe prawa, nowe formy istnienia, druzgocące każdego, kto się dość szybko nie potrafił ugiąć i przystosować. Wisiała nad ziemią i ludźmi niby rozpętana, gromami bijąca burza, szalała niwecząc celowo wszystko, co było na zasilenie jej apokaliptycznych żądz potrzebne, zabierając na pokarm swych nienasyconych paszcz, ziejących ogniem, ludzi, lasy,

*) Niemcy za okupacji używali, nawet w oficjalnych raportach, określenia Panjeland, Panjepferd, Panjewagen do wszystkiego tutejszego.

wioski i dwory. Ludzie, po pierwszych tygodniach nieprzytomnej trwogi, obłędnego strachu, a zarazem typowej tamtejszej rezygnacji na wyroki losu, przyczaili się. Skorupą samozachowawczej odporności okryli swe mizerne żywoty i jakby skuleni w sobie, żyli przyziemnie spłaszczeni, deptani, poniewierani przez moce, tak inne od tych z któremi dotąd miewali do czynienia, że nie znali na nie żadnych sposobów, ani zaklęć, ani pacierzy.

Wszak modlili się od wiek-wieków „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!", tak całą mocą gardzieli wznosząc tę prośbę do Boga, że się aż trzęsły stare ściany kościołów. A oto... była wojna, ogień, głód, a powietrze też się stało inne: zatrute niemieckiemi dezynfekcjami, smugami smrodów automobilowych, nierzadko gazami płynącemi zwolna, niewidzialnie od strony, kędy głucho stękały lasy przeraźliwym głosem frontu, rznącego te okolice straszliwemi konstrukcjami z betonu, kamieni i darni.

Zderzenie tej nawały, idącej z dziedzin doskonale, maszynowo zorganizowanej cywilizacji w pierwotne prowincje Litwy, starcie się tak różnych elementów, pojęć, zwyczajów, systemów życia, tak różnych kształtów dusz ludzkich wywoływać musiały nieporozumienia, przerzucające się od tragicznego patosu do komicznej burleski.

Tematów do dramatu i do najgłupszej farsy, nie brakło w każdym zakątku, w każdej „Komendantur". Kronika tych zdarzeń, wykazać by mogła jak, mimo podstawowe, niezmienne wszak prawa rządzące naturą ludzką, jak różne, niby innej barwy, innego wymiaru, były pojęcia, zwyczaje i nawet uczucia wojskowych armji niemieckiej, a ludności polsko - białoruskiej, tamtych stron przyfrontowych. Czasami przychodziło na myśl, że analiza chemiczno - psychiczna mózgów, tych spartych ze sobą jestestw, różniła by się tak, jakby należały do innej planety.

Powstawały z tego wzajemne badania: systematyczne, rzeczowe i wyczerpujące ze strony Niemców, którzy uczyli się ludzi i okolicy jak z Lexiconu, popadając w spokojne, ale nieustanne zdumienie; zaś ostrożne, chytre, zpodełba podpatrywanie przez szpary, tubylców, oglądających „sposoby" Niemców, tak mniej więcej, jakby badali życie legendarnego smoka w jego jaskini.

Przytem obie strony trzymały się swoich systemów — Niemcy garnęli wszystko dla wojny, wedle danych rozkazów, płynących z niezachwianą precyzyjnością z góry, zaś siebie traktowali jako część składową tego aparatu, który nie mógł się zachwiać, ani ulec nadwyrężeniu. Chłopi zaś oddali się bez najmniejszego oporu rękom zdobywców, bezwolnością, inercją masy jedynie broniąc się od eksterminacji i zapomocą tysiąca trudów, niebezpieczeństw i wspomnień dziadów-pradziadów, jak to w czasie wojny żyć trzeba, zachowując wszystko, co można było ocalić z dobytku, czy zwyczaju życia codziennego.

Czcigodny kapelan X Armee Oberkomando VII Division i jakiegoś tam Corps, stacjonującego w tej okolicy, Gottfried Knappe, jechał powolnym kłusem spokojnego konia, danego mu do użytku , od wioski, ku pobliskiemu dworowi, Rześkie, acz przejmujące chłodem późnej jesieni powietrze, przesycać się zaczynało drobniutką, gęstą, ruchomą mgłą, osiadającą białawym pudrem na skaro gniadej, lśniącej szyi ciężkiego trakena, który podzwaniał lekko wędzidłem, jakby potakiwał kapelanowi, że będzie miał w każdej okoliczności wzgląd na jego grecko - łacińską zaiste umiejętność używania hippicznych rozkoszy. I doprawdy, cóż on, Gottfried Knappe, doktór teologji akademji paryskiej, doktór prawa kanonicznego i profesor greki i łaciny w wyższym zakładzie seminarjum duchownego, co ten znów miał wspólnego z koniem, na którym siedział, jak na chwiejnym kajaku, z mundurem, z pod którego wstydził się pokazywać buty do

kolan, a zwłaszcza, ach zwłaszcza, z tą okropną wojną i z tym krajem dzikim, strasznym i nieszczęśliwym. Czuł się w nim, jak zabłąkany Tomcio Paluch w najgęstszym lesie. Widział, że to byli chrześcijanie, nawet jak on, katolicy, rozczulała go i imponowała mu pobożność tych biedaków, ale sponiewieranie ich człowieczeństwa, warunki, w jakich żyli przed wojną, nasuwały mu bezbożne myśli, czy aby nie są to istoty podrzędniejszego typu, w ewolucji gatunków pozostające znacznie wtyle poza jego narodami?

Bowiem kapelan Gottfried, alzatczyk, wykształcony we Francji, mówiący najczystszym akcentem francuskim, a po niemiecku z wyraźną reminiscencją tegoż akcentu, dopiero przy wybuchu wojny, zagrzebawszy się w podręczniki i przemyślawszy sporo modląc się i wzywając Ducha św. na pomoc, doszedł szczerze i lojalnie do przekonania, że Alzacja powinna należeć do Niemiec, a on za Niemca siebie uważać. Uczciwie to postanowienie spełniał, pozostając zupełnym Francuzem pod względem manjer, kultury, a nawet psychiki. Wojnę uważał za straszliwy dopust Boży, oficerów (w głębi duszy) za synów Beljala, skazanych na wieczne potępienie, wskutek płciowych wybryków na jakie sobie pozwalali i których echa brzmiały nieustannie w czasie wspólnych obiadów, ku obrzydzeniu biednemu kapelanowi każdej potrawy.

— „Dlaczego" meldował właśnie dnia tego generałowi Hütier, opasłemu i jowialnemu starowinie, dlaczego, Excellenz, od pierwszej łyżki zupy, słyszeć muszę te nieprzystojne o kobietach rozmowy? Te opowiadania anegdot i przygód, zawsze na ten sam temat?

— „Cóż chcesz kapelanie, żołnierz na wojnie jak się nie bije, to pije, je i... tego... przepraszam, nie gniewaj się kapelanie, człek dziczeje w tym djabelskim Panjeland... cóż to za pierwotność! Jaskiniowe stosunki, jaskiniowe!"

— „Ludność wydaje mi się istotnie bardzo zaniedbana pod względem oświaty i higjeny"...

— „Pod każdym względem... muszę wydawać rozporządzenia i oddawać ludzi z Panjekompanie na takie roboty, których mi się nie śniło dokonywać. Czy uwierzysz kapelanie, że musiałem rozkazać budować wszędzie wychodki, bo te świnie"...

— „Powinniśmy ile w naszej mocy nieść światło cywilizacji tym biednym ludziom"..

— Wszy w każdej głowie, pluskwy w każdej izbie, a tamte robactwo czarne, czy wiesz kapelanie jak nazywają?"

— „Są to insekta, z któremi nie zdarzyło mi się w życiu spotykać... a z historji naturalnej niebardzo pamiętam", tłumaczył się zażenowany Knappe

— „Przecie! Bo u nas niema takiego paskudztwa, ale tu!... W zeszłym tygodniu, zatrzymałem się na nocleg w pierwszej lepszej chacie, tam gdzieś... patrzę, łazi to szkaradzieństwo po ścianach, koło dymiącego pieca, wszędzie. Pytam przez ordynansa, szlązaka, który umie się z niemi porozumieć: skąd się to bierze? Dlaczego tyle tego jest? Czemu nie tępią? Coś tam pogadali sobie z takim, jak kapelan wiesz, bydlęciem w kożuchu i widzę, że mój Strüppel pęka czegoś ze śmiechu. Co ten Panje gada pytam? Kiedy nie śmiem, mówi Strüppel. Gadaj, każę mu. A no, że, powiada ten Panje, nie wie skąd się te Prusaki wzięły, bo dawniej nigdy tyle tego paskudztwa nie było tutaj!..."

— „To oni te... to, robactwo?", ze zgrozą spytał kapelan, spoglądając okrągłemi oczami w okularach na zaczerwienioną twarz sapiącego z irytacji generała.

— „A żebyś wiedział że tak, te gady, te insekty nazywają Prusakami! Chciałem dać po uchu ordynansowi, ale... wojna... nie uchodzi Tfu, Theufel Hadiukenland prawdziwy".

— „Nie mogę wyjść z podziwu, że rząd tak mało dbał o swych obywateli!"

— „Przecież to nie Rosjanie, a także... no... jak pan widzi... zresztą Rosjanie mają być jeszcze dziksi — ci są w każdym razie łagodni i pokorni".

— Pozwolę sobie pana generała pożegnać i... jakże będzie z temi rozmowami u stołu? Ja bym najchętniej, jeśli to możliwe, prosił o zwolnienie mię"...

— „Niemożliwe, obecność pana właśnie hamuje. (Kapelanowi oczy w słup stanęły, „hamuje"?! pomyślał!!). Przytem jako katolik i alzatczyk, stałby się pan podejrzany, usuwając się od nas. Na wojnie musimy być wszyscy niezmiernie ostrożni, liczyć każdy krok i słowo każde... ale by kapelanowi w słusznych jego poniekąd wymaganiach dogodzić, polecę oficerom, by dopiero przy deserze mówili o kobietach, a przed tem prowadazili rozmowy techniczne, służbowe etc."

— „Najuprzejmiej dziękuję Jego Excelencji za uwzględnienie moich próśb", urzędowym, meldunkowym tonem wygłosił kapelan, jak najstaranniej wyczyniając ukłon oficerski i obrót na lewo, w kierunku drzwi. Cokolwiek wzburzony tą rozmową, kazał sobie osiodłać konia i ruszył po chlapiącem błocie z wizytą do właścicielki sąsiedniego majątku, by dokończyć zaczętej zeszłego tygodnia dysputy o teozofji, której dziedziczka owa była wyznawczynią, zaś kapelan wyczuwał w tem herezję, obowiązującą go jako kapłana, do zwalczania onej. Poza temi wszakże kwestjami natury filozoficzno-religijnej, pociągała kapelana rozmowa wytworna, doskonałą francuszczyzną prowadzona, salonik jako tako zachowany w charakterze przedwojennym, bal... I jeszcze więcej coś... Zaledwie to się jawiło w głębinach jestestwa kapelańskiego ,a już o tem postanawiał nie myśleć.

Daremnie! Postać panny Leni, córki tego dworu, tańczyła mu w szkłach okularów, przysłaniając wszelkie inne obrazy. Dotąd w jego życiu ascetycznem, kongregacji zakonnej, do której należał, kobiety przedstawiały się jako biedne, godne litości siostry, słabsze i pochopniejsze na pokusy szatańskie, niż mężczyźni. Najmniejszej na żadną nie zwrócił nigdy uwagi, aż tu teraz... O fatalny wpływie wojny, narażającej dusze czyste na kontakty sprośne i podniecające zmysły rozmowy, czy widowiska! Teraz, ta niby uprzejma, wesoła, a jednak daleka i dumna Polka, jawiła mu się jak bogini grecka lub postać z poezji, jak coś wyższego od niego i od ogółu ludzkości. W tej atmosferze, gdzie każdy czegoś jęczał, narzekał i czegoś skamlał, lub potrzebował, prosił lub brał, gdzie ludzie szarpali się wzajemnie jakby na strzępy, gdzie każdemu było strasznie niewygodnie i obco, bo naprawdę nikt nie był u siebie, ta jasnowłosa, jasnooka i jasnocera jaśnie panna, pływała sobie, pół ironicznie, pół dumnie uśmiechnięta, jakby nic się nadzwyczajnego nie działo. Widział ją nieraz kapelan Knapp przychodzącą w butach i kurtce z uprzejmym towarzyskim uśmiechem do kwatermistrza i z ujmującą grzecznością tłumaczącą mu o jakichś potrzebach swoich czy ludności. Cierpliwie, trafnie, przemawiała do rozsądku, kiedy trzeba było, do sentymentów. Najczęściej wygrywała swoje sprawy, jeśli odmawiano, spoglądała obojętnie z pod przymkniętych rzęs, traktując zawsze wszystkich wojskowych jak gości, tych, nie najbardziej pożądanych, ale mój Boże, znośnych, bo niedługowiecznych. Gdy raz przy nim zabrano jej ostatnią, śliczną parę koni, gdy odmówiono wstrzymania cięcia boru, widocznie bardzo przez panienkę kochanego, bo rosnącego tuż koło dworu, i ujrzał w tych lśniących niezmąconą światłością oczach, jakby mgłę łez i cień dotkliwej przykrości na pogodnej masce twarzy, przystąpił do niej z okrągłym i życzliwym frazesem, o niewielkiej

wartości ziemskich dóbr, wobec skarbów duszy. Panienka w tej chwili potwierdziła.

— „Ależ oczywiście, niema już o czem mówić".

— „Pani jest bohaterką", rozentuzjazmował się ksiądz przy sposobności. „Polki podobno często są takie, mówiono mi... stuszował komplement. Bóg daje Pani moc do znoszenia tych wszystkich dolegliwości, któremi nas uważał za potrzebne obarczyć..." dokończył jak należy.

— „Tak... naturalnie" potwierdziła znów jak najbanalniej, poczem rzuciła mu z pod rzęs promienne spojrzenie, sprawiające istny zamęt w jego tak uporządkowanych myślach i dodała niedbale „wszystko to jest głupstwo... będziemy przecież mieli niepodległą Ojczyznę, więc reszta..." Ileż dumy i pewności było w tych słowach!

Ta w niej beztroska o rzeczy doczesne, i jej dystansowanie przesadzających się w przejmościach oficerów, sprawiły, że kapelan Knappe czuł dla tej „czarującej dziewicy" zachwyt mistyczny, który go jednak po ziemsku nieraz niepokoił. Bał się czy nie jest to próba szatańska i sidła pokus, zastawionych na niego w tym kraju, kędy moc złego ducha, wraz z pogaństwem, musiały dłużej trwać niż w innych, cywilizowanych środowiskach.

— Przytem te rozmowy lejtenantów!... Od pierwszej łyżki zupy! Och!... nie miały już dla nieszczęsnego Gottlieba tajemnic żadne damskie dessous, ani combinaisons, ani żadne towarzyszące użytkowaniu tych efektów okoliczności... Wdzięki, obyczaje, ba, anatomja niewieścia, były przy nim wykładane szczegółowiej, niż kiedy bądź z katedry komentarze Cezara lub Orygenesa. Gdzież miał się podziać? Potniał w każdym zakątku puchnawego ciała, łykał potrawy z oczami utkwionemi w talerz, a w przerwach wbijał oczy w sterczące na wprost niego wąsy Wilhelma, powieszonego in effigie na ścianie dworu, gdzie kwaterowali. Oficerski zaś, protestanci i Prusacy, nie omiesz-

kali pytać niemal codzień sturbowanego Alzatczyka, czy mu aby nie za gorąco tu, w Kasynie, bo taki jakiś jest czerwony?

Przecież trudno, żeby takie rozmowy, albo i spowiedzi żołnierskie o uwiedzeniu wiejskich dziewcząt, dobrze działały na spokój i czystość myśli, choćby doktora dwóch fakultetów i profesora greki...

Roztrząsając tak swe sumienie uporządkowane jak szafy z bielizną w rodzinnym domu, kołysał się kapelan w takt bujnego kroku końskiego i o szarawym zmroku podjeżdżał do olszniaku nad rzeczką, za którą widniał majak dworu, kędy miał dzisiejszego wieczoru wieść subtelną dysputę teologiczną z matką, a wzdychać sentymentalnie do córki.

Gwar głosów niewątpliwie niewieścich i błyskające światełka, w koło małego domku nad ruczajem, sprawiły, że ściągnął lejce potulnego trakena i krokiem spuszczać się zaczął ze stromego pagórka.

To co ujrzał zatamowało mu oddech w piersiach.

Przetarł raz i drugi oczy, westchnął: „Boże, dlaczego takie próby zsyłasz na sługę Twego"... poczem mężnie zaciął konia i ruszył naprzód, czyniąc gwarliwy popłoch wśród ruchliwych postaci, snujących się między rzeczką a łaźnią

— „Werusia, chadzi siuda! Nia idzi, tož wo, Giermaniec! A Jezus, jeszcze ulezi! A ja mówiłą, nia latajcie gołe, kiedy wiadomo, jakie one do bab łapczywe! Jadwiśka, bierz wiadro, my jemu uoczy zalejem kiedy podejdzi... Aha, isz jaka rozumna i do aresztu idzi potem! Wolej ja tak cichińko wcieknę... on jeden tylko... I patrzaj, nie rucha się... A Buożeczka, Wandzińka, tož musi ci nie ichni ksiondz... ot kiedy wstyd..." I ze śmiechem bachantek, z chichotem tworów piekielnych, pierzchać zaczęły w mroku, migając nagiemi kształtami rysującemi się bladawo ale

aż nadto wyraźnie w płonących zmysłach nieszczęsnego Gottlieba.

Po chwili wszystko tak znikło, stopniało w cieniu gąszczów i czeluści chatynki, że obcierając pot z czoła nie byłby przysiągł czcigodny kapelan Knappe, azali omamienia szatańskiego nie oglądał grzesznemi oczy, na wzór św. Antoniego, do którego specjalne miał nabożeństwo.

Zmaltretowany moralnie i zmącony na umyśle, zsiadał cichaczem przy bocznem wejściu dworu, prześlizgując się dyskretnie korytarzem, po dzisiejszej bowiem rozmowie z generałem, warem się oblewał na myśl, że mogą go o jakąś nielojalność posądzić.

Przy małej lampce naftowej zastał obie panie, które go powitały, jakby przyszedł na five o'clock, a że panienka poszła przyrządzić do herbaty, więc nie słysząc nawet szybko wygłoszonej bogatej w argumenty teozoficznej tezy swej preopinantki, poprosił kapelan Knappe o pozwolenie rozmówienia się w sprawie drażliwej. Otrzymawszy je, westchnął, spojrzał na lekko zabłocone buty, pomyślał: „jak to dobrze, że nie jechałem prędko" i przemówił wstydliwie.

— „O ile się nie mylę, szanowna Pani, kraj ten zachował, niestety, dużo wierzeń pogańskich?"

— „Dużo zabobonów, tak, zapewne, ale czy księdzu kapelanowi specjalnie o coś chodzi?" spytała z dyskretnem zdziwieniem dziedziczka.

— „Niestety. Pani dobrodziko, byłem mimowolnym świadkiem obrządku, sięgającego zapewne głębokiej starożytności... epoki, gdy biedny ten kraj pogrążony w mrokach poganizmu... jednem słowem dziś, zdążając tu do Pani, ujrzałem, jak z chatyny nad brzegiem ruczaju wybiegały w pląsach rytmicznych kobiety... Pani daruje mi ten szczegół... nagie... zupełnie nagie... W dłoniach trzymały naczynia ofiarne i wiotkie ułamki roślin, powiewając niemi koło głów, z których spływały długie pukle włosów... nie uważałem

czy miały na nich wieńce... Te kobiety, obchodzące zapewne jakieś bachiczne misterja, wydawały okrzyki na cześć jakiego bóstwa?! Ogromnie przygnębiające wrażenie zrobił mi ten stopnień ciemnoty... Czy mogę Panią prosić o wyjaśnienie mi znaczenia tego obrządku i jakim sposobem zdołał się tak długo utrzymać w kraju, bądź co bądź, chrześcijańskim, i, co więcej, katolickim?

Zdawało się kapelanowi, że za uchylonemi drzwiami wybuchł od paru chwil stłumiony, swawolny śmiech panny Leni, matka jej z uśmiechem łagodnego pobłażania objaśniła go uprzejmie.

— „One, książe kapelanie, do łaźni poszły, dziś sobota".

— „Do kąpieli? Ależ łaskawa Pani, biegały nago, w taki chłód, po łące? I te gałęzie w dłoniach?..."

— „Winniki z brzozowych witek, któremi się biją dla ożywienia cyrkulacji krwi", rzeczowo wykładała dziedziczka, „odwieczny zwyczaj, nie obrządek, one są przyzwyczajone, ale rozumiem, że dla księdza kapelana widok był... dziwny..."

— „Nagie... nagie biegały po łące" szeptał stężały ze zgrozy kapelan...

Weszła panna Lenia; jakże wydała mu się promienna i „nobel..." starał się myśleć po niemiecku, ale określenie *une fille de race, une âme d'elite,* przesuwały mu się po głowie niezależnie od woli... Bóg wie co się wogóle przesuwało... nie malując się zresztą żadnym widomym znakiem na pulchnej, okrągłej fizjonomji kapelańskiej i w bladych oczach przykrytych okularami. Zkąd np. zjawił się obrazek rodziny pastora, którą mu pokazał niedawno z dumą kapelan Bölling na fotografji przysłanej z domu? Ksiądz, spełniający równie gorliwie obowiązki kapłańskie, jak on, Knappe, i nie osamotniony, otoczony modłami, tęsknotą najbliższych!... Westchnął i starał się, odrzucając te męczące kwestje, przyłożyć całą przytomność do subtelnych wywodów teozoficznych, któ-

rych mu matka panny Leni nie szczędziła, korzystając z jego roztargnionego milczenia i bezmyślnego potakiwania. Półświadomie zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie zacna dama popełnia z półtuzina herezyj na godzinę, ale nie miał siły szukać argumentów do sprostowania jej pojęć i zbyt śmiałych hipotez.

Panna Lenia krzątała się bez pośpiechu koło herbaty z tym sennym pół uśmiechem, który ją czynił tak daleką... jakież miała białe czoło, wyniosłe, rozciągnięte niby kartka niezapisanego welinu od pasma do pasma ciemno-złotawych włosów.. szare oczy, jak wody litewskich jezior zimą, ukazywały się chwilami bocznem, zgóry spojrzeniem i wnet zmykały pod powiekami. W pewnej chwili, cały blask tych wielkich, zimnych oczu uderzył starganego wrażeniami Gottlieba i zmiażdżył go, stropił i skonfundował do ostateczności, zaledwie poprzez szum w uszach dorozumiał się, że panna pyta go tonem towarzyskiej konwersacji, co się dzieje z leitenantami? Czy żaden nie wyjeżdża, czy zmian niema? A na odpowiedź, że o niczem podobnem nie wie, usłyszał znów wypowiedziane jakby lekko wahającym się głosem przypuszczenie, że miał podobno leitenant Heeren jechać na zachodni front? Kapelan Knappe przeraził się i zmartwił.

— „Co mi Pani mówi! Niech że Bóg broni, najsympatyczniejszy z oficerów, dystyngowany i delikatny, on jest katolik, czy Panie o tem wiedzą? I matka jego jest Hiszpanką... dla tego rozmowa jego ma tyle wdzięku. „O, nie twierdzę, bynajmniej, że Niemiec czystej krwi..." poprawił się wnet nieborak, ale panna Lenia rzekła: „Bardzo lubię, jak się księdzu kapelanowi coś tak uda..." i zaśmiała się krótko, matka zrobiła jakiś nieznaczny gest brwiami i głową: że poco to? i zapanowała krótka, niemiła cisza. Dolatywał daleki tętent konia, galopującego szybko przez wjazdową aleję. Panna Lenia wyjrzała oknem:

— „Marznie, czy księdza koń dobrze podkuty? Ślisko będzie".

— „Powoli pojadę", odparł ksiądz, „ale zaniepokoiła mię Pani co do leitenanta Heerena.. Zachodni front dla kawalerzysty to prawie wyrok śmierci, Francuzi się biją jak lwy", zadźwięczał niespodzianie głosem przedzierającego się gwałtem triumfu. „Niestety! Niestety, tyle ofiar" stłumił wnet głos żalem.

— „Toby znaczyło, że cały oddział kawalerji stąd wychodzi?" spytała matka, „szkoda, ci panowie byli z najlepszego towarzystwa, bardzo dobrze wychowani..."

— „Przy Paniach", z goryczą, kwaśno odrzekł kapelan, „zgroza bierze słyszeć jaki jest ton rozmów tych panów u stołu, w Oficier Kasino, Heeren nie jest poważny i szanuje moją suknię duchowną, ale tamci!... To są protestanci i Prusaki... ach, najlepsi oficerowie, ale Pani rozumie, że dla mnie ten świat jest tak dziwny... nie sądziłem, nie, nie przypuszczałem, by kobieta odegrywała taką rolę w życiu.. że tak jakby ciągle jej obecność..."

— „Przecież na tem polega istnienie świata", rzekła z prostotą panienka.

— „Jak Pani zna życie!" z nabożeństwem przyświadczył kapelan, wpatrzony w nią z uczuciem rzewliwej błogości, nie zważał, że mu herbata stygnie w filiżance, na co parę razy zwróciła mu uwagę pani domu.

W tej chwili zapukano do drzwi i kapelan ujrzał lśniący błysk w oczach panny Leni, wstała trochę, mówiąc: „herein". Ordynans stanął w cieniu drzwi i trzasnąwszy obcasami zameldował, że leitenant Heeren pyta, czy może panie pożegnać. Obie panie odrzekły: „bardzo proszę, naturalnie" i panna Lenia najzwyklejszym głosem powiedziała do kapelana: „Widzi ksiądz, on istotnie wyjeżdża". Na co Knappe odparł: „*Oh la, la, c'est malheureux!*" i wstał wyrażać kondo-

lencje wchodzącemu oficerowi, który już brzękał ostrogami przed paniami. Dlaczego się wydało znerwowanemu najwidoczniej kapelanowi, że Heeren dwa razy dłużej przytrzymał w swej dłoni rękę panny Leni, niż jej matki? Przecież dumna Polka była względem wszystkich taka zimna. Nawet tak pięknego Heerena nie wyróżniła nigdy. A przecież był prześliczny. Nadmiernie wysoki i szczupły, miał talię andaluzkiego przemytnika, nie spętaną sztywnością pruskiej manjery. Wielkie, aksamitne oczy południowca jarzyły się wśród czarnych rzęs, a jaskrawo białe zęby podkreślały w otoczeniu czarnego zarostu, karmin ust, cokolwiek grubych. Słodycz i wdzięk był w jego ruchach i mowie, a wytworna obojętność, jaką zachowywał w gronie oficerów, tu zmieniała się w ciepłą, miękką życzliwość.

Jakże przyjemnie, jak elegancko rozwinęła się i splotła girlanda rozmowy na cztery głosy! Jakiemiż dźwięcznemi arpedżjami przerzucał się kryształowy śmiech panny Leni, jak wnikliwie rozlewał się metaliczny baryton Heerena! Pani domu mówiła drobno i szybko, a Knappe pomrukiwał jak organowe dudy do wtóru. Cicho syczał samowar na bocznym stoliczku, filiżanki i obrus były tak białe! Bukiet jesiennych czerwono-rudych gałązek, pomieszanych z zieloną świerszczyną stał na stole w majolikowym garnczku florenckim, ledwie uchwytne zapachy perfum, dymu jałowcowego, (bo stały wędliny) i herbaty, pływały po pokoju. Jakże daleką była wojna i jej okropności, jak miłym spokój i wytworne towarzystwo... kobiet... Tak... Cóż za dziwnie różnorodne wywoływały te istoty uczucia, a zawsze takie... zagarniające. Znów się kapelanowi wydało... nie, teraz był tego pewien, że panna Lenia nie spuszcza z Heerena oczu. „Boże, żeby też ona na mnie choć raz tak"... westchnął zuchwale, widząc olśniewający blask tych źrenic skierowany bez przerwy w pięknego oficera, który również, podniósłszy powieki, spojrzenie panny brał i zagar-

niał, wiązał ze swoim i zatapiał się niejako w tych oczach, aż mu twarz tężała, jak człowiekowi uśpionemu.

Trwało tak dość długo, aż się coś jednak nazewnątrz zaczęło przedzierać i rwać harmonję konwersacji o sztuce, sportach i podróżach. Kapelana męczyć poczęła obecność Heerena i chciał go ciągle spytać, na złość, czy istotnie wyjeżdża, ale nie śmiał, ze zgrozą bowiem czuł, że się z tego, gdzieś w czarnych czeluściach duszy, ucieszy!

Oni zaś, oto o nieba! łączyć ich musiał w myśli, gdyż byli, mimo przeciętnej konwersacji wciąż razem, zdawali się krążyć koło czegoś, podchodzić i zatrzymywać się. Wyglądało tak, że Heeren chce coś powiedzieć, ale ile razy zamilkł, jakby się namyślał, panna Lenia szybko o coś pytała i musiał byle co odpowiadać. Wreszcie spojrzał na zegarek w bransoletce.

— „Muszę już jechać", rzekł ciszej, „jutro rano wyjeżdżam na zachodni front do Francji... przybyłem tu pożegnać panie i podziękować za bardzo miłe chwile... nie zapomnę o nich". Wstał, wyprostował się tak, że twarz miał poza światłem lampy, w cieniu. Wyglądał już daleki, jak duch. Przecież jechał po śmierć, czyhającą tysiącem sposobów na Chemin des Dames, czy gdzieć na płaszczyznach pod Arrasem.

Pani domu i Knappe zawiedli zgodny duet kondolencji, panna Lenia milczała, ale teraz bez ukrywania uczuć usta jej rozchyliły się niemą zgrozą i brwi zbiegły nad przymkniętemi nagle oczami.

— „Będę niestety musiał walczyć przeciw Pani przyjaciołom, Francuzom", przemówił Heeren miękko najczystszym akcentem Fauboug St. Germain, „wobec tego... nie wiem czy mogę prosić o dobre życzenia..." Głos jego był leciutko ironiczny, ale pod tym dźwiękiem kryło się coś głuchego, jakby mówił nad próżnią, w której wszystko ginie. Dźwięk nieokreślony wyszedł z ust panienki, zdawało się, że probuje głosu, czy przemówić będzie mogła.

— O, owszem, życzę Panu, by Pan nie zabijał..."
— „Żołnierz musi zabijać".
— „To prawda... ja bym też chciała... to jest przerażające... ja bym też chciała, by armja polska zabijała..."
— „Nas i Rosjan? Prawda? A widzi Pani. Ja bym jednak teraz nie chciał walczyć przeciw rodakom Pani..."
— „Oni są wszędzie" szepnęła panna Lenia z rozdzierającym uśmiechem i gestem jakby skuwała te sprawy: *Enfin... bonne chance mon lieutenant, Grüss Gott!*" Chyba pierwszy raz dobrowolnie przemówiła po niemiecku, Heeren ucałował ją w rękę i rzekł: „dziękuję Pani, za dobre słowa", po polsku, nauczył się bowiem już nieźle tego trudnego języka, którego żadna syllaba do głowy kapelana nie łazła.

Jeszcze uśmiechnęli się do siebie, jeszcze spojrzeli, jeszcze zawahał się piękny oficer u drzwi i spokojna panna Lenia szarpnęła się w tamtą stronę. A potem... drzwi się zamknęły. Zadźwięczały kroki Heerena przez korytarzyk, otwarty z brzękiem szklannych szyb drzwi nazewnątrz, już stał na ganku. Panna Lenia w tej chwili wyszła, przez niedomknięte drzwi, usłyszał storturowany Knappe jak pobiegła tam i natychmiast szybko zawróciła zpowrotem, nie weszła jednak do pokoju, tylko stała oparta o drzwi. Kapelan widział jej głowę w tył odchyloną i w popłochu wszystkich władz umysłowych myślał, że może z tych dumnych oczu płyną łzy...

Nie znać ich było jednak gdy się ukazała; przez chwilę pochyliła głowę w stronę okien, za któremi potrójne zgłoski galopu końskiego skandowanym rytmem zadudniły i poczęły się oddalać, jak gwałtowne, niedomówione słowa, słabnące w bezdźwięcznej atmosferze.

— „Pani żałuje, że Heeren odjechał"? z odwagą rozpaczy spytał kapelan, szarpany najpospolitszą

męską zazdrością. Wszelaki dopust ziemskich namiętności spadał dziś na niego, doprawdy!

Panna Lenia spojrzała na niego odtrącająco.

— „Pewnie, szkoda by było, żeby zginął tak piękny chłopak", rzekła z mrożącą obojętnością, „mam nadzieję, że ksiądz dobrodziej się za niego pomodli" dodała zjadliwie.

— „Oczywiście, oczywiście, nieszczęsny młodzieniec, piękna dusza i najlepsze zasady", recytował kapelan nakazem rozsądku, podczas gdy jakiś obcy, głuchy głos zawiści, szeptał mu szatańsko: „pocóż go, idjoto, wychwalasz".

— „Przygotowałam dla księdza kapelana i pana Heerena francuskie książki... no... teraz... „może je ksiądz wszystkie zabierze? Są w bibljotece".

— „Pomogę Pani", ofiarował się skwapliwie, rad z dywersji, widząc, że bierze lichtarz, zapalił jej świecę i szedł obok przez długi i ciemny korytarz. Małe i ziejące kopciem światełko świecy tańczyło płochliwie po ścianach, skacząc jak ogłupiałe zwierzątko w ciemnościach domu. Panna Lenia osłaniała płomyk dłonią i palce jej świeciły przezroczystą purpurą, jak kielich tulipanu. Z całych sił Knappe starał się myśleć o rzeczach jak najwznioślejszych: np., że to idzie dziewica z kagankiem wiary przez mroki katakumb, a on katechumen, za nią, drogą zbawienia! Lub, że jest jedną z cnót teologicznych i prowadzi go od Nadziei do Wiary w Miłość... To znów przypowieść o pannach mądrych z kagankiem oczekujących Oblubieńca przywoływał na pamięć... Szarpały się jednak te myśli i żadnej nie mógł dokończyć i zarejestrować w całości. Gorzej, coraz natrętniej, brutalniej owładała nim myśl, że oto panna Lenia pewnie by tak z Heerenem szła ku owej bibljotece, gdyby nie był wyjechał. Cóż by mówili? Jakby się zachował ten wytworny oficer? Przecież oni zawsze opowiadają, że się zaraz... całuje!

I nagle, gdy weszli do zimnego pokoju umeblowanego pustemi półkami, na których się wałęsało trochę książek zmasakrowanych przez wilgoć i łapy żołnierskie, wydało się Knappemu, czy takie już było dnia tego w powietrzu szatańswo, że to on, spokojny i bogobojny profesor greki i łaciny, powinien być Heerenem! Że jest nim. Że tak musi mówić i postąpić, jakby tamten, w takiej chwili, właśnie tak...

Potrząsany wewnętrznym dygotem nerwów, przysunął się tuż do panienki, szukającej książek ze świecą w ręku, nie zdołał dźwignąć oczu wyżej, niż jej podbródek i głosem rozchwianym, zarywającym falsetem wyjąkał:

— „Jiija też... wyjadę, pewnie wyjadę niedługo... zechciej pozwolić droga panno Leonjo, że złożę na twem pięknem czole pocałunek pożegnania"... Wsłuchał się w zupełną ciszę, która po tych słowach zapanowała. „Wyrzuci mię za drzwi", myślał, „nie? No to musi umierać ze śmiechu". Poczuł się znów tylko pulchnym, wystraszonym Knappem.

— „Nie myśli ksiądz kapelan że to by był grzech"? usłyszał pytanie łagodnie-ironiczne. Poczuł się w tej dziedzinie roztrząsań na właściwym gruncie, stanowisko kapelana Knappa znów wydało się korzystniejsze, niż porucznikowska piękność.

— „O... jeśli nawet grzech", rzekł z rozbrajającą pewnością, „to nie śmiertelny i zresztą ja się jak będę mógł najprędzej wyspowiadam z niego", pośpieszył uspokoił sumienie panienki, jak mu się zdało, najskuteczniej.

— „Oto są, proszę księdza dwie, trzy powieści Bourgeta, nie wiem doprawdy, czy to dobrze, by ksiądz kapelan czytał romanse?..." mówiła uprzejmie panna Lenia tonem jakby się troszczyła o jakiś zabieg higjeniczny.

— „Dlatego że ja... że o ten pocałunek? O pani, moje powołanie jest niewzruszone, a że Bogu się podobało je wypróbować nasyłając na mnie pokusy... to..."

.rzeba znieść ten dopust... nigdy żadna kobieta nie zrobiła na mnie wrażenia, pani dopiero! Och pani!"

Jękliwie westchnął i podniósłszy wreszcie oczy, ujrzał przenikliwe, dojmujące do głębi spojrzenie panny, badające go z namysłem. Po chwili rzekła:

— „Może ksiądz kapelan weźmie książki i nie będziemy już o tem mówić, u nas niema tego zwyczaju"... zadrgało coś w jej głosie pensjonarską pustotą, „żeby osoby duchowne, a nawet wogóle obcy... całowali".

— „Oficerowie" bąknął jeszcze uparcie Knappe, ale panienka już szła ku drzwiom zpowrotem, powlókł się więc za nią zmaltretowany ostatecznie. Znów szli zimnym, smutnym korytarzem, z którego wojna wystraszyła wszelką intymność Knappe wlókł się z bezrozumnem pragnieniem, by to trwało wieki, jak bohater najgłupszego powieścidła rozumował i myślał teraz, on, doktór dwóch fakultetów! Pragnął przytem, choć by to miało wywołać katastrofę ostatecznej niełaski, coś jeszcze powiedzieć o sobie, o niej i... o Heerenie, ale nie miał pojęcia, (bo i skąd by mógł umieć takie rzeczy) jak te osoby w grzecznym i rozsądnym frazesie połączyć i pannie Leni podać.

— „Pani nie ma do mnie żalu z powodu mej prośby?" spytał wreszcie, „byłoby mi nad wyraz przykro, gdyby moje czyste intencje zostały źle zrozumiane".

— „Jeśli to są pokusy szatańskie, to nie są czyste intencje", mówiła przed siebie panna Lenia głosem, w którym się czaił śmiech.

— „Rozumuje Pani jak teolog", przyznał znudzony, „ciekaw jestem... jednak, czy gdyby zamiast mnie"... nie, na zakończenie tego, zabrakło mu odwagi, wszak nie był żadnym zuchwałym leitenantem, tylko bogobojnym, sprawującym sumiennie obowiązki swego stanu kapelanem. Czy nie przyjechał jednak, mimo objaśnień Pani dziedziczki o łaźni, przez jakąś

Walpurgischnacht i z tej atmosfery czarów pod olchami pozostał mu w umyśle jakiś niesamowity dar widzenia i odczuwania spraw dotąd niedostrzegalnych? W gorącu, które go falą oblało, doznał łaski milczenia panny Leni. Udała, o z jakim anielskim taktem, czysta, święta dusza, że nie słyszy! Jak śmiał ją takiem przypuszczeniem... biczował się i kajał w duchu. Dochodzili do drzwi kredensu, które się rozwarły przed wychodzącemi żołnierzami, co pozwoliło usłyszeć rzewliwy płacz niewieści i coś w rodzaju wycia męskiego w tamtych dziedzinach, pełnych gwaru i gardłowego rechotu Niemców.

— „Stało się jakie nieszczęście"? spytali wychodzących żołnierzy jednocześnie.

— „Ha, to się Zahdel żegna ze swoim Schatzem, z Marysią, oboje płaczą jak dzieci, aż wszyscy pękają ze śmiechu..."

— „Chce się z nią żenić, odesłać do rodziców, ale ta krowa ani słowa po niemiecku się nie nauczyła, więc jakże? I on jutro wyjeżdża z temi, co idą na zachodni front, więc beczy *armer Kerl,* bo tak jak na śmierć, *ach du Menschen Kind!* Zginąć teraz łatwiej niż się urodzić" gadali jeden przez drugiego, a kapelan słuchał, przywołując na twarz wyraz współczucia i duchowej rezygnacji.

Panna Lenia zaś ze swoją świecą w srebrnym lichtarzu i romansami francuskiemi w ręku stała we drzwiach, spoglądając na siedzącą w głębi, na zydlu, parkę.

Krępa i obsadna Maryśka, o twarzy łopaciastej, ciemnej, okolonej czarnemi rozkudłanemi włosami, wytrzeszczywszy bardziej niż zwykle piwne oczka, lała nieprzerwane strugi łez, zbierane wraz z wilgocią płynącą z zadartego nosa, to kułakiem, to rożkiem chustki, obwiązującej jej głowę. Drugą jej rękę tulił tkliwie do guzików z pruskim orłem na mundurze owsianego kolorytu blondynek, szlochający bezwstydnie w dużą chustkę, drukowaną w kolorowe

króliki. Tuliło się do siebie tych dwoje... „ludzkich dzieci", powtarzając słowa niedołężne, przekręcone czułości polsko-niemieckie, jakieś obietnice i zaklęcia, żale i wyznania bezsensowne, mową niby pierwotnych ludzi, ale zrozumiałą dostatecznie dla ich zbolałych serc.

— „Uożesz to już dola taka moja" porykiwała Maryśka z większą złością niż żalem w głosie „i katolik, i mówi, ziemia swoje ma, i, mówi żenić się chce, i, ot, patzaj, bioro jego na tamten front, i tyle ja jego obacze, ajejej"!

— „Maryśka nie wrzeszcz, a to te Germancy narągajo się, już tobie wstydu ze wszystkiem niema, po tym ichnim sołdacie tak głosić. A ja mówiła, nie kochaj się z im, bo będzi!"... perswadowała jej stojąca któraś dziewczyna folwarczna.

— „Wielka mnie bieda, niechaj sobie widzo, a Buożesz mój, ot co ja teraz poczna, kiedy my tak kochami sie"!

Zahdel cmokał płaczącą od czasu do czasu w policzek i w mowie Göthego najtkliwsze jej szeptał słowa, w głębi żołnierze kpili, ćmiąc fajki i przyglądali się temu widowisku z rzetelnem zadowoleniem.

Panna Lenia odsunęła się w bok i wskazała kapelanowi dwoje zakochanych z uśmiechem wzgardliwej ironji.

— „Oto księże kapelanie ludzie żyjący w prawdzie, oto... śmiech przyznać, obraz prawdziwej miłości, nieskażonej żadnemi, błahemi doprawdy, względami... oto obraz prawdziwej istoty rzeczy, której my, ludzie skażeni cywilizacją, ideami, zasadami, nie mamy odwagi wyznać"...

—„Boję się" mruknął Knappe, „że ten dzielny Pomerańczyk wyrządził tej młodej dziewczynie pewną... niepowetowaną krzywdę... a tu ani ślubu, ani"... biedził się po swojemu.

— „Niepowetowaną! Tak, świat jest tak pełen stale, a zwłaszcza w czasie wojny niepowetowanych

krzywd ducha i ciała, że, miejmy nadzieję, utonie w nich i Marysina, jak kropla w morzu... w morzu nieprawości księże kapelanie", zaśmiała się nerwowo i nieszczerze.

„I uważa pani, ma ten żołnierz jak nalepsze intencje, i żadnych przeszkód, oboje katolicy i uczucie szczere"... lamentował kapelan jak wzorowy pasterz żegnanych owieczek.

„Zawsze się dużo dzieje krzywd w dziedzinie miłości"... rzekła panienka.

„Z drugiej strony roztrząsał znów Knappe, „niema gwarancji szczęśliwego pożycia, nie mogą się nawet rozmówić? Skąd ta miłość, jeśli się nie rozumieją, innej mowy — używają"?

„Cóż są wyrazy? Kto się rozumie wzajem w sprawach miłości? Kto się kiedy rozmówił do dna, do głębi duszy". Cicho mówiła panna Lenia „kochankowie z Werony mówią do siebie: „Bo i cóż jest Montegu? Nie jest to źrenica lub jaka część lica... Montegu jest imię... i „nazwisko Romea rzucam precz odemnie", takie oto najświętsze Credo miłości... I ci właśnie są jej szczerym, prawdziwym wyrazem: Romeo i Żuljetta, cha cha".

— Mówi pani jakby im, Boże odpuść... Pani... zazdrościła...

— „Jestem dla nich pełna... uszanowania, są bliżej od istoty rzeczy niż... inni, opancerzeni w nic warte, żelazne pęta... rozmaitych"...

— „Pani ma umysł wybitnie filozoficzny" określił ksiądz ścigając z natężoną uwagą cel swych myśli i spostrzeżeń.

„Podobno dobra właściwość w czasie wojny"...

Szli znów korytarzem; potem pokój, pożegnanie, potem jazda w ciemnym tumanie nocy z czającemi się w mrokach, wzdychającemi widmami niewyznanych tęsknot i żalów... Potem dalej wojna i wielkie, olbrzymie zdarzenia...

Nic się więcej nie stało w długiej kampanji wojennej kapelana Gottlieba Knappe, co by było podobne do owego dziwnego wieczoru, który mu ukazał przypadkiem niby, błyskawiczny skrót uczuć i namiętności ziemskich, gwoli doświadczenia ich nietrwałości i znikomej wartości.

Długo jednak, długo, śniło mu się, mimo gorliwego odsuwania na jawie tych drażniących obrazów w księgi martwej niepamięci, śniło mu się, że znów jedzie sobie stępa, spokojnym trakenem w dzikim Panjelandzie i widzi o zmroku śniadawe nimfy w wieńcach z jemioły, z sierpami srebrnemi w dłoniach, z rozwianemi włosami, pachnącemi wilgocią i dymem smolnych szczap... Boże odpuść, śniło mu się, że jasnowłosa Polka prowadziła ten korowód, nasłany bez wątpienia na bogobojnego Gottlieba Knappe, by mocy jego ducha doświadczyć i całą zgrozę rzeczy świeckich ukazać, ku wiecznemu obrzydzeniu takowych... Ku obrzydzeniu?... Tak, zapewne... zapewne... nie inaczej...

PSIE SERCE

(Zdarzenie prawdziwe)

W zapadłym, jak to się zwykło mówić, kącie t zw. Kresów, za lasami i zwłaszcza błotami, tkwiło sobie miasteczko. Miasteczko to, aczkolwiek t. zw. rynek, szumnie przez Niemców Hindenburg Platz, a obecnie Placem 3-go Maja nazwany, porastał gęstą trawą, ku uciesze chrześcijańskich parsiuków, żydowskich kóz i ogólnych gęsi, to jednak piękny, olśniewający białością potężnych murów kościół, opodal dom „szpitalników", oraz schludna plebanijka z ogrodem, urzędy, szkoła, poczta i kramki, nadawały temu zbiorowisku domóstw i ludzi, cechę inną niż szaroburym chałupom okolicznych wiosek. Była nawet, stale bankrutująca koperatywa, tańcujące i grające teatry amatorskie, koło młodzieży i klub piłki nożnej, (futbolu) który założony przez pana Piskacza z Przemyśla, po długich i niezbyt ciężkich cierpieniach w „restoranie" Joski Ajzyka anemicznego żywota dokonał, gdyż niezdolne i niemrawe wyrostki okoliczne, za nic w świecie nie mogły pojąć poco i naco mają „brykać się wyżej głowy w ta piłka". Kosztowało to Urząd Propagandy Sportów Wśród Młodzieży Wiejskiej (U. P. S. W. M. W.) tylko 193 zł. groszy 84, jak

to z dokładnych rachunków p. instruktora wykazanem zostało.

W miasteczku tem topiel błotną w jesieni i na wiosnę wynagradzała soczysta murawa rynku latem, oraz drzewka, zasadzone przez dziatwę szkolną w dzień święta drzew i obłamane wnet potem przez nie na witki, o ile nie pogryzły je kozy i uwiązywane do kołków cierpliwe konie gospodarskie, czekające aż się właściciele załatwią z kancelarją i monopolem, co zwykle długo trwało.

W takiem to środowisku drobniusienieczkich spraw i spraweczek, z których niejedna była jednak dla bohatera zdarzenia kwestją życia, śmierci lub wolności osobistej czy ruiny, w codziennym programie nauk w szkole, przesłuchiwań i skarg w urzędzie gminnym i u sędziego pokoju, targów w kramkach, urodzin i śmierci, rachunków. kłótni, miłości i plotek, zabarwionych na szaro, jak całe życie tych zapadłych w czeluści państwa ludzi, tkwił sobie pewien urzędnik. Nie wiem jak się nazywał i nie trzeba wiedzieć. Poco? Człowiek to był cichy i pewnie by nawet niechciał... „typ dodatni", mówiła o nim miejscowa inteligencja, „nie do kompanji", wspominał wójt, który z pisarzem siedział w „kozie" za łapówki. A ów kancelista żył sobie, jak to mówią, po bożemu: miał dwoje małych i wcale ładnych dzieci, żonę, z którą co niedziela i święta śpiewali razem na chórze przy organach w czasie nabożeństwa, a w domu przy gitarze, świeckie i wesołe piosenki.

I miał psa. W hierarchji zwierzęcego uduchowienia stworzenie to zajmuje szczebel najwyższy. Któż, kto z niem miewa do czynienia, nie doznał niesamowitych drgnień duchowego zbliżenia z niezupełnie zrozumiałą psyche, spoglądając we wpatrzone wiernie z żalem, radością, prośbą lub pytaniem, wielkie, mądre, oczy psie, tak wymowne w swym wyrazie. Zdolności assocjacji uczuć, jakie to stworzenie wykazuje w stosunku do człowieka, zużywa ono na wytwarzanie

sobie wspólnie z właścicielem pewnego modus vivendi, którego rozsądne podstawy, mogłyby służyć niejednemu „Panu stworzenia", jako wzór współistnienia bez intryg, nienawiści, kłótni i podstępu.

Pies, który długo „posiada" swego pana, uważa go za swoją własność, integralną część swego żywota, konieczną potrzebę żywych psiego serca uczuć. Obecność właściciela, jego słowa do psa mówione, pokarm z jego ręki, spacer, figle i polowanie, spanie z pyskiem na nodze, pogłaskanie ręką, wszystko to są roskosze, za które pies gotów na wszystko, gdyż o, wyższości zwierzęcia nad człowiekiem! Ocenia je w stopniu ich wartości! Pies pana X. był to piękny, rasowy wyżeł, z rasy bronzowej, przekrapianej białosiwą sierścią, zdolny do polowania i namiętnie przywiązany do swego chlebodawcy. Bo łatwo sobie wyobrazić, że człowiek, który niedzielami śpiewa w kościele z żoną i ćwiczy cierpliwie przez długie miesiące nieudolne kwiki kościelnego chóru, a od chłopów nie wyłudza jaj, kur, gęsi, kaczek i wogóle całego kurnika za załatwianie „papierów", taki człowiek może nie być ceniony przez ludzi, może nawet nie być kochany przez żonę, ale z pewnością będzie ubóstwiany przez swego wiernego psa.

To też patrzcie co się dzieje w taki jesienny ranek, kiedy miękkie, chłodnawe mgły, pachnące dymem i „moczułą", przeciągają po zrudziałych łąkach. Dźwięk dzwonu kościelnego roztapia się w powilgłem powietrzu, a w kotlinkach i dołkach, wśród łozinek i brzeźniaków, budzą się z drzemki osłupiałe zające i otrząsają mokre od rosy futerka. Wtedy to pies idzie za swoim panem na polowanie! Szaleństwo radości, dziką rozkosz pierwotnego mięsożercy, a zarazem uległą uprzejmość w oddaniu zdobyczy, wszystko objawia skokami i głosem. Wędrują sobie. Pan gwiżdże, pies skomli i postękuje miłośnie, spoglądają sobie w oczy i śmieją się do siebie na myśl o pieczystem, a więcej jeszcze o udanej zabawie. Opodal, inni towarzysze, ale

ci nic psa nie obchodzą, nie im się będzie łasił, nie im odda ciepłe, pachnące krwią ciało zwiędłego w pysku szaraka.

Na łączce pod lasem rozchodzą się, pies napojony elektrycznością, namiętnością szukania, rozgarnia mokrym nosem trawy i krzaki: tu-nie-tu, tu-nie-tu, tam! Już ma, już po tropie, po niewidzialnych śladach węszy. Gonić to gończa robota, wyżła rzecz tropić i wskazywać, on wie, co się jego rodowi należy, a do czego nie godzi się go zmuszać. I pan wie... Ale... czemuż nie idzie za nim?... Czemu siadł nagle ciężko na tym siwym kamieniu? Niewidzialna strzała niepokoju poruszyła psie serce. Pędem zawrócił i dopadł swego pana, węchem wyczuł grozę niewypowiedzianą, zmysłem nieznanym zrozumiał zbliżanie się czegoś okropnego. Naprzód głuchy skowyt, potem wrzask przerażenia i wreszcie dziecinny pisk bezbronnej istoty wydarł się z jego gardła. Dopadał do słaniającego się pana, skakał nań, lizał, słuchał dziwnego głosu bez wyrazów, rzężącego w piersi, do której się tylekroć tulił, czując rytm bijących tak zgodnie, tak radośnie i niefrasobliwie serc dwojga przyjaciół...

Ręka, jakaś ta, i już jakby nie ta, szuka jego głowy, drgającemi ruchami przebiega po grzbiecie psa, który rozpłaszcza się pod tem dotknięciem, bo jeży mu się jedwabista sierść strachem nigdy nie doznanym. Instynkt wrodzony, i nabyte wśród ludzi doświadczenie, rzucają go w kierunku tamtych ludzi, by szukać ratunku. Pędzi, dobiega, rzuca się i skomli jak oszalały, skręca na miejscu, szczeka, wrzeszczy rozpaczliwie i zawraca umykając tak szybko, że myśliwi wracają czując, że coś się dzieje. Zbliżających się wita głos głęboki, ponury i śmiertelnej tęsknoty pełen. Wycie psa. U głowy leżącego wśród wrzosów pana, siedzi wparty w mech łapami, wyżeł, i zadarłszy pysk ku przezroczystości wszechświata, ogłasza rozpaczliwym głosem wieść okrutną i swą przerażoną boleść.

No, tak. Na udar serca umarł ów sympatyczny

urzędnik. Nie będą miłe głosy tych dwojga, męża i żony, śpiewały w niedzielę przy organach w białym kościele na wzgórzu. Jego chór zaśpiewa mu już tylko „Wieczne odpocznienie", a żona zalewając się nieprzerwanie łzami, tulić będzie wołające „Tato" dzieci, takie jeszcze małe! Potem odjedzie do rodziny, nie ma tu po co zostawać. A jak drobne kolce w tej ranie okrutnej, szczegóły pieniężnej natury, zawsze jadowite, a w towarzystwie śmierci wprost trujące. Proboszcz orzekł, że jak ma być pogrzeb I klasy, to 50 zł. Pół setki! A tu nic w domu oszczędności i długi w kramikach. Dobrzy ludzie potargowali się z duszpasterzem, do 30 złotych. zbili cenę ostatniej posługi śpiewakowi niedzielnemu. Poczciwi, składkę zrobili, zapłacili, sąsiad psa za 30 zł. kupuje. Choć coś, choć grosz na te konieczne wydatki pogrzebowe. W mieszkanku nieład, chaos, dzieci nienakarmione, poprzeziębiane, płaczą, żona chodzi tu i tam nieprzytomna, rzeczy przerzuca, a raz po raz pada na kolana u trumny. A pod nią, niemożliwy do poruszenia z miejsca, z oczami zalanemi krwawemi łzami, z sierścią najeżoną, martwy, zwinięty w kłębek, wartuje pies.

Od czasu do czasu wysuwa się ukradkiem, pełznie trwożnie, jakby okrutną winę popełnił, jakby czuł wyrzuty sumienia, wstydliwie prosząc o przebaczenie, zagląda w twarz swego pana, wspina się powoli, nieśmiało, i opierając obie łapy o brzeg trumny, dygocze cały, tłumiąc jęczący szloch w rozpalonem gardle.

Baby i dziady proszalne, modlące się w nocy przy zmarłym i nawiedzający ciało obywatele miasteczkowi, kiwali głowami, przyznając zgodnie, że „taka stworzenia rozumna, psiuk, tak przez pana uważany, i wogóle żywioła boża, cości czui kole umarłego lepiej niż człowiek grzeszny, może nawet dusza widzi, której od progów swoich, od żonki, od dziatek odejść nadto trudno".

Pies ani na chwilę nie odstąpił zmarłego, nie jadł i nie pił. Zamknięty w czasie pogrzebu, bo nie dawał

ruszyć ciała, wył tak przeraźliwie, że go było słychać poprzez śpiewy i dzwony. Nowy właściciel z trudem, związanego w worku, wywiózł wieczorem o kilka mil.

Ale gdy nazajutrz zrana, spłakana wdowa poszła na cmentarz odmawiać pacierze, z przerażeniem ujrzała grób męża rozkopany!... W dole, miotając się wśród żwiru i żółtego piasku, który wyrzucał potężnemi łapami, skomlał i szlochał wyżeł, coraz prędzej, coraz prędzej dokopując się do tego, którego tak kochał. Przytulał, zanurzał swój czujny nos do ziemi i wzdychał, i czuł coś, jemu tylko wiadomego, a potem stękając z bólu, kopał dalej. Warczał i rzucał się, gdy go stamtąd zabierali. Przywiązywany gryzł sznur i uciekał, zamykany wyskakiwał oknem. Wracał. Wciąż wracał. Na cmentarz, gdzie kładł się i jęczał na mogile, do miasteczka, gdzie leciał jak oszalały do małego domu i tam, wspinając się na łapy, zaglądał w to okno, z którego tak niedawno spoglądała pogodna twarz, mówiąca mu bez słów, że się rozumieją, że się kochają, że pójdą razem, że jego psia dola nierozerwalnie związana z tym domem i tą rodziną... A tu nikogo, nic, obce zapachy, obce widoki, obcy ludzie... Wdowa z dziećmi wyjechała: koledzy męża pomagali, pani Małka kredytu dalszego udzieliła, a nawet cośniecoś dopożyczyła. Po błotnistej drodze, w szarugę jesienną pojechały sieroty...

A pies, wierny pies, odejść od miejsc tych, od tej mogiły nie może...

Ale i on kiedyś zapomni, bo i on, prócz innych łask bogów, wspólnych człowiekowi, posiada przywilej zapominania, ale że jest tylko zwierzęciem, więc mu to o wiele trudniej przyjdzie.

BABA Z KOZŁÓW

Albo ja wiem jak ona się nazywała? Baba z Kozłów i już. Jakieś oczywiście posiadała metryki, nazwiska, imiona chrztu, a nawet bierzmowania, ile, że właśnie za jej wędrówek po tej okolicy, równo w 40-ci lat po wizycie pasterskiej biskupa Krasińskiego, ekscelencja Edward von der Ropp udzielał sakramentów i kościoły wyświęcał, przy nowym kursie politycznym po 1905 roku.

Z dumą też zwierzała się baba znajomkom i kumom, że dwa razy była „w bierzmancji". Raz maleńkim dzieciukiem, u biskupa, chtórego umęczyły ruskie prawosławne, za to, że nie dał kościołów na cerkwie przewrócić, a teraz, kiedy znów wola dadziona katolickiemu narodu do wiary i kościołów. Kiedyś już, dawno, była też wola... kiedy cesarz ruski z poddaństwa odpuskał, a pany za to zbuntowali się i śpiewali: „Pańszczyznę, wolność racz powrócić Panie". Ho, ho, to ludzie pamiętają, nie boś!"

Tak sobie wypadki historyczne i fluktuacje polityki wielkiego Imperjum tłumaczyły dusze najprostsze.

Wszystko co się w umyśle baby odnosiło do kościoła, widomego znaku owego jasnego i dziwnego jak sny królestwa bożego, kwitnącego w nierozwinię-

tym, odrętwiałym biedą umyśle, niby wieczna lampka prezbiterjum, ze swem koliskiem świetlanego oparu, wszystko, co było tęsknotą, żalem, trwogą w niczem nie znajdującą ukojenia, wszystko, co było w tem czarnem życiu znaczone ciężkiemi, gorzkiemi łzami i co się w tej przyziemnej istocie modliło westchnieniem, biciem się w wyschłą pierś, stękaniem i wołaniem do Boga o ratunek na ziemi i po śmierci, wszystek ten świat duszy babskiej, daleki od jej ziemskiej powłoki, a przecież związany z nią i przez tę powłokę niejako targany i mącony, wszystko to było... tak, było doprawdy... piękne...

Baba z Kozłów, jak smakosz uczt, pragnęła festów i nabożeństw i nie omieszkała nigdy zasiadać przy wejściu do bramy, zamykającej biały mur kościelny.

Przed sobą widziała rozkisły błotem, lub popielaty od mrozu rynek, w dni kiermaszowe pełen jazgotu, wrzasku, gęgania i kwiku, pełen szaro - burej masy kożuchów i samodziałowych „paltonów", przetkanych żółtemi, pomarańczowemi i rudemi chustkami bab i ich czarnemi „bornosikami". Wszystko to kłębiło się, popychało i przewalało, od płowych wzgórków smorgońskich obwarzanków do straganów z rudemi piernikami na miodzie i oleju, od kramów ze skórą i żelazem, do czapek i chustek, poprzez kaduszeczki, jaszczyki, bojeczki, balejki, zydelki, necułki, ku lśniącym miskom i hładyszom na mleko, w które żyd i żydówka dzwonili chudym knykciem, by ich moc i robotę bez feleru wykazać.

Jeśli był kiermasz, naród gęsto walił do kościoła i sypał grosze. Nawet zdarzyło się, że rozmarzony monopolką, jaki taki „bahacz-haspadar" wygrzebywał hrywieńki z brudnej nosóweczki i tkał na oślep byle jakiej babie, mrucząc konfidencjonalnie: „*Mali sie ciotka Bohu kap majeho susieda tak skróciło, jak on mienia try rubli skruciu*".

Co słysząc, wzdychały baby nad bezbożnością życzenia i prędko szeptały pacierze za dusze w grzechu trwające, wymyślając półszeptem tej, co „grzywnię“ trzymała zaciśniętą w sękatych palcach.

Baba z Kozłów spoglądała sobie na dzieła ludzkie i boże, nie mogąc im złączyć w swej biednej głowinie. Czuła czasami jakby wielki mozoł tkaczki, która naciąga nici na berdo warsztatu i wciąż jej się rwą, a gdy już niby gotowe i puści czołenko... to i tak tcze się ni to ni sio... durnota jakaś pstrokata, porwana, do niczego. Chyba na śmiertelną koszulę dla starych kości... Tu nitka, tu nitka, tu coś chwyci myśl — nie myśl, widzenie jakieś wewnętrzne, tu jest, a ot i nie ma... poszło, poleciało! Zaczepisz ludzkie sprawy, westchniesz do Boga o radę i już wszystka „nastawa“ splątana, nici na supły, na węzły zmotane. Nic i znów nie rozumiesz, poco i dlaczego się dzieje? „A wszystko wola boska“, powtarza sobie baba z Kozłów dla umocnienia duszy i wbija sobie tę wiarę w serce, waląc się z całej siły kułakiem w chrypiącą pierś, żarliwym głosem błagając miłosierdzia bożego nad swą grzeszną... tak... pewnie grzeszną duszą.

I wtedy niezrozumienie niczego z wielkiego świata, który ją otacza i przytłacza, ciągnie swym ogromem i gnie ją do ziemi, jakby tam tylko było bezpieczne, ciche schronienie od wiecznej biedy. Tak ono i jest. Tylko tam. Ale ciężko życiu zgodzić się ze śmiercią. Tylko pomyśleć, a już zda się dusi. Cóżby to było naprawdę? Taki ciężar, jakby postawili na piersiach, nie ten malutki krzyżyk, przewiązany kolorowym gałgankiem, jaki pewnie jej, babie żebrującej, postawią z litości na grobku z żółtego piasku, co kiedyś tam wyrośnie kopeczką szafranową, wśród mogilnika, kędy „pachnące ziółki“ rosną, brzózki trzepiecą się w wiatrze, naród przychodzi z pacierzem a nierzadko i żywiołka z pastwiska wlezie, chłodku szukając, gospodarzy swoich nawiedzając niewiedząca.

Och letki taki on będzie, milińki krzyżyk... a myślenie o nim takie ciężkie, jakby zwalili na wystające z pleców łopatki ot ten, ogromniasty, stojący pod kościołem, z polnego szaro - czerwonawego granitu wykuty, przedwiecznej fundacji ważnej familii Bałabanów, chłopów - rybaków nadjeziornych. Za jakie grzechy, czy wskutek jakich cnót ofiara tak niezwykła? Któż to wiedzieć może teraz? Może to jeszcze z tych czasów, kiedy ludzi chrzcili ogniem, a krwią, bo i tak gadają stare, że było, jak bardzo, bardzo szatan trzymał w swojej mocy dusze. Czerwone, wiecznym dymem kurnych chat załzawione oczy dźwiga baba, wyplątując mgławe spojrzenia z pośród obwisłych miękko postrzępionych powiek ku murom białego kościoła.

Nad ciemno - zieloną trawą latem, nad szklistym, sinawo - żółtym, spróchniałym, zmiętoszonym nogami śniegiem zimą, stał na wzgórzu ogromny, ciężki, mocny: Kościół.

Śnieżysty, jak cukrem, świeżą pobiałą wapienną oblany, hen na okolice świecił znakiem potęgi. Dwie dzierżył przy bokach wieże, grube jak fortecznego zamku strażnice, krągłym, burym daszkiem blaszanym kryte, z wmurowanemi kulami „tureckiemi", świadkami bojów, o których też nikt nic nie wiedział.

Zwysoka, z ciemnych otworów wież kłaniały się niebu w dni świąteczne dzwony cudnego dźwięku. Kiwały śpiżowemi, siwemi od kurzu łbami, otwierały na przestrzeń gardziele i ukazywały sztywne jęzory miotające się tu i tam, tu i tam, tu i tam...

Biły uparcie w dźwięczne podniebienia, właśnie jakby jaki wielkolud zaklęty w wieżę mruczał i huczał, perswadował coś i lamentował na cały świat, paszczą rozwartą w srogim niepokoju i utrapieniu.

Może się dzwony, dzieła subtelne i mądre pracowitego kunsztu Joannesa Delamars, mistrza ludwisarskiego, dzwony dwuchsetlenie, lane z aliażu czy-

stych metalów w spiż dźwięczny i śpiewny, może się te wytworne kwiaty powietrza i dźwięku gniewały, że je rwą bezczelnie, brutalnie, jakby za czuby, idącemi od dołu sznurami, kręconemi z konopi jak stryk wisielca i pęta bydlęce. Wielce grube, szorstkie i twarde, wprost hańbiące, były te wierówki, targane z całych nędznych sił przez uczepione u dołu, nędzne zaiste stworzenia. Byli to: dziad — szpitalnik, krzywy Komaiszko, suchy jak zając na wiosnę, z kołtunem na łbie, ozdobionym, prócz tej leczniczej konieczności, odciągającej słabość od nóg, w guzytłuszczaki na czole. Sino-czerwony trądzik na nosie, żółto - siwa pleśń na brodzie i workowate, opadłe powieki, nadawały mu tak dalece wygląd nieboszczyka, że gdy takowych nawiedzał w domach żałoby, gwoli śpiewaniu nabożnych pieśni, baby się żegnały, niepewne czy z trumny nie wstał.

Towarzyszyła mu i pomagała w oprzątaniu kościoła, w żywieniu się, w gospodarstwie... ba, złe dusze twierdziły, że nawet w zaspakajaniu uczuć miłosnych, stuletnia (jak się to mówi), baba Jurczycha, po nazwisku Wróblewska, niewiasta z bielmem na oku i tak powykręcanemi rękami i nogami, że, zwłaszcza pod zimowym przyodziewkiem, ludzkich kształtów dopatrzeć się w niej nie można było. Że przytem była dziwnie szeroka, na płask niejako rozrosłą, w momentach, gdy się przypinała do sznura dzwonu i biła ziemi i niebu niskie pokłony, robiła wrażenie łażącego żółwia wysuwającego z pod skorupy krótkie pletwołapy. Ta to para dzwoników, w dziwnej reinkarnacji Quasimoda, swemi śmiesznemi i pokracznemi gestami u dołu, wywoływała u góry, cudne śpiewy i gniewy spiżowych duchów, opiekunów okolicy. Te biedne pokraki, urągowisko dzieła bożego, swemi rękami podobnemi do sęków dębowych, zwiotczałemi na postnej kaszy muskułami, wyczarowywały w przestrzeni, czystej jak płynny kryształ, tę muzykę aniołów i bóstw powietrza.

Ośmielały się naruszać królewskość dwuchsetletnich dzwonów komajskich, czujnie zasłuchanych w murowanych tęgo wieżach kościoła, sklepionego nad grobami kollatorów Dusiackich-Rudominów, panów możnych i przed którymi długie lata drżała okolica. Dawno... bardzo dawno. Potem znów rządy nad setkami dusz poddanych i tysiącami dziesięcin ziemi z lasami, objęli tu Sulistrowscy. Z nich, Brygida, pisarzowa W. Ks. Litewskiego, jak była dumną i pyszną za życia, tak z pokory chrześcijańskiej kazała się pod progiem kościelnym pogrzebać. Że niech jej wszyscy: i chamy poddane, i krewniaki możne i płoche kuzyny i te szpitalniki nawet, po kunsztownej fryzurze depczą, ozdobnej czepkiem z brabanckich koron i po robronie, z materji perskiej w złote kwiatki i po dumnem, nielitościwem sercu.

Deptali więc próg marmurowy, przyklękając i szepcząc pacierze, trwożne, pańszczyźniane chłopy i możni krewniacy, a potem słuch o tych sprawach zaginał. Może tylko dzwonom skarżyły się jeszcze prochy Jaśnie Wielmożnej takiej powłoki ziemskiej poniewierki ale spiżowe króle znały głosy niebieskie i śpiewały nic wartym kościom o oczyszczeniu z czyśćcowych katuszy dumnej duszy karmazynki.

Mowa ich śpiewu była rozległa i pełna wyrazu.

Któż mowę tę, kto dzwonów głosy zrozumiał? Te łany zbóż, z wysokiej wieży wyglądające jak różnych odcieni chusteczki, blado - żółte, zielono - srebrne lub modrawe, za podmuchem wiatru ścielące się płynnie. Te wielkie oka błękitnych, lśniących złotem i srebrem jezior, okolonych rzęsą sitowia, szeleszczącego suchym głosem swą nadwodną piosenkę? Czyjeż serce drżało, gdy powoli, po słabych, nieśmiałych dźwiękach, jakby pytaniach, pukaniach do serc dzwonów, jakby jąkaniach się niepewnych głosu, który z męką wydziera z głębi jestestwa wiecznie skrywaną tajemnicę, gdy po pierwszych jękach, warczeniu i gniewnych zgrzytach, targnięte, szarpane za głowy

olbrzymy, porywały się do zwykłej rozszalałej opowieści. Z początku spokojnie, majestatycznie, obojętnie niejako, zaczynały powtarzać dzieje, zapewne tego, co się koło nich od wieków działo. Ot kronika byle jaka, tysiąca śmierci i narodzin, łez i śmiechu, wesel i procesyj. Cóż to ważnego w tej nieskończoności, w którą płyną ich głosy?

Ale z chwili do chwili, mnogość tych zdarzeń, ich bezużyteczna, niepojęcie bezcelowa męka, natłok krzyków z przeszłości idących, gęstwa szlochów, snująca się mgła z wilgotnego dna wieżyc, zastygłe w przestrzeni skargi, dźwiękiem spiżu obudzone i rozpłomienione, wszystko to, zakręcało w koło rozpętanych dzwonów wir straszliwy, i popędzało gorączkowym rytmem, spokojne huśtanie się wielkich, ofiarnych czar.

Wszystkie te głosy wlewały się w nie jak zatrute i upajające wino w ofiarne kielichy. Jak taniec zakrętny zgrzytliwych szkieletów. I wtedy dzwony musiały już szaleć. Chciały wyrzucić ze siebie te wieści, te prawdy, te głosy. Wykrzyczeć je, wyjęczeć, wyśpiewać, wyhuczeć! Odpędzić! Śpiewać tylko Panu Zastępów, który oto zaklęty w przezroczej Hostji, w słońcu Monstrancji płynął tam wespół z ludem swoim, w śmiechu weselnym dziecinnych, szczebioczących dobrą nowinę dzwoneczków, potrząsanych przez chłopców mszalnych.

Śpiewać tylko Magnificat Bogu Stworzycielowi, a nie stworzeń męki wyznawać, nie ziemskiego robactwa być rzecznikiem, ale chwalcą splendorów Majestatu. Daremnie... szarpały ich gardzielami tak nędzne ręce... poprzez sznury ku górze szły widać jakieś potężne, chociaż nieme skargi. Jakieś nizinne skamlenia, tajemnicą wcielenia wlewały się w te nabrzmiałe wrzaskiem jęzory i biły niemi bez miłosierdzia, raz po razu, śpiesznie już, bez pardonu, bez respektu, ni majestatycznego umiaru, w rozedrgane, rozszlochane ściany śpiżowych kwiatów. Dzwony

szalały. Zdyszane, przerażone, że jeszcze i tym razem nie zdołają wypowiedzieć wszystkiego, że nie doniosą dość wysoko tych wieści z krainy swojej, ryczały, rozbijając słodkie, letnie powietrze, aż falą drżącą biło o gardła i serca ludzi zebranych około białych ścian kościoła. Spieszyły tak gorączkowo, takie pragnienie niesienia ulgi, taka rozpacz, a potem dziki tryumf cierpienia niosły ich głosy, że w zapamiętaniu wylatywały prawie za okna wieżyc, podnosząc swym rozpędem biedne stworzenia uczepione przy sznurach.

I długo jeszcze, gdy opadli z sił Komaiszko i baba Jurczycha, ucierali nosy w palce i pot z brudnych twarzy, szemrały i skarżyły się w górze dzwony, zamierającym szlochem niewysłuchanej opowieści.

Potem powoli zacichały te rozgłośne łkania spiżowych piersi i tylko ciche westchnienia ulatywały z wież, a uspokojone ciszą biało - siwe gołębie opadały stadkiem trzepotliwem dzwony i gruchały, depcząc spierzchłemi, koralowemi łapkami ich zmartwiałą potęgę...

Baba z Kozłów zasłuchiwała się w głosy dzwonów do łez, do najtajniejszych jęków duszy. Zdawało się jej, że ich dźwięki z pod serca wyrywają i rozszarpują na świat wszystkie jej bóle, jak wicher len targa po polach w jesieni. Nieskończone za zmarłych szeptała pacierze, a w chwili procesji, padając na twarz przed Wielkim Sakramentem, chwytała na sercu utajony skarb, z którym się nie rozstawała nigdy. Był to związany szafirową wstążką i zawinięty w chustkę białą w czarne kwiatki... płowy warkocz włosów, cienkich i miękkich jak len „paczesny". Gdy baba ten talizman trzymała w dłoniach, modlitwa jej składała się z jednego słowa — jęku, jednego imienia — szlochu. Powtarzała po cichu, ze stękaniem rodzącej matki: „Amilka, Amilka, Amilka!"

Czy wołała ją z zaświatów, czy Bogu krzywdę swą i ból ukazywała? Któż to wiedzieć na pewno

może? Łączyła wspomnienie zmarłej w dalekiem mieście młodziutkiej córki, z obecnością Boga w Najświętszym Sakramencie. Pokazywała Ciału i Krwi Pańskiej, co z jej ciała i krwi zostało na tej ziemi, matce na pamiątkę i żal wieczny. Użebranym groszem płacona nauka szycia, ot co przyniosła! Jakąś ciężką chorobę w szpitalu i ten warkocz, przez dobrych ludzi, co spełnili prośbę umierającej, przysłany na pamiątkę.

— „Miętkie, długie włoski miała Amilka! Amilka, pochowana w takiej daleczynie, że i na mogiłę jej nie zajdziesz matko i na zaduszki gromnicy nie zapalisz i wianeczków nie zaniesiesz... nic już córko ja dla ciebie nie mogę, a pacierze moje takie żałośliwe, że nie wiem, czy nie krzywdzą one ciebie w szczęśliwości niebieskiej, gdzie przebywasz na wieki wieków amen".

I po skończonem nabożeństwie, dźwigała stężałe kości baba z Kozłów, kupowała trochę soli, cukru i herbaty w kramie i kuśtykała na kulawej nodze do swoich Kozłów, gdzie miała kąt w chacie i gdzie... umierała na suchoty jej druga i ostatnia córka 16-stoletnia dziewczynka, Józińka.

Na jakiejś wystawie higjeny, lub w muzeum pokazów Barnuma, doskonale by można było przenieść żywcem tę chatę, by całą jej ohydę i mordownię ludzi ukazać oczom zdumionej Europy. Nawet mieszkańcy wioseczki, której domki, krzywo i kulawo, jak pijanice z kiermaszu wracające, przekuliwały się po przez pochyłość pagórka, nad drogą, głęboką jak parów, nawet przywykłe do brudu i zaduchu, nieładu i byle jakiego sklecenia t. zw. dachu nad głową, obojętne Białorusiny, po odwiedzeniu rudego Mickuna, wychodziły z onej rezydencji spluwając, zaciągając się silniej machorką i mrucząc o „zabijstwie narodu, w takiej pomyjnej jamie". To już była ocena rzeczowa i mocna.

W jednej izbie, czarnej od sadzy, którą były okopcone nigdy nie bielone ścienne belki, przetkane mchem, gęsto przez prusaki i tarakany zamieszkałe, mieściła się rodzina Mickuna. On z żoną, jego sześcioro „ryżych" dzieci, (troje umarło zbuntowawszy się przeciw niezwykłym, nawet dla niemowląt tego kraju warunkom), pozatem, koło pieca w kącie, zagrodzonym brudną płachtą, mieścił się barłog baby i kaszlącej nieustannie Józińki. Pod piecem, zimą, przebywał parsiuk, króliki gnieździły się gdzie chciały, kilka kur obfite składały ślady swych spacerów, stale wypędzany Bukietka, chudy pokurć w białe i czarne łatki, szmyrgał w każdy ciemny kąt i tam zaszyty dusił milczkiem małe króliczęta. Jeśli dodać do tego karmioną w tejże izbie kozę, beczki z kapustą i botwiną, stojące tu, gdyż marzły w sionkach, a nad bokówką prawie nie było dachu, to, nie wspominając już o pomniejszych szczegółach, jak niepospolita ilość pluskiew za świętemi obrazami, pcheł w pościeli i wszów we włosach mieszkańców, będziemy mieli mniej więcej bilans zażywanych w tem miejscu rozkoszy.

Z dzieci, ani jedno nie miało butów, ani ciepłego przyodziewku. Zimą więc okręciwszy nogi szmatami onuczek i zesznurowawszy łapcie, dwoje starszych, okręconych w stare chusty matczyne, biegło z ojcem pomagać w lesie przy drzewie i obrządzaniu myszatej szkapiny, przypominającej długością brzucha i ogona duże szczury litewskie, t. zw. pace, które też jako domowa „żywiołka" miały swe leże w norach, pod klepiskiem glinianej podłogi.

Młodsze zaś, w wieku od lat 8 do 1-go skazane były przez wszystkie cztery mroźne miesiące, na przebywanie w powietrzu, którego analiza wykazała by bogactwo mikrobów, wręcz rekordową. Zaduch i smród, kwaśne gorąco i przerywana ukąszeniami insektów drzemka zimowa tych nieszczęśliwych stworzeń sprawiały, że pół przytomne, jak przytrute mu-

chy, wypełzały za pierwszym promieniem marcowego słońca, w sztywnych od brudu koszulach, na topniejące koło chaty śniegi. Zachłystywały się, pijane wiosennym wiatrem i blade, nalane, senne, kucały pod okapem strzechy, chowając zsiniałe nożyny. Owiane „niedobrem powietrzem" wracały, by kłaść się na gorączki, zapalenia, wysypki lub kaszle, leczone ziółkami, podkurzaniem i zamawianiem.

W tych sprawach baba „żebrówka", była autorytetem i ta umiejętność stanowiła, prócz źródła dochodu, jedną z przyczyn dla jakich znoszono jej obecność z chorą córką w chacie. Komorne płaciła w naturze: wyżebranym chlebem, solą, mąką, słoniną i wszelkiemi resztami odzieży, czy żywności, jakie się jej udało wyprosić w wędrówkach po okolicy. Na przednówku, stanowiło to potężną zapomogą dla pustej spiżarni głodnej a licznej rodziny Mickuna i dla tego trzymał te „szpitalnice", mimo, iż parę bardziej rozgarniętych bab ostrzegało, że kaszel Józińki z piersiowych suchot może pochodzić, a taki bywa, że innym szkodzi. Rezultatem tych uwag, było postawienie koło tapczanu Józińki starej dojnicy z piaskiem i od jakiegoś czasu pluła w nią, zamiast w koło łóżka, a otoczenie było pewne, że teraz wszystko w porządku. Wprawdzie dwoje dzieci Mickunów kaszlało już z wypiekami wieczornemi na bladych buziach, ale kto by tam na kaszel dzieci zwracał uwagę? O ile ktoś nie leżał bez sił do dźwignięcia się na nogi, nie był chory i nie warto było się tem zajmować.

Co najwyżej wypadało zamówić. Obrządki z tej dziedziny miały tajemniczy posmak rzeczy zakazanych, czarnoksięskich i wkraczały w dziedzinę fantazji, której odrobiny potrzebowały jednak i te przyziemne istoty.

Do tych spraw, matka Józińki była „uczona" i znająca. Już powierzchowność jej usposabiała do wierzeń o sabbatach czarownic. W chwilach spokoju, zmęczenia i smutku, jej drobna twarz o ostrych ry-

sach, długim nosie i chudej szyi przypominała głowę stroskanej indyczki, z tym wiecznie pytającym wyrazem smętnego dzioba. Gdy zaś gniew, czy podniecenie ożywiły zużytą martwotę tych pożłobionych przez nędzę i troskę rysów, albo odprawianie guseł zapaliło w ciemnych, okrągłych oczach skry natchnienia, wtedy baba, ze swemi rozlatującemi się kosmykami czarnych włosów, wklęśniętą między nos i brodę szparą bladych ust, przypominała sylwetkę żerującej, przyczajonej pod wiatr wrony.

Specjalnością jej było odpoczynianie uroku z dzieci: czy złe oczy zajrzały, czy schwalił kto, czy przestraszył, czy, co najgroźniejsze, przez śpiące w polu przeleciało „czortawo wiesieło", trzeba było zamówić i podkurzyć. Do tego służyło trójziele, lub w gorszych wypadkach pięciórka.

Zbierane o rannej rosie, suszone na słońcu, hahawyje kresiełka, szamobyl, czartapałoch, dziewiaćsioł i nietupica, wiązane w pęczki czerwonym goryniem, niosła baba na wezwanie matek do dalekich nawet chat.

Tam posadziwszy na progu niewinną dziewczynkę z chorem dzieckiem, oboje przykrywała niebielonem nowem płótnem. Nad głowami ich przystawiano do drzwi łopatę od ciasta, sprzęt podwójnie święty: z ogniem bowiem i żywicielem-chlebem mający do czynienia.

Na łopacie stawiał się nowy garnek, a w nim węgle żarzące z osinowego drzewa. Na nie, mrucząc tajemnicze, mocne słowa, sypała baba z Kozłów szeleszczące, wonne, siwo - zielone łodygi, liście i kwiatki, a błękitnawy dym, sinym obłokiem odurzającej woni otaczał obecnych i trzymał ich dłuższą chwilę w odrętwiałem osłupieniu, w natężeniu wiary, w trwożnem pragnieniu ziszczenia próśb, i jakiemś błogiem, sennem rozmarzeniu istot, owioniętych słodkiem tchnieniem tajemnych mocy zaświatów.

W ciszy i skupieniu, pogadując słów niewiele i nie głośnych, rozstawano się, wtykając babie w sakwy co łaska: jaja, chleb, kumpielek masła, słoniny, krup garsteczkę. Nie napraszała się i nie była chciwa. Zajmowanie się temi obrzędami, wiara w nie, natężenie nerwów przy każdem odprawianiu guseł, sprawiało jej tyle niezwykłej rozkoszy, że gdyby nie nędza, darmo by ludziom pomagała.

Przybyła młodą dziewczyną w te okolice z pod głębokich, ciemnych puszcz różańskich, ze stron, kędy białoruski senny upór przeciwstawiał wszelkiej cywilizacji odwieczny kult ognia i wody, słońca i księżyca, ziół i duchów. Pamięć jej i wyobraźnia pełna była bajek, skazek, zaklęć i obyczajowych prawideł, których znajomością imponowała otoczeniu.

Własne niepowodzenia życiowe, których nie umiała zakląć ani odczynić, przypisywała czarom jakiegoś „dziadźki-wiedźmara", który ją przeklął za to, że swoje strony rzuciła, zwabiona zarobkiem w dalekim dworze. Pozatem, była to może kara boska za czary, może częściowe pokuty za życia nasłane i obiecujące szczęśliwość niebieską po odcierpieniu swej doli za życia.

Nie miała nadziei na wyratowanie swej Józińki i dla tego starała się tylko we wszystkiem dogodzić chorej, pojąc ją ziółkami i trzymając w zaduchu, uważając, że tylko ciepłota jeszcze może wypocić z niej chorobę. Na wszelki wypadek związała jej głowę żółtą chustką, posmarowawszy obficie włosy masłem i mimo płaczu dziewczyny z powodu gryzącego ją dniem i nocą robactwa, pokazywała z dumą, że „nic sobie, prędko kołtun stał zwijać się, to chwaroba może odpuska".

Podpierając kijaszkiem kulawą nogę, kaszląc sama takim głosem, jakby kto polanem w suchą deskę walił, stękając pod ciężarem dobrze naładowanych sakw, gramoliła się po wiosennym, marcowem błocie, do zatopionej w brudnych śniegach wioski, owianej

gęstym dymem z palonych w kurnych chatach mokrych drew. Za podmuchem wiatru leciało różne śmiecie z całej zimy, spłókiwane teraz cieknącemi, żółtemi smugami wody, torującemi sobie ścieżynki w skamieniałym jeszcze zamrozem gruncie.

Ledwie minęła pierwszą z brzegu chatę, posłyszała za sobą wołanie: „Ciuoootka! Ciuotka, pastoj!" i obróciwszy z trudem owiniętą łachmanami postać, ujrzała Purłanową, gospodynię wcale zamożną, (na siedmiu dziesięcinach), kiwającą na nią ze swego dziedzińca. Wyleciała widać w nagłości, bo tylko kożuch zarzuciła na spódnicę i rozchełstaną u piersi koszulę, a nawet głowy, gładko przyczesanej od niedzieli do soboty, nie przykryła chustką, co dla niewiastki było rzeczą zgoła nieprzystojną.

Baba pokuśtykała zpowrotem, witając Purłanowę pochwalonką.

„Ach mama! ratuj mnie duszeczka! Co z moim dzieciukiem, z tym Sylwukiem! Stał krzyczeć po nocach, że prosto žyćcia z nim niema. I bladziński taki, jak spuchszy, lękam sie ci nie siedun będzi?

— „Obaczym", poważnie, z należytem przejęciem się odrzekła zatrzymana znawczyni tajemnic, „zębulki u jego jest?"

— „Kilko nalazło sie, ale to nie z tego... niaaa", zaszeptała znacząco, „w dzień nic, a tylko nocka zejdzi, i jak widzisz on płaczy! Nadto żałośnie płaczy..."

— „Możno zawszesz sprobować i na zęby, bardzo dobre jest zamaulennie: *„maładzik małady, barani mienia ad zubou balenia, ad ahnia palenia, ad ludziej mawienia*" mruczała baba półgłosem, gramoląc się przez próg stancji, gdzie w zwykłym zaduchu zaczynał umierać na zapalenie płuc mały, płowowłosy Sylwuczek, o siwych oczach, mętnych w bladej, przezroczystej twarzyczce. „Uch" plasnęła baba rękami „poźdno ty mnie zawołała Purłanowa! Ziołki ja jemu zgotuje, ale tut horsze budzie..." chwyciła się garścią za usta i brodę, zwykłym ruchem białorusi-

nek w strapieniu „mnie cości straszno stało... ci nie lezie do jego biedulka... nacznica! Znaisz kuma, taka niewiastka co przez szelmostwo dzieci nie miała, ci tak kto jo przekloł, to taka po śmierci w nocy przyjdzi i daje pierści dzieciukowi... ale nie mleko, a otruta daje... ci nie znała ty kogo takiego?... a?"

Z okrągłemi oczami, pełnemi lęku, przypominała sobie Purłanowa wszystkie znajome zmarłe...

„Nia... zdajsie nic podobnego... chiba... ot, ale już więcej roku... taka Grasyla Burakowa... była umarszy na tamta zima... u jej dzieci nie było... ona mnie nawet po papce krewna przychodzi sie".

„Aha... uotoż to, mamunia, isz! Ja i odrazu poznała... dam ziołki... a kap nia pomahli, tak budzim adhaniać krepkim słowem, a to kiepsko możeć być..."

Napoiwszy dzieciaka ziołkami z miodem i mlekiem, wsunąwszy mu *użowo ziele* pod pościołkę, pokropiwszy czarnobylem wszystkie kąty chaty, wywędrowała opatrzona dwoma jajkami znachorka, medytując, czy trzeba będzie poświęconym nożem o północku rzucać w schylającą się nad kołyską nacznicę, który to czar jest mocny i niezawodny, ale bardzo straszny!

W chacie Mickunów przywitały ją płacze sennych, znudzonych i niezdrowych dzieci, oraz nowina, że Józińka „żywą krwią charcze..."

Westchnęła baba. Wola boska. „Już sobie dzieteczki nie życcia znaczy sie, a śmierć pisana..." zamruszała głaszcząc po głowie chrypiącą ciężko dziewczynę. „Już i kołtun nie potrzebny, ani zamawiania... trzeba iść prosić może pożyczo konika, żeb ciebie do księdza zawieźć, sakramenty przyjąć, bo gdzież proboszczu do takiej kanury..."

Poczem przysiadła przy swej skrzynce okutej i zamczystej i tam przeglądać zaczęła czy wszystko na śmierć w porządku: koszula nie noszona jest, sukienka biała jest, wianeczek, z białych sztucznych kwiatów o który kiedyś już Józińka prosiła, też, poń-

czochy i trzewiki nowe, tak, wszystko przygotowane. Gromnica leży na wierzchu, poduszkę trzeba zrobić nie krojąc broń Boże płótna, tylko drąc w rękach i włożyć w nią nitupicz, kotki i chmielniczek, dla obrony Józinka od złych duchów... tak, może sobie śmierć przychodzić. Zrobi się wszystko jak trzeba, jak ojce, dziady uczyli... *śledam za dziedam...*"

„Wyparzoną" w łaźni Józińkę, której ta przedśmiertna kąpiel, a zwłaszcza, jakie takie rozczesanie kołtuna sprawiło chwilową ulgę, powieźli do kościoła i do księdza. Wróciła zdrowsza, ożywiona, napojona mlekiem z konjakiem, które jej proboszcz kazał dać na drogę wraz z bułką, co umierające biedactwo wprawiło w słodką radość, a poczucie, że przyjęła Sakramenty, uspokoiło obie: matkę i córkę.

Były gotowe pod każdym względem. Co męczyć siebie i drugich, ani do pracy, ani do radości, to już lepiej do chwały boskiej iść prędzej, póki grzechu po spowiedzi niema i „czysto pomywszy sie na śmierć".

Leżała więc sobie Józińka sinawo - blada z zapadniętemi policzkami i oczami jarzącemi się błękitnie w głębi bronzowych cieniów, szkielety rąk spoczywały na czystej pościeli, a złoto - płowe włosy, ciasno splecione, zszarzałe, jakby zgasłe, pajęczą popielatością otaczały zapadłe skronie. W chrypiącej piersi rzęziły i rwały się struny życia, które uchodziło powoli, pogodnie i bez szarpań się młodego organizmu, raczej z rezygnacją wyczerpania.

Chrapliwym szeptem przypominała dziewczynka czasami obecnym, by dotrzymali obietnicy i sprawili jej ładny pogrzeb. Kazała sobie pokazywać wianeczek i białą sukienkę, a wtedy, głaszcząc chudemi palcami listki sztucznych róż, uśmiechała się trupim uśmiechem i powtarzała: „otóż kiedy ładnie będzie, otóż pieknie". Odwiedzające sąsiadki zaglądały jej w oczy i rozsiadłszy się pod ścianami prowadziły otwarcie przewlekłe gawędy na temat terminu jej

śmierci: *„kap nia w subotu, a ta nadta praciünie kali chto pamiorły czerez niadzielku u chacie lażyć"*.

Starało się też niebożątko umrzeć jak wypadało, ale wlekło się to jej istnienie niby cieniutka nitka lniana złej prząśnicy. Już, już urywa, już rozłazi się kądziel... nie, jeszcze chwyci, sklei i snuje się dalej. Gromnicę zapalali ze trzy razy, z pod głowy wyciągnęli poduszkę, której pierze „kuryne" daje ciężkie konanie, położyli kulik słomy. Kadzili kotkami, chmielniczkiem i nitupiczem... a ona sobie dalej konała, ale żyła. Powoli, górny nastrój, jaki wytworzyło przekonanie o jej bliskim zgonie, ustąpił miejsca zobojętnieniu i lekko zgorszonemu zdziwieniu, że oto ta słaba kruszyna, naprzekor wszystkim przygotowaniom żyje. Baba z wahaniem oddała na kupno skóry do uprzęży Mickuna grosze przeznaczone na podzwonne i zamyślała o odwiedzinach okolic najbliższych w celu zdobycia nowych funduszów, a także dla tego, iż przywykła do włóczęgi, zmiany miejsca i ludzi, nie wiedziała co z sobą w chacie począć. Zrobiła wszak wszystko co było w jej mocy dla umierającej córki, wiedziała co będzie musiała zrobić dla zmarłej, ale teraz nie miała nic do roboty i przędła niedbale kądziel, śpiewając wrzaskliwie i przewlekle okropnie smutne i tęskne białoruskie piosenki: *„Horek, borek piałun u harodzie"*. *„Zara maja, ty wieczornaja"*, albo godzinki ze Złotego ołtarzyka, przekręcając polski tekst z białoruska.

I z powodu tej nieuwagi stała się rzecz fatalna. Nie ta, że Józińka skonała któregoś ranka, „cichińko jakby ptuszka odleciała", bo było sprawą oddawna niejako umówioną, załatwioną. Ale wskutek tego, że w chacie były tylko małe dzieci, nikt gromnicy nie palił, i co gorzej, wracająca Mickunowa zobaczyła ją wyprężoną na pościeli, zlaną krwią sączącą się z otwartych ust... To właśnie!... Leżała... Bóg wie jak długo, z otwartą gębą! Znaczy się ktoś za nią pójdzie. I oczy miała niedomknięte, więc kogoś wypatrywała

sobie do towarzystwa. Te szczegóły, wróżące zdarzenia na przyszłość, daleko silniej zaprzątnęły pozostałych w chacie, niż sama śmierć, której nieledwie winszowali matce, jako że kłopotu i codziennej troski się pozbyła, a Aniołka Bogu w niebie przyczyniła. Na tem jednak kończyły się uprzejmości chrześcijańskie mieszkańców wioski. Konia na wywiezienie na mogiłki nikt pożyczyć nie chciał, bo przesąd groził, że gospodarza wywiezie ten sam koń. Śpiewać przy ciele też się nie kwapili, rozumując trafnie, że *hańtury* (stypa) obejdzie się kieliszkiem monopolki i kawałkiem chleba z solą, wobec tego czyż warto było drzeć gardła całą noc i dzień?

Baba zachowała się po śmierci córki jak należy: obmyła i ubierała córkę sama, nie wylewając ani jednej łzy, żeby jej ciężko nie było na tamtym świecie. Ziele święcone ułożyła pod głowę, a grosz w rękę, na opłatę „umarszczykom na mogiłach leżuszczym, żeb dobrem serdcem do towarystwa przyjęli". Potem różańcem ręce zmarłej okręciła, i ułożyła ją na środku izby, głową na wschód, na tapczanie przykrytym jedyną kołdrą, jaką posiadała. Wtedy mogła już oddać się boleści, przepełniającej jej serce. Siadła na ziemi pod ścianą i bijąc głową o belki, rwąc włosy, szarpiąc koszulę na wychudłej piersi, „głosiła" tak żałośnie i tak umiejętnie, że przychodzące baby zostawały dłużej i podniecone nerwowo, zaczynały też półgłośnym jęczeniem wtórować: „A Boużeczka moooj, a Jezu, Jezu! A Matyńka boooożyńkaaa!"

A na tle tego chóru wybijał się ostry, spazmatyczny chwilami, w innych momentach jękliwie zawodzący głos matki, która wyła swą krzywdę i żal ścianom chaty, i ludziom, i ogrodom, i polom, i lasom, i samemu Bogu w nieskończoności.

„A Józińkaaa, a doczuszka ty majaaa! Za cosz ty ad matki adeszłaaa! Ja baz ciabie sama sierota astałaaa! Czamuż ty baz pory ziamielku rzuciłaaa!"

I wymawiała temu sinemu trupowi dziewczynki, że matce kądzieli nie uprzędzie, że płótna sobie na koszule nie wytcze, że do niej swaty nie przyjadą, bo przyjęła śmiertelne swaty... i zabrały ją... do ślubu jej nie powiozą, wianeczek do trumny dają nie na wesele, ale na żałobę... Wnuków nie pokołysze... a któż mienia da truny włożyyy... a kto na mogiłki odprowadziiii! O Jezu! Jezu!"

Całe życie jakie mogła mieć Józińka, przewijało się przed oczami obecnych i wzdychając medytowali krótką chwilę, wśród koniecznych, codziennych zajęć, nad wyrokami boskiemi, które to przygotowane życie, ułożone mniej więcej zgóry i wiadome, przecinają w taki sposób, że jakby kto puch z kwiatu zdmuchnął.

Pod wieczór jednak, Mickun z żoną naradzali się w sionkach co począć? Z trupem w stancji spać, „nadto już przeciwnie". Wynieść więc trzeba Józinkę do sieni, na gliniane klepisko, na słomie ładnie położyć. Dobrze. A jutro? Trumnę kto zrobi i z jakiego drzewa? Miałci wprawdzie Mickun parę pięknych desek z kradzionej osiny, ale chował je na sprzęt gospodarski, przytem osina niebezpieczna jest na trumnę, bo, nie tu wspominając, tfu, tfu, z takich strzygi najczęściej wyłażą... Nikt w wiosce na trumnę drzewa nie da, ani konia...

Należało skierować rozpaczającą matkę do pobliskiego dworu z prośbą o te nieodzowne rzeczy, bowiem inaczej groziło Mickunowi, że wszystkie ciężary i niebezpieczeństwa spadną na jego rodzinę. Przeklęwszy parę razy, bez wielkiej zresztą pasji: „Kap ich, tych bab, kab jany skisły, aaach! sztoż na maju haławu takaja bieda. Ot i chłopotaj ciepier z hetami żebroŭkami!" Mickun podtarł nos wskazującym palcem i wierzchem dłoni, tam i z powrotem, podgarnął porwany i wyleniały korzuch i ruszył do izby, gdzie baba wciąż głosiła coraz chrypliwszym głosem swe majaczenia o życiu córki, a dzieci sie-

działy rzędem na ławie, przypatrując się rozdziawione wystrojonej Józi.

— „Ciuotka a, pierestań na minuteczku, słuchaj co będa mówić?“ trącił ją lekko w ramie, poczem osłupiałej i złamanej we dwoje, wykrzyczał, dla nadania należytej mocy słowom, swoje uwagi, przypuszczenia i rady. Uznała je. Jak było nie przyznać że miał słuszność? A gdyby jej nawet nie miał, wszak był gospodarzem chaty, miał prawo rządzić i rozporządzać się, a wiele łaski i dobrodziejstwa przecie już okazał.

Baba więc dźwignęła się, padła dwa — trzy razy na kolana przed zwłokami córki, ucałowała jej sine usteczka i powlokła się do pobliskiego folwarku Wincowszczyzny, kędy rządziła i gospodarzyła od dawnych lat swego wdowieństwa, pani Pelgja Kołłupajłowa, z domu Borowszczanka, obu rodzin znanych w okolicy, obsiadłych na dzierżawach lub własnych folwarkach, a mających takich krewnych, którzy byli profesorami uniwersytetu i takich, którzy się ledwie, ledwie „rozpisać“ umieli.

Folwarczek Kołłupajłów był „niewielczyński ale apetytny“ jak o nim mawiała sama pani Pelagja. Cudem oszczędności, pracy, bieganiem po dyrektorach banków i Żydach, mimo rodzimego bezładu, potrafiła wychować troje dzieci, dać im chleb w rękę, w postaci fachu kolejarza, kancelistki i aptekarza, oraz ocalić swą apetytną Wincowszczyznę, od zakusów rosyjskich urzędników powiatowych, którzy na nią zęby stale ostrzyli, kusząc biedną wdowę przy każdym jej kłopocie, wielką ilością rubli za sprzedanie ojcowizny.

Nie tylko Pan Bóg, ale i wszyscy święci i sporo śmiertelników, wiedziało o tytanicznych walkach, jakie staczała z temi, jak nazywała kolizjami, pani Peleczka.

Miotała się i płakała; gdzie było trzeba, grzmiała pięknym, niskim kontraltem, gdzie trzeba, umiała z pod jasnych rzęs błyskając siwemi oczami, słuchać w milczeniu najbardziej „pikujących" moskiewskich szykan.

Jeździła w jedną szkapę kałamaszką, z podfurmańszczykiem wyrostkiem, w każdą pogodę do powiatówki, tłukła się nocami III klasą do Wilna, tam „zakładała" folwark w „Ziemielnym Banku", w terminach zanudzała dyrektorów prośbami o prolongaty. W pocie całego ciała i śmiertelnej męce, dźwigając się na piętra, kolebiąc po nogołomnych brukach, wyklękując w Ostrej Bramie na wszelkie intencje, żywiła tą swoją Wincowszczyznę własną męką, trwogą i krwawą, nieustanną troską. Dzieci zaś żywiła z Wincowszczyzny: „siuliła" gęsi, kaczki, indyki, oraz jaszczyki masła dyrektorom gimnazjów, by przecież nie nadstawiali zbytnio ucha na niezupełnie prawidłowe „udarenja" synów czy córki.

Gdy wracało to to na wakacje, po nieopisanej katordze stancji u rosyjskiego nauczyciela, wychudzone, osłupiałe, z mową pokaleczoną i chaosem pojęć w głowach, w oberwanem odzieniu i z powłoką azjatyckiego grubijaństwa, pani Peleczka zabierała się do swej progenitury systemem zdawna ułożonym.

Kazała szorować się w łaźni, okarmiała w dzień i nawet w nocy, jeśli które chciało, dawała spać przez tydzień ile zdołali, a potem wiozła zieloną kałamaszką do spowiedzi, do białego, swojego kościoła, gdzie razem z niemi klęczała całą mszę i do sakramentów przystępowała.

Powróciwszy zaś do domu, miłego dworku z ganeczkiem pod kolumnami z sosnowych belek, zamykała okna i okiennice bokóweczki i wydobywszy ze starego kantorka, o obłupanym fornirze mahoniowym i pogiętych bronzach, Śpiewy historyczne Niemcewicza, oraz Zdanowicza Historję Polską,

z krwawych ran serca wydobywała słowa, objaśniające tym dzieciom przeszłość ich narodu, łżoną wobec nich przez rok cały. Chlipnęła nie raz serdecznie przy tych wykładach, a dzieciuki z nią, zwłaszcza, gdy jakieś żelazne obrączki i krzyżyki z kajdan więźniów 63 roku im pokazywała, z najgłębszej skrytki kantorka dobytych.

Później starsze, spokojniej, obojętniej, ale zawsze życzliwie patrzyły na „Mamuni" rzewliwość i pamiątki. Zdawały sobie doskonale sprawę z jej dla nich trudów, z krzywdy jaką im „ruska gimnazja" wyrządza i z konieczności samoobrony przeciw poniewierce cudzych, obcych, przeklętego „nabiegłego narodu", który ssał tutejszych, swoich ludzi, gniótł ich, śmierdzącym juchtem i machorką gniotem, mając zielono-kopulastą cerkiew, brodatego popa pijanicę i lico cesarskie za symbole władzy.

Rychło też wytworzyły sobie, jak wielu ich kolegów, ochronny pancerz nieprzeniknionej obłudy, z wszelkiemi pozorami lojalności, bo czyż rozsądnie było zadzierać? I matkę na nowe kłopoty narazić? Ale na dnie, jak perłę zamkniętą w skorupie ostrygi, i z jej męki utworzoną, chowali śliczny, wciąż dziecinny kult dla Mamuni i polskich wierszyków, do których z czasem przybył Pan Tadeusz, Trylogja, kilka powieści Rodziewiczówny. Starszy syn, po silnym tyfusie osłabiony, porzucił miejsce na kolei i postanowił „przy mamuni" gospodarzyć, ożenić się i choćby sam orać i kosić, ale żyć swojem życiem, swoim chlebem i swoją wolą, a nie kłaniać się wciąż cudzym. Pani Peleczka swatała mu więc co posażniejsze panienki z okolicy i z przyjemnością myślała o synowej i wnukach.

O bohaterstwie swem w tej walce, którą prowadziła całe życie, by ocalić ziemię dla dzieci i dzieci dla ziemi rodzinnej, nie wiedziała oczywiście, a gdyby jej ktoś powiedział, że było coś wielkiego w tem zwycięstwie niemądrej kobieciny nad całym systę-

mem carskim, plasnęła by po swojemu rękami i zawołała: „Któż wie co! Ot facetna historja!"

Z córką miała więcej trudu, bo wpływy i pokusy światowe, w postaci stosunków z córką pełnego jenerała, oraz nadmierna ilość rosyjskich romansów, czytywanych z koleżankami, sprawiła, że panna Meleczka śpiewała cygańskie romanse przy bałałajce, i chętnie deklamowała Puszkina, uważając np. Pana Tadeusza za coś „zaściankowego". Ale, że przykładnie odmawiała różaniec, i z czeladzią śpiewała w Wielki Tydzień Gorzkie żale, a wcale łaskawym, choć lekko pogardliwym okiem spoglądała na dzierżawcę dużego folwarku w sąsiedztwie, była więc nadzieja, że wróci spokojnie w swoje strony, popracowawszy „na wyprawę", u znajomego, starego adwokata w Wilnie, którego żona pilnowała jej „jak oka w łbu", wedle określenia wdzięcznej pani Peleczki.

W ów wieczór, gdy zmordowana płaczem i lamentem oraz całodziennym suchym postem matka Józinki dowlokła się do ładnego dworku wśród lip, zarastających cały ogród Wincowszczyzny szpalerami i altanami, panował tam ruch dość niezwykły o tej porze. I kiedy baba wgramoliła się po schodkach jednej z bokóweczek, które obrastały i podpierały dom główny, niby grzybki grzyb-macierzę, otwierając drzwi na płaską, żelazną klamkę zamknięte, znalazła się odrazu w wirze, gwarze i symfonji zapachów, znamionujących każdemu, najmniej nawet wprawnemu oku, uchu, a zwłaszcza powonieniu, że odbywa się tam wielkie i ważne misterjum przyrządzania kiełbas, salcesonów, polędwic, szynek, kiszek, boczków, kumpiaków, głowizny, kwaszeniny i co tam jeszcze natchnienie, tradycja i specjalne uzdolnienie gospodyni wymyślić zdołało.

W czeladnej, przepełnionej mdłym zapachem surowego tłuszczu, wnętrzności świńskich i mięsa, oraz jędrnemi smugami korzennych woni pieprzu dwuch gatunków, kolandry, goździków i t. p. trono-

wała na obsadnej ławie zasapana i spotniała pani Peleczka. Przyodziana była po domowemu w szary czerkas swojego tkania, w spódnicę kloszowo - fałdzistą i kaftan luźny, z niską białą kryzką u szyi, spiętą broszką przedstawiającą palmę turecką z oksydowanego srebra. Strój ten luźny i wygodny wyolbrzymiał jeszcze jej opasłą postać, rozlaną w bezkształt bladego tłuszczu.

Ogromny warkocz płowo-złotych włosów, upinał się nad twarzą, która za młodu była prawie piękna, gdyż klasyczny profil i dziś jakąś pańską dumą wznosił się nad tłustym podbródkiem, a drapieżne i chytre oczy, z pod jasnych rzęs spoglądały bystro na wszystkie strony naraz, zdawało się. Rozkazy jej głosu grzmiały jak komenda i wprawiały raz po razu „dzieuczaty" w serję ruchów szybszych i bezładniejszych niż przeciętna ich, białoruska „lentość". Gadały przytem nieustannie.

Na widok baby, włażącej z pokorą mokrego psa w to centrum życia, świat.a i ruchu, pani Peleczka plasnęła się po kolanach rękami i zawołała na głos: „A któż tam? Czy nie baba z Kozłów? No powiedzcież mnie moje państwo, czy nie facecja!? Już po ciebie miałam posyłać, a ta zniuchała i przypełzła... Ot widzisz jaka u mnie tłoka... dobrze trafiłaś, dostaniesz jaki tam kumpiaczek... a to widzisz duszo, febrę musisz Kostuńce zamówić... ja tam w te gusła—zabobony nie wierzę, ale te chamstwo tylko tego i prosi... to cosz?" zatoczyła groźnie oczami, „żałować jej będę czy co? Zamawiaj jej, naszeptuj, niech już na podkurki idzie, bo mnie zbrzydło koło niej tańcować?... Aha na wieki wieków, a jakże... na wieki", przypomniała sobie odpowiedzieć na pochwalonkę baby, która wymijając pracujące wesoło dziewczęta, dzielące się uwagami, że świntuch był jak koń, i sadła u jego biała, jak panieński twarzyczek, przerzucały sobie śliskie, blado-różowe kiszki, napełnia-

ne siekanem mięsem, wciskanem w nie zapomocą ogromnej klyzopompy.

Cichym szeptem wymamrotała coś nie coś matka zmarłej Józinki. Jak tu było gadać o śmierci, trumnie i pogrzebie, w takie święto i wśród takiej obfitości? Słowa jej były ledwie dosłyszalne.

— „Cicho dzieuczaty, taki homon robicie, że prosto człowiek głuchniesz... Co gadasz babka?... Jezus ty Panna Marja! Czy nie sfiksowała, do nóg padać?! Co stało się, mów?!" wrzasnęła p. Peleczka wielkim głosem, aż cisza padła i ustała robota.

— „Paniczka, Króloweńka... niema już mojej Józińki"... chlipnęła baba z Kozłów podnoszona pod pachy potężnemi dłońmi pani Peleczki „już ona biednińka u Boga, już ona mnie starej chleba nie zarobi... a Matyńko Bożyńkaaa, a doloż mojaa", zajęczała śpiewnie.

— „Cicho duszo, nie głoś, co robić. Bóg dał, nu i wzioł... co poczniesz?... Przeciwko wiatru nie przewiejesz i nie siędziesz... a biednemu, wiadomo, wiatr w oczy... A letkoż konała biedulka?" spytała ze szczerem współczuciem, zaglądając w oczy zesłabłej, jakby zwiędłej babinie, zwieszającej się na ławie niby bezkształtna szmata.

„Dzieuczaty" skorzystały z dywersji, by przerwać wszelkie zajęcie i ocierały spocone twarze otłuszczonemi dłońmi, skupiły się ciasno, cmokając i postękując ze współczuciem: „Ajejej, ci widzisz?.. już ona i była jak umarszy... Wiedomo... taka chwaroba cienszka... A kiedyż chować będo? Pójdzim dzieuczaty pośpiewać na mogiłki, a? Pójdzim, wiadomo, w panieńskim wianeczku przed Bogiem ona stanie"...

— „A czy nie pójdziecie wy do swojej roboty" krzyknęła pani Peleczka „będo tu swoim nosem wtrancać się. Zaraz na głowa wlazo, jak Boga kocham, prosto facecja? Dajcie jej lepiej zacirki, pewnie

nie jadszy przyszła a?" zwróciła się do starej, sadzając ją gwałtem na ławie.

— „Ani mnie jeści, ani mnie piccie, ani žyccia niema, hdzież ja sierotyńka podzienę się... pani łaski przyszła prosić... wielkiej łaski... odsłużę, odprzędę, ci tak czemkolwiek, zmiłuj się pani, daj na trumna, i konika, wywieźć na mogilnik, a to nikt nie chce w wiosce, nikt i nie śpiewa przy jej, bo cisz ja mam za co wódki kupić? To i leży tak... jak ostatnia..." zachlipała mocniej".

— „A pogany! Pomyślisz! Nad umarłą dziewczynką nie przyjdą pośniewać! Czekaj duszo moja, bardzo mnie ciebie szkoda..., matka jestem...., żeby tak... w imię ojca-syna-ducha..." szybko, cicho i mrugnąwszy trwożnie parę razy powiekami, przeżegnała się małym krzyżykiem na pulchnem łonie „Karusia katoczek, ja by ciebie odpuściła na noc i może by ty Bałabańszczychę namówiła sobie, ja jej dam obrzynków na okrasę, podskoczcież wy do tych biedniaczek pośpiewać przy ciele, a to już nadto obojętnie słuchać o takiem opuszczeniu".

— „Czemuż Paniczka, pójdzim, i ty chodź Grasyla, pajdziom..."

— „Nu dobra, tylko kiszki kończym i možno...." chętnie godziły się na tę rozmaitość i rozrywkę.

— „Pokażem tym pohanom wioskowym, że u nas troszki inna adukancja", chwaliła się ładna Karusia, pokojowa p-twa Kołłupałów.

— „Podjedz, posiedź w cieple, ja z synem pójdę pogadać o deskach i koniku; da, wiadomo że da, ależ teraz on nasz haspadar i trzeba mnie jego słuchać", zaśmiała się mimowoli pani Peleczka na myśl, że ona słucha tego syna, którego tak zda się niedawno bujną karmiła piersią i że wyhodowała go dużego, zdrowego i ma przy sobie. „Biedna ty matka" pożałowała znów baby, niedołężnie skrobiącej drewnianą łyżką o boki glinianej miski z gęstą zacirką, której przełknąć nie mogła. „Ciężko dzieciom

rodziców tracić, co tu i gadać — ciężko. Ja sama, nie wielczyńka byłam jak moja Mamunia umierała, prosto łzami spływałam... ale dzieci chować... oho", pokręciła głową, jakby w zdumionym proteście, „to już ostatnia rzecz.... ani za sobo, ani przed sobo nic nie widzisz, jak w przerębel pod wodą z kamieniem młyńskim... Jak palec znaczy się sama została!?...

„Sama przy sobie, Paniczka... samiutyńka na świecie" odszlochała baba gorzką odpowiedź — wieść żałobną.

. . . .

Pogrzeb Józinki odbył się według wszelkich tradycyj i prawideł a z pomocą Wincowszczyzny nawet okazale. Bowiem wóz ubrano zieloną jedlinką, gałązkami wysypano podwórze, na trumience z gładkich desek, namalowany był czarny krzyż, a „dwornia" przyszła całą gromadą bab i dziewcząt, które się pchały na pierwsze miejsce, łokciami odsuwając wioskowe. I trumnę wynicsły dzieuczaty na ręcznikach, i tak pięknie, a żałośnie śpiewały, cienko i piskliwie wyciągając, że chwilami ucichała ze swem głoszeniem szlochająca matka, zasłuchując się, jak to jej Józię ślicznie chowają, jak gospodarską, a nie żebrówki córkę.

Potem, gdy już zmarzłej ziemi nieszczelne grudy sypały się na trumnę i wyrosły w niewielki kopczyk, w który utwierdzono czarno pobejcowany krzyżyk, przewiązany białym gałgankiem, nie było już nic do zrobienia. Hańtury, wiadomo, nie będzie. Dworskim ludziom tylko dziękowała baba i gospodarzowi, Mickunowi, za chleb - za - sól pokłon niski oddawała, obiecując lnu naprząść za pomoc w nieszczęściu. Potem, zebrawszy te swoje łachmocie, tym samym wozem, ustawiwszy na nim czerwony swój okuty kuferek, pojechała, podobna kupce zdartych szmat, do Wincowszczyzny, bo tak pani Peleczka wyraźnie nakazała.

W jasnem powietrzu, przewianem dalekim, wiosennym wietrzykiem, pachnącym jeszcze śniegiem, ale już ciepławym od mocnego, jaskrawego słońca, szły rozmokłą drogą dzieuczata i raz po raz załamując się po zmurszałych, brudno - bronzowych, zamazanych gnojem lodakach, chlustały sobie kaszą śniegową aż do gołych kolan pod spodnice i wrzeszczały ze śmiechem: „Ot łomowina, prosto chodu niema, tylko co nie przekuliła się!" „I byłaby nogi zadarszy pokazała... a tu chłopcy z tyłu jado"... „A nie jado, a ido... chtoż będzie jechać wozem po nieboszczycy". „I z babo, chaj z tobo Karuśka, dek by musi Kaziuk i gnojówko pojechał". „Idź ty, paskudztwa!.. „Ot kiedy durna!" „A Jezus! Ot i znów skroś poleciała!" „Nie pichaj się ty, jak napiwszy sie ido, a toż i nie politycznie, tak z pogrzebu wracać jak z wesela". „Ach jej, uot nalazła się razumna!" „Jaki chfarmazon, wuczyć już będzi... Cóż ona nam? Córka baby żebruki, pośpiewali my, pomodlili się, wioskowym pokazali, nu i ciepier nasza wola, choć na tancy iści". „Tylkoż że post"... „Nu tylkoż to, że post, wiadom"...

Tak sobie one wrzaskliwie, idąc nie blisko, pogadywały, rozciągnięte długim pochodem, po wąsko wyjeżdżonej drodze, a głosy ich wesołe, nabrzmiałe życiem i ochotą, rozlegały się daleko, trącając bolące serce matki, jakby kto kamieniami rzucał...

Józinka już nie pośmieje się, nie pójdzie z dziewczętami... nie stało Amilki, niema Józinki... na co tobie matko było rodzić i hodować dzieci?..

. . . .

Długo odsypiała i odlegiwała baba, ciepło zakopawszy się na piecu piekarni wincowszczyźniańskiej, swoje nieszczęście. Nikt jej nie turbował i nawet do roboty nie zaganiał, naprzód dlatego, że pani Peleczka powiedziała: „Niechaj biedninka odsap-

nie po tych trudach", a powtóre że nikt się tam wogóle nie zabijał pracą, nie śpieszył i żył z siebie nie wypruwał.

Pani Peleczka miotała się i dunderowała pośród opłotków i chlewków, w czeladnej, piekarni i praczkarni i gdzie tam było trzeba, ale więcej z zasady i przyzwyczajenia, niż wiary w skutek. Wiedziała bowiem doskonale, że byle jej płowo-złoty warkocz i tęga figura znikły za węgłem, czy za drzwiami, to robota zacznie się przelewać wolno przez ręce jak klajster, a jeśli się tam przypadkiem ktoś żwawszy i pracowitszy znajdzie, to mu powiedzą że zgorszeniem: „Czaho lecisz, ajejej, ot, już za pansko roboto zapędzony... a sztoż ty zawtra budzisz rubić, astaw, troszki, a, paśpiejesz!" i inne kpinki. Baba więc, nie dziwiąc tem nikogo, nic nie robiła dzień cały. Spała i, nic sobie, tłusto jadła i dużo. Odpasła się też i odmłodniała, a łaźnia co sobotnia sprawiła, że wcale schludnie wyglądała w czepku z czarnej tafty, który jej zręczna Karusia z resztek bluzki uszyła. Zasiadła jednak wreszcie do kądzieli i przędła dni i wieczory całe, prowadząc z otoczeniem nieskończone rozhowory pouczające i ciekawe, tyczyły się bowiem przeróżnych zwyczajów i zabobonów, które młodemu pokoleniu nie wszystkie były znane.

„Buożeczkasz ty moj i nie zmyślisz kiedy i co robić, żeby obronić się od złydni, ci od wiedźmy... a baba znała zaklęcia „od zwiera biehuszczaho, od płaza pełzuszczaho"..., znała obyczaje duchów, umiała opowiadać achjej, jakie bajki! O Jeździerkach, morskich Korolewnach, o Faraonkach, co to do pasa kabiety, a dalej szczupaczyny chwost, z tych czasów narodzone, kiedy to Mojżesz z ziemi niewoli wyprowadzał przez morze swoich żydziuków i niektóre nie pośpieli wyskoczyć na brzeg. A bajkiż baby, ach bajki! *„Szou baj pa ścianie, u czyrwonym kaftanie, ci baj, ci nie!?"* pytała baba wieczorkiem, kiedy wysiorbali z misek zacirkę i siadali, kto z kądzielą, kto

z szyciem, a chłopcy z pleceniem mat czy koszyków. Wszyscy wrzeszczeli: baj! baj! i rozdziawiali się, słuchając jękliwego głosu baby, opowiadającej, o różnych bohaterach jak Łuszczyk — Suszczyk, Adziniuk, co miał miecz od parszczukou i dywan... i Kaciharoszek co źmieja zabił, o Sabace—Łuoj i wilku żelaznym, o Pielędrusi, o Królewnach zaklętych i bez końca rozmaite inne. Ogień trzaskał i pohukiwał wśród smolnych polan jodłowych, tańcząc czerwonozłotym blaskiem po zasłuchanych twarzach. Duże łuczywo wetknięte w szparę pieca błyskało i mrugało, aż kręciły się jakieś dziwne po ścianach cienie, a wiatr huczał koło węgłów i tak wył czasami w kominie, że baba rzucała kruszyny chlebne i zioła na ogień, szepcząc za dusze w czyśćcu pacierze i zaklęcia.

Gdy chłodnawa, senna i nieśmiała wiosna tamtejsza roztuliła wreszcie zestrachane zimnemi podmuchami liście i trawy, stało się tak jakoś w jakimś momencie gospodarskich czynności, że zaproponowano babie pilnowanie kaczek z kaczętami.

Przyjęła skwapliwie, rada że ją młody wiaterek owieje i świata zobaczy, bo „skolała na czysto, siedząc ciągiem zaparta w czeladnej", przytem twierdziła, że len był pełen kostry i ona wszystką ślinę z siebie spuściła, przędząc taką kądziel kostrowatą.

Pokociła się więc kulem z pagóreczka, na łąki nadrzeczne i tam, z długą witką w ręku, jęła doglądać puszystych, żółtych cipuch, rozsypujących się jak szczurki pośród gęstej trawy, wysokich ziół, łopuchów i pokrzyw, obficie rosnących w tem wilgotnem i cienistem miejscu.

Wróciła o zachodzie słońca z kaczętami w fartuchu, opędzając się piętą kaczkom-matkom, które rozklapanemi dziobami starały się ją szczypnąć w gołe łydki, poparzone mocno pokrzywami. Baba była mokra, zła i milcząca.

Ponurym głosem, przysiadłszy „na cypki" wołała: „wut', wut', wutińki, wutińki", na kaczuki toczące się złotemi, ciepłemi kulkami przez ręce i przez własne głowy, do pachnącego kwasem ziela, siekanego z twarogiem, rozsypywanym dla nich na deseczce. Przy kolacji, mało, nie wiele siorbnęła z miski, ziołki ostentacyjnie zaparzając w garnuszku i zjadliwym głosem wyznając w stronę pieca, abominację do obecnego zajęcia, które ją pewnie febry nabawi, bo już kości łamać zaczęło.

— „Nu już z temi kaczukami... wolej nie wiem jaka robota, a nie za jemi latać calutki dzień... i tyłkiem miejsca nie przygrzejesz, tylko wstawaj i ciągiem idzi za imi... gorzej dzieciuków pilniować trzeba"...

Dni choć coraz dłuższe i jaśniejsze, choć coraz mocniej błyszczące jaskrawą zielenią młodych traw, czystemi strugami słońca i dalekim przezroczystym błękitem nieba, dni robocze leciały tak, że wszystko było coraz krótsze.

Młodne i miękkie, rześkie i wesołe powietrze wiosenne, podniecało w dzień, a pod wieczór odurzeniem sennem tak „rozbierało", że gdzie kto „zawalił się", tam kamieniem spał do świtu chrapiąc. Ruch gospodarski wzmógł się w Wincowszczyźnie i niby nikła słoninka, zginęła osobowość baby w tym zespole prac różnorodnych, wprzęgających ludzi do ciągłej służby ziemi, zwierzętom, budynkom, ziarnu, narzędziom, które to mozoły wykonywali wszyscy w tem przekonaniu, że sobie, ludziom właśnie, dogadzają i służą.

Nikt najmniejszej nie zwracał na babę uwagi. Stała się już jedną z wielu istot jedzących, śpiących i pracujących; aureola tragizmu została zatarta czasem, który płynął o nic nie dbając, na bajki nie było chwili wolnej, a zamawiań jakoś nikt nie potrzebował. Cóż babie zostawało na pociechę? „Kaczki dy i kaczki, kap ich... nadojedli ony mnie, że nie daj

Ty Boże". pomrukiwała, ściobając witką upartego kaczora, który bezczelnie wykręcał się do niej wiórkiem lśniącego ogonka i kolebiąc się w swych żółtych pantoflach, wyprowadzał posłuszne, kwaczące żony w najdalsze grzędy warzyw, kędy pod pozorem zjadania tłustych ślimaczków całe towarzystwo wyrywało z pulchnej ziemi rostki jarzyn, poczem znów z zaspanemi, niewinnie-obojętnemi minami, ciągnęło sznurkiem w swoje drogi.

Nuda ssać zaczęła babę pod sercem i zielone łopiany nadrzeczne wydawały się jej pętami więzienia. Raz i drugi przebrodziła rzeczkę, nurzając nogi w lodowatej, żółtej jak palony miód, podolchowej wodzie i wgramoliwszy się na wzgórek przysiadała na skraju traktu, nad głębokim rowem pełnym soczystej trawy. Droga płowo-jasna leciała sobie het-het na prawo het-het na lewo. Gdzie sobie chcesz, tam idź... Na lewo biegła między krzaki, grobelki, przez „obojętny" mościk, a potem sadzoną brzozami aleją do parafjalnego miasteczka. Każda stara brzózka szumi teraz młodzińkiemi listkami i pachnie, ach kiedy pachnie... Przysiądziesz idąc, to i poczujesz... A i soku możesz słodkiego napić się z kozubka, co chłopcy stawiają pod pniem... Na prawo trakt zaginał się jak wąż, wsuwał się w las pełen ziół, kwiatów, korzeni „od wszystkiego czego", które właśnie na wiosnę kopać trzeba....

— „Ah darohaż ty, darożeńka, czemuż ty mienia tak ciahniesz", poszeptywała baba, „kusoczka chleba żałujesz" wzdychała myśląc o ciepłym kącie w piekarni, „ci mnie iści, ci tak byci?... Jak iści, to niedola, jak tak byci, to niewola", zaśpiewała sobie, zaciągając głosem rzewliwie, aż zachłystując się dręczącą rozterką.

Człowieczek jakiś cały buro-szary, jak wór kartofli obwisły na drabince wozu, wywlókł się na jasność popołudniowej ciepłej godziny, z obramienia zielonego gaju, leniwym krokiem, nieobliniałego

jeszcze z zimowych kudłów konika, śpiącego w hołoblach, tocząc się po równej drodze. Na widok baby ściągnął lejce gospodarz a Koziulka udał natychmiast, że bierze to za skierowanie go do rowu, kędy wnet długim pyskiem jął garnąć i schrupywać przydrożne sznitki, kwaśne szczawie i słodkie koniczyny, mieląc te przysmaki żółtemi zębiskami spiłowanemi długoletniem żuciem.

— „Niechaj będzi pochwalony... cóż baba, na Szkaplerna idzi, a? Słysze świeckie pieśni, myśle, dziauczyna, aż tu baba okazui się, żebrujesz musi a?" rozpoczął podróżny.

— „Ja u winowszczyźniańskiej pani służa". Odparła baba, z wyżyn miedzy hardo, żgnięta jednak w serce myślą o odpuście.

— „Aha, znaczy się, tu we dworze... aha, ona, słysze, nic sobie obywatelka, tażesz Pani?"

— „Nic sobie... prędka, ale nie można powiedzieć: dobra.... litosna".

— „Aaa... ot możesz by ona mnie co poradziła na moja bieda..."

— „Nu?... a coż takiego"? zaciekawiła się baba.

— „Ot, żonka czegości zachwareła, kacza się po pościeli, gwałtu krzyczy... baby mówio, że u jej śrzodki przewrócili się... niewiem żesz ja... ot zaprzong konia, dy i leca po chwalczera... ale niechcesie... i daleko, i zawsze kilko rubli weźmi pogan ten!"

— „A wiadomo", skwapliwie potwierdziła baba, „ci pieniądzoma, ci tak jemu, kurycu siul, ci pietucha a nie daj Boże co ważnego, to i parsiukiem ledwo obejdziesz się".

Nastało milczenie, brzemienne myślami obecnych, babie serce tłuc się zaczęło w piersiach i oczy zabłysły. Mówić o sobie, że jest znająca, czy nie? Chwalić się nie jest politycznie, a znów okazja taka, jak od Boga dadziona!...

— „Nie wiem żesz ja, co i robić", sennym, znudzonym głosem troszczył się o matkę swych dzieci

chłop, a kosiulka aż postękiwał z rozkosznego napychania się słodkiemi trawami, „szkodaż mnie baby, nadto praworna, tcze pieknie i dzieci letko rodzi... Boże strzeż na jo śmierci... „sam piąty ostanę...“

— „Ajejej, współczuła baba rzewliwie... sam piąty!...

— Znahorki ci tut hdzie niema? — zapalając fajkę toczył dalszą pogwarkę. „Mówili dawniej w Kozłach była?“

— „Nu ot żesz... toż na mnie tak ludzie gadali“, mruknęła baba w dal niby do siebie, zachowując godność.

— „A, mama!“ poruszył się gospodarz. „Drap się na woz, pojedzim! Już ty u mnie królowo staniesz, kiedy poradzisz. Zmiłuj się, nie marudź, a to ona tam biedninka menczy się“ i nagle, dwie małe, błyszczące w słońcu jak srebro łezki, wyprysnęły z sennych, obojętnych oczu i po ciemnawej twarzy spłynęły, świadcząc o wewnętrznej boleści prostego człeka.

— „Musi mnie trzeba iści pytać się, ci zwolni Pani“, wstydliwie i z pewną pretensją wycedziła baba, czując dotkliwe upokorzenie skrępowania służbą.

— „Astaw, toż ja z Kaciuryszek, tylko lasek przejedziesz i moja chata pierwsza... w godzinka wrócim, odwioza nazad, nichto nie obejrzy się....“ perswadował gospodarz, kusząc babę, uznającą i tak wszystkie jego argumenty. Gramoliła się już przez rów i podparta wlazła na wóz, siadając w kucki na mizernem siedzeniu ze słomy.

Wróciła niedługo z pychą triumfu na twarzy, bowiem od gorącej cegły na brzuch i gorczycy na piętach, babie „jak widzisz stało lepiej“. Że tam kaczki wlazły w coś świeżo posianego, a dwa kaczuki zginęły, była to w porównaniu z potęgą leków i czarów, rzecz, doprawdy małej wagi.

Nazajutrz jak świt, porwała się baba i letko nogi rozpuściwszy z pękami ziółek w zanadrzu, zbiegała do Kaciuryszek, gdzie i inne praktyki czynić wypadło. Kto w sobie coś czuł nie w porządku, ten pytaniami zasypywał staruchę, a ta z błogą radością odzyskanego stanowiska odpowiadała, tłumaczyła, radziła. Kilka dni następnych przeszło ni tak ni owak, kaczek pilnowała, owszem, ale pędzała je z miejsca na miejsce, przysiadała, właziła na wzgórek, żegnała się, popłakiwała, i wzdychając, spoglądała na jasną, równą drogę, która ciągnęła... ciągnęła!...

Przeszło tak czasu niewiele, aż jakiejś soboty, o zmroku, kiedy pani Peleczka wybierała w apteczce proporcje do jutrzejszego torciku, wlazła tam okutana i przygarbiona baba, chwaląc Boga i całując rozgłośnie rękaw swej dobrodziejki.

Poczem taka się między niemi odbyła rozmowa:

— „Cóż powiesz dobrego", rzekła pani Peleczka, mrucząc ciszej, „cynamonu do smaku i skórki pomarańczowej aha, cóż zrobisz kiedy niema?... Jakże babka ma się?"

— „Nic sobie, żyjen jakkolwiek, z łaski najjaśniejszej Pani, *kab Boh dau zdarowja i szczaścia*", odrzekła baba, szturchnąwszy znów nosem pani Peleczki rękaw, fruwający od szafy buchającej zapachami „korzeni", do wag ze lśniącej miedzi, kędy stały ciężarki na jednej blaszce, a kolebały się duże jajka na drugiej.

— „Aha, nu, to cóż, nie ma tobie tu krzywdy?... hm... trzy kubki przesianej mąki... przesianej, to przesianej, ale jakie kubki?... Czysta facecja... Kubek żesz kubkowi nie równy... nu walaj ten z kogutkiem, musi być podchodząca miara... Tak cóż babka chcesz? Dam drożdży nie żałując, to nie powinno być zakalca... Cóż babka masz za interes?"...

— „Nic, tak ja sobie do Pani przyszła... znaczy się... podziękować za chleb, za sól... żeb Pan Bóg

najwyższy wynagrodził, dziakuju Paniczka", chlipnęła baba.

Pani Peleczka odwróciła twarz od wag i ingredjencyj i lśniące swe srogie oczy wbiła w skuloną babę, podpierającą okuty uszak apteczki.

— „I czegoż płaczesz, czy ja ciebie pędzę? Najdzi się chleba jeszcze w Wincowszczyźnie dla ciebie, żebrować nie będziesz, nie lękaj się, czegoż tak rozżaliła sie, a?"

— „Paniczka, matyńka, pajdu ja uże za swaju dołu... ci mnie życcie u dware? Nia przywykszy i z raboto takuju szparku nia uśpieju i tak"...

— „Nie już ty chcesz przepraszając, durna, ze wszystkiem odchodzić?" wrzasnęła pani Peleczka, której na bladą twarz wystąpiła łuna rumieńca aż po czoło. Czysta facecja, jak Boga kocham, ja jej tutaj... a ona... chyba i u Pana Boga za piecem tobie lepiej nie będzie? Co tobie? Zgrubijanił kto, czy tak fanaberje jakieś przystąpiły?"

— „Nichto nic nie powiedział, dobra mnie jak u raju... ale pajdu... Paniczka nie kryczy, pajdu, niechaj tobie Boh"...

— „To dla czegoż chcesz iść na biedę, na żebry, fiksatka!" trzęsła babę głosem, rozgniewana dziedziczka Wincowszczyzny.

— „Paniczka, nie mahu... ja za hetami kaczkami światа nie wiżu, siedź z jemi dy i lataj po tej zieleninie, po łopianach... cały dzień do człowieka nie zagadawszy... to już niechaj mnie Pani odpuska... pajdu pierеd siabie"...

— „Na łańcuchu ja ciebie trzymam czy co? oschłym, zimnym głosem odpychała ją od siebie pani Peleczka, głęboko dotknięta, że ktoś z jej miłej Wincowszczyzny chciał odchodzić, „kontraktu my z sobą nie robili... choć sobie i dziś zabieraj się won i idź... Żeby komu opowiedzieć, nie uwierzyłby!... Paryżów musi babie zachciało się... świata, mówi, za

kaczkami!... dawno takiej facecji nie słyszałam!... śmiech, prosto śmiech"...

— „Nie gniewaj się Paniczka na mnie... wiadomo durnaż ja" potakiwała z przekonaniem baba.

— „No już nie mogę poświadczyć, że rozumna... szkoda mnie ciebie, że znów na horę, na biedę idziesz"... spoglądając litościwie na skurczoną postać, łagodniała pani Peleczka „zachodź sobie kiedy chcesz, zakąsić, przenocować... Cóż, czyż pójdziesz?" nie wierzyła jeszcze.

— „Pajdu Paniczka... niewiem, możesz mienia chto tak zrabiu, ci taka u mnie przyrodzennia... ale ot hety darohi ciahnuć dy i ciahnut u świet... pajdu"...

I poszła.

ŚNIŁ SEN...

Wielkanoc tak się nazywa na cześć nocy Zmartwychstania Pańskiego, po której nastąpił triumfalny świt nowego żywota i dzień wesoły, oczekiwany od wieków. Ludzie jednak, więcej niż o nocy, o dniu tym pamiętają i przez długie tygodnie postu przygotowują się doń, a bijąc się kwitnącemi gałązkami pachnącej miodem wierzbiny, wołają: „wierzba bije, nie ja biję, za tydzień, wielki dzień"!

I nadchodzi ten wielki dzień nowej wiosny, dzień przygotowany trudem kuchennym, postem, pokutą i łaźnią, aż człek oczyszczon na duszy i ciele, wewnątrz i zewnątrz gotowy, przystępuje do objaty jadła i napoju, nieświadomie łącząc pogański kult doczesnych szczęśliwości i niebiańskich rozkoszy, odczuwanych przez ogół głównie podniebieniem.

Stało się raz tak, w jednym dworze, że niejakiemu człeczynie mizernemu dał dobry Bóg noc taką, iż do końca życia nazywał ją szczerze wielką, bowiem była dlań obfita w zdarzenia miłe i przerażające zarazem. a tak przechodzące zakres jego zwykłego życia, że mawiał o nich potem: „śnił ja raz sen, uuuch senże, sen!".

Autonomiczne państewko dworu Hrynkiskiego, na czas przedświąteczny, czyli na cztery dni, poświęcone przyrządzaniu nieprawdopodobnej ilości jadła, ogłasza-

jo dyktaturę kucharza, starego Szymona, który z pewną dumą wspominał, że jako poddany i kuchta książęcego dworu Radziwiłłów brał w skórę od kamerdynera „chrancuza", co z Napoleonem przyszedł na Litwę. Czasami nawet gdy mu się ekstrafajn udały lody owocowe lub pasztet z jemiołuszek, opowiadał, że jak przez mgłę pamięta i przemarsz chrancuzów, ale bliższe badania wykazały, że wiadomości te od dziada swego otrzymawszy, za swoje przybrał, w dobrej wierze. Ten to historyczny filar wszelkich tradycyj dworskich, na kilkanaście mil wkoło, obejmował w despotyczne panowanie pałac folwark, kurniki i chlewy, ba, nawet właściwie lasy i knieje, bo leśnicy mieli z nim niejedne „pierepałki", gdy mu w porę nie dostarczali głuszców, cietrzewi i słonek. Od rana do późnej nocy, odziany w nieskalaną biel pikowej kurtki i szlafmycy, o którą co rano było piekło, że nie dość pięknie zaprasowana, tańcował wedle własnego wyrażenia, po swej obszernej kuchni pastwiąc się nad całem stadem dziewcząt, biegających i potrącających się w błędnem przerażeniu, miotał gromkie rozkazy paru popychadłom męskiego rodzaju, w słupy przerażenia zamieniał wyrostków, przystawionych do kręcenia ciężkich ciast, rąbania drzewa, szczepania łuczyw i wogóle na tkwienie pod ręką, na wszelkie posyłki piesze i konne do miasteczka. Państwo schodzili na plan drugi; po naradzie z panią dziedziczką, jakie mają być ciasta i mięsiwa, Szymon wymrukiwał w przestrzeń, pełen znaczenia frazes: „Żeb mnie tylko nikt do mojej kuchni nie wtrancał sie"... i domowi wiedzieli, co to znaczy!

Nie było upokorzenia, aż do przyjęcia z uśmiechem propozycji przypasania ścierki, którego by dzieci nie zniosły, byle móc się wcisnąć w tę kuchnię, pachnącą szynką, szafranem, tłustością i wanilją, smolnem drzewem i potem ludzkim, pełną gwaru, żartów, wesołości i ruchów skomplikowanych, jak kręcenie się kółek zegarka. Z wielkim trudem, opłacona łzami i zaklinaniem

na życzliwość od urodzenia, wymodlona, zastrzeżona groźbą, że niczego nie tkną, spływała wreszcie na nic łaska zezwolenia! Zapchane w kąt „szlabana", pomalowanego na żółto, między stołem i oknem, mogły tam używać najwyższej rozkoszy postawienia na swojem, oraz łuszczenia migdałów i przebierania rodzynek, których dziwnie zmniejszająca się przy tej kombinacji ilość, groziła nieudaniem mazurków lub babek.

Powoli z pieców, kaszlących nieustannym, czerwonym ogniem, podsycanym polanami, pieczołowicie wysuszanemi od tygodni, wyjeżdżały mięsiwa: szynka, zapiekana w chlebie razowym, z pękającą skorupą ciasta, wylewająca tak cudne wonie, że psy zaczynały skomleć za drzwiami, a ludzie wzdychali nabożnie, dziękując dobremu Bogu, że tak pozwolił wyrosnąć żywiołce. „Ot żesz kaban był... jak koń!", szeptano, a Szymon wyrażał od niechcenia uznanie ochmistrzyni, słowami: „a nic sobie parsiuczek", co tę codzienną ofiarę jego kaprysów wprawiało w lube zdumienie. Wynoszono cielęce pieczenie i kiełbasy, milutkiego parsiuczka złotego i przykucniętego na łapkach, nadziewanego śliwkami indyka, który zdawał się jeszcze po śmierci panoszyć nad innemi, zwierzynę i głowę świńską, uśmiechniętą ironicznie i dobrodusznie zarazem, spoglądającą przymrużonemi ślepiami na te zabiegi ludzkie. Kucharz z namaszczeniem kosztował wszystkiego i wnet spluwał z obrzydzeniem „jako, że post". Poczem zaczynała się epoka ciast i tu wzruszenia obecnych dosięgały szczytu.

Był taki moment, kiedy one stały na stołach i podchodziły, ogarnięte przetłuszczonym papierem, rosły i puszyły się w miedzianych rondlach, liczących półtora wieku służby w rodzinie. Wtedy, biada intruzowi, który ośmielił się nos wsunąć w to sanktuarjum. Witał go ryk kucharza i chór dziewic, wołających: „Zakalec! Zakalec!" przyczem Szymon porywał koczerhę i zasiadał na ławie, koło babek, mówiąc z pasją: „Musi ja tych babów dziś pozabijam, ciąg robio, latajo po kuchni,

aż podłoga skacze, dek ci ja będa winny, jak będzi zakalec, nu ci ja?".

Każdy głośno przyznawał, że w żadnym razie nie on, poczem następowały dziwne obrzędy z piecem, wymiatanym nową pomiołą, z którą gruba Agata lazła prawie w gorące czeluści, by ani pylinki nie zostawić węgla lub popiołu, mogącego ściemić powierzchnię bab. Niesiono z zapartym oddechem ciasta: dziewczęta potniały z trwogi, by nie potknąć się i rezultatu tylu trudów nie strząsnąć, nie naderwać, oddechem nie skazić. Ustawiano je i posuwano ruchami motylej lekkości w głęb wielkiej paszczy chlebowego pieca, zastawiano zasuwę i cała kuchnia zapadała w kataleptyczne milczenie i bezruch.

Misterjum dokonywania się dzieła odbywało się tam!...

Jeśli zaś która dziewczyna, mniej przejęta ważnością chwili, wyciągnęła cieniutko i żałośnie pieśń wielko-postną „Zasłona się popadała, ziemia się rwie, ryczy skała" wnet spiorunowana władczem spojrzeniem tyrana kuchennego, milkła, przerażona. Otwierano po jakimś czasie piec. Szymon zanurzał się z patykiem w ręku w ciepłą czeluść i wychybnąwszy z niej, probował palcem i smakował koniec drewienka, stawiając oczy w słup. „Gotowe", wywrzaskiwał triumfalnie i na poduszki wysuwano babska: „petinetowe, żółtkowe, piankowe". „Uważaj, jak ty ich bierzesz", wołał Szymon do pomocnic, te zaś zapewniały, że i rodzonych dzieci nie mogłyby delikatniej niańczyć.

Wreszcie robiono mdlejącemi rękami lukry i przybrania a dzieci rozpalone od żaru kuchennego i przedświątecznego podniecenia, szły do mokrego, zimnego lasu po zieleninę: jagodnik i widłaki, które wydzierały z pod spleśniałych liści i resztek podziurawionego śniegu. Potem ustawiano wreszcie w oszklonej „orańdzie", na najpiękniejszym, herbowym obrusie święcone, i w każdą rzecz do jedzenia przygotowaną wtykano zie-

loną gałązkę. Wtedy wreszcie następowała chwila wytchnienia, zachwytu, zawieszenie wszelkich funkcyj życiowych, spoczęcie na laurach i upojenie zwycięzców.

Nazajutrz naturalnie, zwykłym porządkiem rzeczy, przyjeżdżali goście, był wesoły gwar i zjadano ile się tylko dało z tych prac, niszcząc ich architekturę i rujnując kształty babek, tortów i placków, nazajutrz robiono to samo, i jeśli starczyło, na trzeci dzień także. Do tych prac tytanicznych trzeba było rąk i nóg bez liku.

Owej wiosny, jednem z popychadeł w kuchni, stał się niemrawy wyrostek, „panieński syn", zamężnej Marceli Kozłowskiej, cierpiany jako tako przez ojczyma, nielubiany przez matkę, trochę jąkała, trochę krzywy, „wiadomo, bez porządku dziecko urodzone". Nikt go nie dręczył i nikt nie dbał o niego, ta półświadoma swego człowieczeństwa duszyczka, nie odczuwała ani krzywdy, ani życzliwości. Chodził sobie latem za krowiemi ogonami, senny i rozmarzony wonnem powietrzem łąk, z trudem wiążąc w jakiś sens, czy porządek logiczny, tych trochę myśli, które się przesuwały po jego mózgu, jak topniejące chmurki po niebie. Na ludzi wybałuszał siwe oczy z pod nigdy nie czesanej płowej czupryny, i uzyskiwał sobie miano „rozdziawiaki" za nieustannie leniwie półotwartą, różową gębulę. Z przyczyn bliżej niezbadanych, matka dała mu niezwykłe imię Klaudjusz, a to miano dumnych cezarów, narzucone białoruskiemu pacholęciu, zostało przystosowane do codziennego użytku autochtonów w brzmieniu Klawdzia. Stan posiadania Klawdzi, redukował się do dwóch koszul i jednej pary nogawic, oraz burnusika z samodziału i czapki futrzanej, spadającej do pół twarzy, skutek czego Klawdzia stale zadzierał głowę i robił wrażenie liczącego w biały dzień gwiazdy. O ile nie nosił łapci własnej roboty, to wkładał z dumą resztki matczynych butów i wydźwigiwał je z wielkim trudem z błota. Całego kawałka nikt na nim nigdy nie widział, miał też talent wyglądania brudno i „zasmarkano", nawet na-

zajutrz po łaźni, gdzie mu przecie nie żałowano winnika z brzozowych prętów.

Otóż owych świąt, Klawdzia został dopuszczony do kuchni w celu użycia go do najpodrzędniejszych funkcyj oczywiście. Jednakże kto wie?... Gdyby był okazał jakie wybitne zdolności, kto wie jak wysoko by go los zawiódł? Ale on nieboże, nie odczuł uśmiechu fortuny i zaraz na początku swej karjery, skompromitował się doszczętnie, wycierając nos w palce, opodal stolnicy z podsychającemi plackami.

Tak haniebna obrzydliwość, której doniosłości nie odczuwał wcale, wywołała oburzenie obecnych i kucharz obwieścił całemu światu, że „taka hadość ani minuty dłużej tu nie zostanie".

Ochmistrzyni użalała się nad losem matki takiego „pajszkudztwa i że błaźniuk rozpuszczony ze wszystkiem jako że, wiadomo, z pod płotu, urodzeniem niegodny przestępować pańskie progi". W rezultacie, Klawdzia zasiadł na schodkach kuchennych, wychodzących na ogród z miną nie tyle Adama wygnanego z raju, co biednego psiaka odpędzonego od miski, ale że mu z litości dano pół śledzia i kawałek „pańskiego" chleba, pocieszył się narazie, i w towarzystwie kundli podwórzowych pojadł sobie, pociągając nosem, łechtanym zapachami nieznanej smakowitości.

Widziane dopiero co rzeczy marzyły mu się trochę bajkowo, niesamowicie i mieszały ze wspomnieniami jakichś kiedyś chrzcin, na których go spoili, aż wyprawiał ku uciesze gości niemożliwe brewerje i spał potem jak kamień.

Wieczorem dnia następnego, cały dwór hrynkiski pogrążył się w ciężkim śnie, już o godzinie dziesiątej; po dwudziestogodzinnem objadaniu się prawie bez przerwy. Nikt nie mógł się ruszać. Jedli wszyscy, w każdym domu, ile tylko zmieścili i więcej jeszcze.

Teraz zato spali literalnie pokotem, jak zarznięci, zmordowani postem, pracą, nabożeństwem, jedzeniem i piciem, spali domowi i goście, młodzi i starzy,

spały nawet wyjątkowo obficie nakarmione psy. Dwa złe ogary, nocne stróże, mieszańce newfunlandów z miejscowemi pokurciami, olbrzymie bestje, zdolne zagryźć wilka i zatrzymać wrzaskiem parę koni w biegu, postrach całej okolicy, Tur i Frika, czarne, z biało-buremi kamizelkami psiska, człapały tu i ówdzie z obowiązku, ciężko kłusując przez krzaki i klomby, koło węgłów domu i nasłuchując, czy jaki obcy pies nie wkracza w ich państwo?

W mdłym półzmroku ukazującego się wśród chmur księżyca, pomiędzy wielkiemi, cichemi budynkami, sunęła drobna postać, z trudnością dźwigająca na sobie ogromny kożuch i siedmiomilowe buciska. W tej skorupie kołatała się, jak wyschły orzeszek w zbyt dużej łupinie, figurka Klawdzi. Na tym głupim bąku spoczywało całe bezpieczeństwo dużego dworu... prawda, że były jeszcze groźny Tur i zajadła Frika. Nie robiły one chłopcu nic złego, i były mu jedyną otuchą w tę noc wiosenną, ziejącą surowym chłodem, bowiem był z niemi w odwiecznej przyjaźni, karmił je chlebem zbieranym gdzie się dało, i często stale zasmarkaną gębulę zmywały mu jęzorami, a on grzał bose, zsiniałe nożyska w ich puszystych kudłach, siadając sobie w wietrzne wieczory, one koło swych bud, on opodal na kłodeczce drzewa na trzaśniku, gdzie wyszukiwał sęków i gałęzi do strugania. I teraz, baraszkując, nadlatywały ku niemu z głębin ciemnego ogrodu, głucho warcząc, przelewającym się w gardle głosem, ciężkiemi susami, aż ziemia jęczała. Dopadały Klawdzi, przewracały go prawie, szturchały mokremi, ziejącemi śliną i mokrą ziemią pyskami, tarmosiły życzliwie za kożuch i po tem, jakby zameldowaniu, że nic się nie dzieje i on może być spokojny, rzucały się znów w przestrzeń z warkotem, szalejąc z uzyskanej na nocne godziny wolności.

Gdyby nie psiuki, nigdy by Klawdzia nie przyjął propozycji Purłana, jednookiego stróża, tak zarośniętego kudłami, jak stary niedźwiedź i równie burk-

liwego, przytem ziewającego stale z niewyspania paszczą o czarnych od machorki zębiskach. Klawdzia bał się go narówni z bezpośrednim swym władcą, pastuchem Wojcikjanem, chłopem wysokim, chudym i zamyślonym, małomównym i podejrzywanym o to, że **„cości zna“**, gdyż umiał zamawiać choroby bydlęce, a nawet wściekliznę i ukąszenie gadu wszelakiego. Gdy więc w on dzień, na podwieczerzu, przystąpił doń ów dygnitarz, nocny stróż całego dworu, i zaproponował 10 kopiejek srebrem za pilnowanie **troszeczkę,** nim on z kompanją skończy jeść kolację, Klawdzia nie oponował; wlazł w kożuch i w buty, jak mucha w beczkę i w pocie czoła zaczął się wałęsać po cichym, uśpionym dworze. Rychło zmiarkował, że na zmianę warty nie trzeba liczyć, bowiem ani się mógł dostukać do zamkniętych drzwi i okna stancji Purłanów. Po libacji i posiłku można ich było żywcem połknąć i nawet by nie poczuli. Malec przyjął więc filozoficznie na swe kilkunastoletnie barki ciężar dygnitarski i obowązki, z których sobie zdawał sprawę. Wiedział, że trzeba chodzić po dworze, a jak się bardzo spać zechce, to można zasnąć na ganku oficyny, na schodkach od kuchni, albo na pomoście gumna, gdzie zawsze leżała przygotowana na ten cel wiązeczka pachnącego siana. Jakoś taka była niepojęta umowa między stróżem, a Panem Bogiem, że właśnie nic się wtedy stać nie mogło. Zresztą były to czasy przedwojenne i wtedy się wogóle nic nie działo.

Klawdzia więc pełzał, przysiadał, zadrzemywał, ziewał i gwizdał, to mu robiło specjalną przyjemność. Ostrym, świdrującym piskiem dawał znać pod oknami rządcy i ekonoma, koło sypialni państwa i kredensu o swej czujnej obecności. Że przytem żywił na dnie niewinnej duszyczki niesformułowane przeświadczenie, iż właśnie ta gwizdawka odpędza złodziei i złych ludzi, bo jest *naszeptana i zamaulana,* więc bez trwogi wędrował po olbrzymiem przestworzu,

właśnie jak mała łódka po oceanie, lub Tomcio Paluch po krainie baśni.

Wielkie drzewa starych alei szumiały mu nad głowiną pieśni senne i smętne, w których była jeszcze zgroza zimowych miesięcy i wątła nadzieja wiosny. Wiatr pachniał ślicznie, niosąc zdaleka obietnicę kwiatów, oraz wonie nikłe, nieśmiałe jak szepty, subtelne jak myśl ulotna, miodne już, a jakby dopiero odmarzające, jakby odetknięte, puste, zwietrzałe flakony na gotowalni wiosny, przystrajającej się do nowej fety. Młodziutkie listki były tak jeszcze wątłe, że nie mogły wydać głosu i tłumiły tylko swym miękkim, zgniecionym jedwabiem szczękliwy szelest twardych, nagich gałęzi. Ziemia mocowała się w sobie, nabrzmiewając pokarmem, jak pierś rodzącej matki, aż szły poprzez dalekie pola i łąki, wskroś ogrodowych altan i alei, jakieś głuche stękania, kędy w cieniach gąszczów zamróz popuszczał glebę z kleszczy, lub wody rozpętane przenikliwemi promieniami słońca parły się najaw ze stężałych głębin.

Wdali, w parowie, skąd wyraźnie za oddechem wiatru, zalatywała woń fiołków i miodu, gaworzyła kryształowemi zgłoskami rzeczułka, wieczna pośpieszka-śmieszka, niosąca się przez okolicę z plotkami, gawędą, burkotem, kłócąca się z głazami, zagradzającemi jej pęd opętany, niosąca gałęzie i wikliny, z wiecznie pilnym interesem do zamyślonego, siwego jeziora, spoglądającego na wesołkę okiem uśmiechniętego błękitu w dni słoneczne. Klawdzi się zdawało, że w nocy rzeczka gada tak wyraźnie... tak coś opowiada, napędza, woła... że tylko pójść posłuchać... Ale darmo zlazł na sam brzeg i wstrzymywał oddech w piersi, o mało butów na amen nie pogubił w bagnie i „takim samym durniem wrócił się", jak sam sobie przyznał. Nic nie pojął i nie zrozumiał.

W jakiejś godzinie niewiadomej, ale późnej przysiadł na ganku wielkiego dworu i mając koło siebie oba wielkie psy dyszące, z ociekającemi ze zmęcze-

nia pyskami, poczuł nagle w swej pierwotnej duszyczce ogrom świata...

Jak wielki, nocny potwór, czyhający oddawna koło niego niewidzialnie, spadła nań zmora strachu i przygniatające wrażenie samotności. Dopiero w tym momencie, poczuł i zrozumiał, jak malutką jest kruszyną, samotną, bezradną, głupią i opuszczoną, a jak ogromnym jest dwór z jego licznymi i tak różnymi mieszkańcami, jak olbrzymim jest w dali szumiący bór, jak nieskończenie dalekie jest niebo i ile w tem wszystkiem czai się niepojętego przerażenia... Zaczął się bać do szpiku kości, do najgłębszej swej świadomości, skulił w kożuch i trząsł się cały, skamląc ze strachu i myśląc, gdzie się skryć, gdzie uciec przed tem czemś niezrozumiałem, okropnem, co lazło ku niemu zewsząd, było koło niego, nad nim i niemal ogarniało go, jak woda ogarnia topielca.

Wytknąwszy koniec zziębniętego nosa i brzeg oka, dojrzał tuż przemykający, aksamitny lot nietoperzy, goniących się z cichym piskiem. W parku puhacz zaczął wabić sowę, zaśmiewając się spazmatycznie szatańskim chichotem... Gorące łzy puściły się ciężkiemi, szybkiemi kroplami z oczu Klawdzi i toczyły się jedna za drugą po zlodowaciałej gębuli. „Ot i czort nauśmiecha się w gaju, czysto jak dziecko płaczy teraz... kusi znaczy się" medytował, czując się oddany mocom ziemskim, piekielnym i niebieskim, z których każda była niepojęta i groźna, „a możesz to krumkacz", uspakajał się rozsądkiem obytego z naturą chłopca... „pacy latajo po lufcie", opowiadał sobie dalej dla dodania odwagi, słysząc głuche tupoty nad głową, „musi ichnie wesele teraz, bo i szczurynym czadem oddaje... ot żesz kuota niema... dałby i mdychtu... trzeba przynieść srokatego kaciuczka od mamy, a to pacy paskudztwa, jajik hołuboczku wypijuć"... jako też istotnie słychać było na poddaszu domu, jakieś trzepotania skrzydeł, burzliwe gruchania i łoskoty. W cieniach nocy toczyła się od-

wieczna walka o byt dla siebie i rodzin. „Ot nudno stało na serdcu", zapłakał, znów, „kap jon skis ten Purłan, jak on mienia zrabiu... ot markotno, uot nudno... jeści kce się, uoni wszystkie, takije zahrebuszcze, mienia ani da miski nia padpuścili... i cztoż ja zjeu? Niczeho nia zjeu... tylko że liznoł..." żalił się dalej, pobekując i czując istotną czczość w przyschłej brzuszynie, od której szło jakieś bolesne odrętwienie nie dające mu wstać z miejsca, gdzie senny i zwątlały cupnął jak kopka siana.

Wtedy właśnie zaczęły się dziać dziwy, szeroko i długo komentowane potem wśród dworni i tak rozmaicie, że nigdy Klawdzia nie mógł zrozumieć za czyją sprawą, w ową noc niesamowitą, zwierzęta wyprawiały niezwykłe harce, a psy zaprowadziły go do zaklętego miejsca. Bo czyż to swoją mocą, widząc jak węszą i drapią w niedomknięte okno orandy, skomląc i drżąc z niecierpliwości, on, zasmarkany Klawdzia. ośmielił się otworzyć tę wielką, lśniącą szybę, wsunąć do zaklętej sali przepojonej zapachami jadła i wina, które go upoiły, zanim nawet tknął czegoś?

Czyżby miał na jawie odwagę sięgnąć i brać kolejno z wszystkich półmisków, ładując mizerną brzuszynę tak niezmierną ilością mięsiw i ciast, że mu oczy na wierzch wychodziły i dławiło się gardło, niezdolne łykać tak szybko tylu wyborności, nieznanych i nigdy nie kosztowanych?

Czyż niebyło to jak w bajce, że Tur, przysiągłby że widział to na własne oczy, rzucił się z łapami na głowę świntucha i wojował z nią, szarpiąc, a ona mu się odgryzała. zgrzytając zębami „jak czort"?

Śnił czy nie śnił, że Frika siadła do stołu jak ważna gospodyni i zapraszała go do jadła, pokazując łapą co najlepsze?

Było czy nie było, że szczuryne wesele tańcowało po stole, maczając ogony w sosach, a wielkie, bezczelne pace, nie bojące się niczego, piły z butelek,

ruszając wąsami, jak zakrystjan z miasteczka, po udanym feście?

On czy nie on, siedział rozparty, jak pan i rozkazywał kundlom, a one służyły mu jak lokaje?

Jedno pozostało mu w pamięci, przytępionej 24 godzinnym snem w odrynie, kędy go odkopano o zmroku następnego dnia i mając za umarłego kaczano dla pewności na ręcznikach. Wiedział, odurniałym wzrokiem spoglądając na ten dziwny świat wspomnień, że wtedy... we troje... brali, rwali, zatapiali zęby w coraz to inne, niewidzialne w ciemności rzeczy, cudowne i niedoznane, mlaskali, smakowali, i jedli... jedli... jedli...

BRZOZA - BLIŹNIACZKA.

Pamiętam ten dworek i ten mająteczek, co to psiuk na cudzej miedzy już ogon kładzie jak się położy. Jakieś... iszki czy... iszeczki, między borami i błotami, wedle wyboistej drogi, z niewysychającem błotem w obrosłych trawą koleinach, pokręcone wiatrami stare już drzewa „fruktowe", zdziczałe agresty i poprzeczki koło ulików szarych, przysiadłych w zielsku, a pełnych złotej patoki. Dom, wiadomo, z ganeczkiem, oszklonym, a jakże, i pełnym flanców w wazonach: geranja, aloesy, fikusy, róże, balsaminy i inpasjan o karmazynowych oczkach, a między niemi żółte ogórki, nasienniki, rumianek i kwiat lipowy na stoliku ku słońcu i słoik z pijawkami.

Na lewo salonik z parkietem i fortepianem, oboje nadwerężone nogami i rękami kilku pokoleń co się tu bawiły, śpiewały i tańczyły, a rodziły się na prawo, w tych bokoweczkach, sypialniach, do których się od jadalki wchodziło. Ślady kultury, jak echa niknące w szarzyźnie codzienności: tu litografja kolorowa Wilczyńskiego, tam sztych, portret Napoleona w czeczotkowych ramach. Mahoniowe biurko bez zamków i w jesionowej szafce wydawnictwa z epoki uniwersyteckiej Wilna, trochę Orzeszkowej, Sienkiewiczowska trylogja i kilka tomów Bibljoteki Dzieł Wyboro-

wych wraz z poszytemi odcinkami pism codziennych.

Koło dworku, pomiędzy klombami astrów i georginij, a prześliczną, długą aleją lipową, pląsały zawsze gromady hałaśliwych, radośnych dzieci. Zawsze jakoś widziało się je niby młode faunięta z rękawami i ustami pełnemi owoców, jagód, ziół. W każdej porze lata i jesieni biegały ich chyże nogi, a chciwe ręce rwały z łona matki-ziemi słodycz łakoci z drzew, krzewów i przyziemnych trawek. Rosły wśród tych darów i z nich czerpały swą żywotność, blask swych oczu i uśmiech radośnych, łakomych ust. Ogród las, łąka, hodowały te dzieci, drzewa, krzewy i kwiaty poiły je i karmiły, przelewając w nie swe soki i łącząc dzieci ludzkie, wyrastające ze związku rodziców, z niezliczonym tłumem istot rodzących się koło nich z innych związków, braterstwem krwi, miodu, soku, które w nie przechodziły.

To też dzieci miały oczy jak kwiaty lub gwiazdy, jak len włosy, jak jabłka policzki, smukło rosły jak topolki, jak brzózki, pędziły jak konie, chlapały się w błocie jak świnki, głodne bywały jak psy i wilki, dokazywały i upierały się jak kozy, bywały głupie jak gęsi lub chytre jak lis, spały jak kamienie.

Dom, ogród, łąka, pola i las dały im wszystko, co tylko umiały z nich wziąć i nieświadomie zawarły z całą otaczającą przyrodą, która je wyhodowała na równi z matką, związek nieświadomy, pokrewieństwo głębsze nawet niż uczucie serdecznego przywiązania do miejsc, kędy się lube spędziło dzieciństwo.

Był taki zwyczaj w tej rodzinie oddawna, że sadzono nad stawem, koło rzeczki, drzewa na urodzenie każdego dziecka. Były do tego przywiązane przesądy, że to ma żółknąć czy wyschnąć w razie choroby lub śmierci. Ale niezawsze się sprawdzało: rosły tam w altanę blisko stuletnie lipy dziaduniów, co dawno pomarli, a znów młodziutki, gęsty, zielenił się świerk stryjaszka, odrodzony niezbyt dawno po spalonym od pioruna starym rówieśniku. Prawda, że

w tym jakoś czasie stryj miał niebezpieczny wypadek z bronią, który go mało kaleką nie zrobił, ale przecież żył i zdrowiem się cieszył, a jego nowy świerk rósł sobie pięknie. Jednak opowiadano o jakiejś ciotce, której topola uschła przed jej śmiercią, o drzewinkach małych, zmarłych dzieciątek w rodzinie, które się nie chciały przyjąć, one na świecie, a drzewka w gaiku.

Tak tam, jeden wierzył, inny się wyśmiewał, ale zwyczaj trwał i czasami, wrażliwsi spoglądali na rodzinne drzewa, jak też się hodują? Czy wesoło rosną, czy bujnie. I jeśli tak, cieszono się i pyszniono.

Całe to obejście, drzewa i ludzie, przebyli wojnę nie gorzej i nie lepiej jak tysiące miejsc w koło. Ktoś tam umarł, jakieś drzewo wycięto, dom trochę zrujnowano, rodzinę rozproszono. A potem znów się poodnajdywali, zjechali, porozumieli; jedni zostali i zaczęli po staremu żyć w ścisłem porozumieniu z otaczającą przyrodą, ssać z niej siły i zdrowie, inni poszli szukać swych dróg w labiryncie wielkich miast, a gdy byli zmęczeni lub zmylili drogę, wracali pod dach rodzinny i konary altany, by rozejrzeć się w sobie lub jakieś nieporozumienia życiowe przeczekać.

Wszystko to było najzwyklejsze w świecie.

Jeszcze raz trzeba było opuścić dom i drzewa ogrodu, bo znów szła fala wojny, przed którą rzeczy najbliższe, najserdeczniejsze nie mogły obronić. I jakoś tak się złożyło, że jednym żołnierzem idącym z tego osiedla w bój był smukły, jasnowłosy chłopak, brat trzech sióstr, jedyny matki wdowy. Przed wyjazdem poszedł z niemi do drzew — rówieśników. Były tu cztery brzozy, jego najwyższa, najbujniejsza, chwiała na wietrze jasno-zielone liście i zamiatała błękitne powietrze pasmami rozplecionych warkoczy.

„Doskonale" rzekł młody żołnierz - ochotnik „wrócę zdrów, patrzcie jakie moje drzewko wesołe, wrócimy wszyscy szczęśliwie".

„Wrócimy szczęśliwie", zaświergotały siostry,

jak ptaki i objęły pnie białych brzóz, same białe i jasnowłose. A brat przytulił głowę do swojej rówieśnicy i słuchał, jak cicho, cicho płyną w niej ku górze soki z korzeni, tak samo jak w nim tętniło serce z miłości do tej ziemi, z ochoty do bronienia jej, bo była jego własną, bo z niej wyrósł. Tak przez brzozę i serce młodego żołnierza przepływała ta sama tajemnicza, słodka moc życia, we wspólnej harmonji urobiona, rozwinięta i pędząca ku górze: myśli chłopca i wiotkie gałęzie brzozy. A potem to było tak: matka mi to opowiadała.

„Nie wiedzieli, gdzie zginął proszę pani" — ofenzywa szła bardzo szybko. Zwyciężali nasi. Choć to, choć to miał nieboszczyk, że wiedział, że już na tę stronę się przechyliło, że nie w rozpaczy ginął... a może to gorzej było, ciężej umierać... nie, chyba, że lżej... tylko matce nić nie lżej, a wszystko ciężej...

Nie, ot jak człowiek nic nie może powiedzieć, żeby zupełnie była prawda, i to nie tak. Jak już powiedzieli, że jego niema że na pewno nie znajdzie się, że nie w niewoli, ale zabity, jak odpłakaliśmy i wymodlili za niego jedna myśl została: znaleźć ciało. Niechże u siebie leży. niechże kości jego nie poniewierają się w obcej stronie... tak, ja wiem, wszystko to Ojczyzna, i nie za swoją tylko parafję on poszedł ginąć, ale chciałam mieć jego blisko. Zawsze on dom kochał, te tam, drzewa i kwiaty, niechże one i na jego grobie, niech ja nad jego mogiłą modlić się mogę, niech ja wnukom pokażę że tu... w obronie kraju poległy...

I jak myślałam gdzie jego pochowam, to raptem żal serce ścisnął nowy i pretensja jakby: ot brzózka jego nie ostrzegła, nie pokazała... śmieszne przesądy... drzewo i koniec. Tam go i pochowam. Jak znajdę. Ale tu zaczęła się wielka męka. Ludzie pomagali, owszem, ale potem znudziło ich. Perswadowali że nic się nie da zrobić. Nikt nie wie, nie pamięta.

To nie wojna w okopach, według planu mówili, kto tam pamiętał, lecieli w jedną stronę, bo ich gnali, potem znów w tę, bo oni pędzili precz z kraju wrogów.

Zamieszanie takie, małe potyczki, różne małe miejsca nieznane, zapadłe. Ale matka nie może tak dziecka zostawić, opuścić. Szukałam, pytałam bez ustanku. Najmowałam furmanki, a czasami piechotą i każdą zda się opytałam mogiłę. I wołałam po nocach, płacząc z głębi umęczonego serca do syna, pytając, gdzież jest? Że niech da znak jakiś, niech we śnie wskaże, niech za rękę matkę do siebie zaprowadzi, niech jej nogi nieszczęsne prowadzi do swej mogiły. Wszystką radość i szczęście życia oddałam i czyż tej małej, tej ostatniej łaski nie otrzymam? Życie dać za Ojczyznę, piękna, chwalebna rzecz, wszyscy to mówili i ja potem, kiedyś, to poczułam, ależ teraz już nikomu ta mogiła nie potrzebna, te szczątki, tylko matce trzeba oddać, tylko matce.

I tak sobie postanowiłam, że będę póty szukać, aż znajdę, żeby i życie tak miało przejść.

Potem mówili, że myśleli o mnie: obłąkał ją żal i manji dostała. Tak ludzie, choć najżyczliwsi o bólu sądzą, miarę jakąś przykładają, a to miary niema na serce poszarpane.

Więc jeżdżę i szukam bez ustanku, i raz wlokę się wózeczkiem powoli, jakąś polną drogą, w bok od tych szlaków wojennych nawet. Mijam dwór zniszczony zdaleka wioskę widać, a między wioską i dworem cmentarz, murem porządnym obwiedziony, widać dwór stawiał. Nawet na myśl mi nie przyszło zaglądać na ten cmentarz, nie szły tędy nasze wojska, bitwy tu nie było, ot, na boku, miejsce spokojne.

Ale ciągle myślę o tem samem: „Synku daj znak matce". I widzę, podjechawszy pomalutku pod ten mur że z cmentarza wygląda na drogę brzózka, zupełnie taka jak tamta, synowska, gałęzie nad drogą pochyla, i złotemi liśćmi trzęsie. Pomyślałam sobie: „Zielona była brzoza jak ty ją żegnałeś, a teraz złota; ona rośnie sobie, drzewo obojętne, a ty gdzie? Gdzie?"

I w tejże chwili, właśnie pod gałęziami brzozy przejeżdżałam, wiatru nie było, cicho... nagle sypną się

na mnie wszystkie liście z tej brzozy! Zasypały mnie, zaszeptały, spłynęły, jakby palce owinęły po twarzy, jakby złote włosy mojego syna przed oczy wionęły... Spojrzałam do góry, ani pomyślałam nic, odrazu wyskoczyłam i pobiegłam na cmentarz. Były mogił, świeżutkie, ale ja do tej co pod brzozą, już kilka tygodni jak kopana, krzyż, jak to na wsi, bez napisu. Ale ja wszystko wiedziałam. Brzoza — siostra zawołała, przez nią, przez ziemię, on na matkę zawołał, znak dał.

I to była prawda. Sprawdzili potem; rannego koledzy przynieśli, konającego pod brzozą złożyli, zawołali ludzi ze wsi, powiedzieli nazwisko, imię, i poszli, sami może zginęli, a wioskowi nie spieszyli z napisem. I ja, matka, mijałam nic nie czując, a ta brzoza!..

„A tamta?"

„Tamta także rośnie pięknie nad jego mogiłą".

KONIEC

POSŁOWIE

Pierwsza serja tych opowiadań ukazała się pod tytułem SWOI LUDZIE w firmie wileńskiej Lux przed laty kilku. Obecnie ludzie TUTEJSI idą opowiadać o sobie. Określenie „tutejszy" było przed wojną jedyną charakterystyką jaką człowiek z okolic wileńszczyzny stosował do siebie. „Kto ty", pytano „Polak?". „Nie, jaż z prostych, tutejszy!" „Białorusin znaczy?" „Dy nie, ja nie ruski, katolik, tutejszy". Oto odpowiedź, którą się ogólnie słyszało. Słowo to zawiera w sobie jakieś ściśle i silne przyznanie się do przynależności z ziemią, krajobrazem, otoczeniem. Tutejszy. Tu urodzony, żyjący i umierający. W tej tu „stronie", wśród łagodnych wzgórz, wysokich, gęstych lasów szpilkowych, wśród błękitnych jeziorek pomiędzy kotlinami przyczajonych pod ajerem i olszyną.

Tutejszy, wrośnięty w najbliższe otoczenie i okolicę; o parę parafij, broń Boże, go nie wywoźcie. Do Ameryki, to jeszcze, na koniec świata jak się kto ofiarował to już wszystko jedno czy przez ocean, czy przez pustynie, ale np. z wileńszczyzny na Wołyń, lub w Suwalskie... O, to do niewytrzymania. Tu „parkunasy" gadają, że ani słowa nie zrozumiesz, tam ruski naród brodacze, kto by chciał z niemi żyć.

Nie ruszać się najlepiej, nosa poza parafję nie wyściubiać, bo i czego? Ludzi nie widzieli? Wszędzie na dwóch nogach chodzą, nie na trzech. Tutejszy człowiek mówi do drugiego przy robocie: „Nie śpieszaj się, co jutro będziesz robić?" opornie broni się od każdej nowości choćby była dla niego dobrodziejstwem, bo „nie przywykszy", a znosi bez szemrania każdą niedolę bo „przywykszy". Przywyknąć i wytrzymać to najważniejsze podstawy jego życia, kamienie młyńskie, na których opiera swoje istnienie, ale które go powoli mielą na proch...

Przywykniesz to i wytrzymasz, mówią o najgorszem. Wytrzymali tam są ludzie i to nietylko ci z kurnych, słomą krytych chat, ci ze dworów i dworków także. Tam trzeba

było być wytrzymałym albo się przestawało istnieć; kamienną powłoką wytrwałości, odporności obrastali ci, co chcieli zatrzymać w sobie nakaz tradycji wiary, narodowości, tutejszości, nie dać się zniszczyć obcym. Pozostać sobą, to było najważniejsze. Wiele wartości zastygało w martwe formy, wiele charakterów dziwaczało i paczyło się, fermentując w sobie bez wylotu w przestrzeń, ale w szarych wioskach czy w kolumnowych dworach żyła tego samego gatunku zamknięta w sobie wykrętna chytrość i odpychająca duma jako najskuteczniejsza broń przeciw obcym.

Skulony w sobie, ogarniający rękoma to co mu było najdroższem, trwał tam ziemianin polski i katolicki chłop białoruski, bliscy sobie i przyjaźni w nieumówionej spójni obronnej.

Żadnych tam nikt nie mówił i nie słyszał pustych frazesów, obietnic na wiatr, tumanem w oczy nikt nie rzucał, mało się mówiło, rozumieli się jakoś wszyscy bez długich tłumaczeń. Nikt nikim nie szarpał, każdy pod zmierzchniem jarzmem rosyjskiem rozwijał swobodnie niczem nie krępowaną indywidualność, do której się nikt nie wtrącał. Nakazy i zakazy były gdzieś daleko, ponad ludźmi, obok nich, ale nie wśród nich, ani się w codzienne życie nie wdzierały. Między sobą się gadało i umawiało jak było trzeba, była wiara wzajemna w mówione słowa, był cichy, senny spokój wśród wiosek tutejszych.

Teraz zmieniło się wszystko. Wojna, najazdy, rabunki rozbiły harmonię i wszelką wspólnotę, napływ nowych ludzi napełnił nieobjętem, bezmiernem gadulstwem milczące rozłogi białoruskie, a wyrosłe na widoku przewrotów pokolenie ujęło w rękę nóż, rewolwer i siekierę i temi narzędziami załatwia teraz spory familijne.

Zmienili się moi ludzie „tutejsi"... grają w footbal i zarzynają małe dzieci i starych rodziców... zmienili się... a ja chcę pamiętać o tych, których znałam dawniej, z którymi czasy pokoju i wojny przeżyłam RAZEM.

HEL. ROMER.

SPIS RZECZY